PROCES O DOBRE IMIĘ REŻYSERA „MISIA”

Żona Stanisława Barei pozywa autora książki o mężu oraz jej wydawcę

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 42/498 17–23 PAŹDZIERNIKA 2022

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

„Orlęta. Grodno ’39” – spór o fałszowanie polskiej historii przez filmowców

NA TROPACH INY BENITY SENSACYJNE LOSY POLSKIEJ MARILYN MONROE

Literacka Nagroda Nobla już tylko dla lewaków?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 54 000 egzemplarzy

ATOMOWY SZANTAŻ PUTINA

Czy Polska ma się czego bać?

Narodowy Bank Polski informuje

Ważny komunikat NBP

W przeciągu niecałego tygodnia (7–12.10.2022) pojawiły się 132 materiały w prasie, telewizji i radiu, nawiązujące do wypowiedzi dwóch z dziesięciu członków Rady Polityki Pieniężnej. Temat był tak intensywnie komentowany w mediach, że zapoznał się z nim więcej niż co drugi Polak. Kampania medialna tego rozmiaru może trwale ingerować w wizerunek NBP i wpływać na stabilność systemu finansowego kraju.

Przy tak dużej sile medialnej, główny przekaz większości Rady nie ma szansy przebicia, a decyzje rynkowe zapadać mogą na bazie informacji, pod którymi nie podpisuje się ani większość RPP, ani NBP. To jest wyjątkowe zaburzenie komunikacji – działania zniekształcające obraz rzeczywistości w stylu, który nie ma nic wspólnego ze standardami, do jakich dotąd byliśmy przyzwyczajeni.

Możemy zabiegać o prostowanie nieprawdziwych informacji, weryfikację w kilku źródłach, ale niewiele to zmieni – pierwszy raz w historii NBP brutalna i bezpardonowa polityka zawitała w RPP i wykorzystała siłę autorytetu, jaki przez lata budowali członkowie Rady.

Na kłamstwach nie uda się budować niczego konstruktywnego. Debata zeszła na to, czy drzwi się da otworzyć, czy działa telefon, czy da się dobrze zjeść i dostać zwrot za benzynę – do tego codzienne wywiady i wpisy w mediach społecznościowych. Setki analiz dostarczonych z NBP, opracowywanych przez wybitnych ekonomistów, pozostają nietknięte. Płacone są bardzo wysokie wynagrodzenia (ponad 37 tys. PLN miesięcznie) za studiowanie analiz i walkę z inflacją, tymczasem lepiej się pokłócić z większością tłumacząc, że nie można czytać analiz, bo ktoś blokuje klamki i nie odbiera telefonów, jak potrzebne są objaśnienia?

W historii NBP było np. tak, że za Prezesa M. Belki trzech członków RPP było z odmiennej proweniencji ideowej (prof. Z. Gilowska, prof. A. Glapiński i prof. A. Kaźmierczak – mianowani przez Prezydenta L. Kaczyńskiego przy rządzie D. Tuska i prezesurze M. Belki, byłego premiera w rządzie SLD). Jednak ci członkowie RPP nigdy nie naruszyli zasad kolektywnego działania RPP i nigdy nie atakowali Prezesa NBP, ani innych członków RPP. Byli po prostu dobrze wychowani i znali zasady współżycia społecznego oraz szanowali dobro instytucji tak ważnej, jak Narodowy Bank Polski. Pamiętajmy, że choć RPP jest organem NBP i jej członkowie są wynagradzani przez bank, to jednak członkowie Rady nie są – zgodnie z prawem – pracownikami NBP i nie przysługują im z tego tytułu żadne prawa pracownicze.

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl 23f0335273

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Trump i Orbán chcą negocjacji

Zgodnie z obowiązującą w Polsce wersją obecna wojna Rosji z Ukrainą może się zakończyć tylko w jeden sposób – klęską agresora. Wynik jest z góry przesądzony, bo moralne zło – czyli napaść jednego państwa na drugie – musi zostać potępione. Musi się tak stać, tym bardziej że w tym przypadku sprawiedliwość dziejowa sprzymierzyła się z siłą, którą reprezentują – jakby mogło być inaczej – Stany Zjednoczone. Amerykanie nie mogą przegrać, Joe Biden nie może się wycofać. Kwestia przyszłości została przesądzona: Moskwa tak czy inaczej ucieknie z podkulonym ogonem, a na gruzach jej dawnego imperium powstaną nowe, różne ośrodki. Zmora polskich dziejów – to, że jesteśmy położeni między Niemcami a Rosją – zniknie. Rosja, jeśli przetrwa, zostanie zepchnięta gdzieś daleko, hen, na wschód, gdzie będzie wegetować jako wasal Chin lub może jeszcze innej potęgi. Polski interes ma polegać jedynie na tym, żeby wojna zakończyła się całkowitą klęską Rosji – koszty nie mają żadnego znaczenia. Dlatego nie ma tu miejsca na niuansowanie. Liczy się jedynie całkowite zwycięstwo. Nie jest wprawdzie jasne, na czym dokładnie miałaby polegać klęska Moskwy – tym zajmą się już Amerykanie. Należy zatem po prostu ze wszystkich sił wspierać Waszyngton, nawet jeśli oznaczałoby to, tego głośno się nie mówi, przyjęcie propagowanej przez demokratów ideologii globalizmu i gender.

Najbardziej osobliwe w tej wizji jest to, że jej zwolennicy traktują Amerykę jako monolit. Wypierają oni wręcz i odrzucają te głosy w Stanach, które kontestują politykę Bidena, mimo że jest ich coraz więcej i wypowiadają się ludzie przychylni Polsce. Tak dokładnie stało się z ostatnim wystąpieniem Donalda Trumpa. Stwierdził on, że „Ukraina i Rosja nie walczyłyby ze sobą", gdyby nadal był prezydentem. Dodał, że do agresji rosyjskiej doszło wskutek błędów Waszyngtonu. Wcześniej, w innym wywiadzie, mówił, że gotów jest stanąć na czele misji pokojowej, bo według niego stoimy na progu trzeciej wojny światowej.

Te wypowiedzi są u nas zbywane pogardliwym wzruszeniem ramion lub, nie mniej często, głośno wyśmiewane. Jeden z największych polskich portali ogłosił, że „Trump odleciał", inny, że „Trump szokuje". To vox populi. A przecież teza, zgodnie z którą współodpowiedzialność polityczną za inwazję (nie mylić z winą moralną) ponoszą Amerykanie, nie jest w Stanach żadnym odlotem czy „ruską propagandą". Trump wyraża zdanie coraz większej liczby amerykańskich wyborców, którzy po prostu nie rozumieją, o co chodzi Bidenowi. Dostrzegają skokowo rosnące koszty gospodarcze i ludzkie wojny. Widzą też, że z miesiąca na miesiąc wzrasta ryzyko eskalacji, także atomowej. Zmianę nastrojów pokazał przykład innej amerykańskiej polityk, byłej kandydatki na prezydenta USA, demokratki Tulsi Gabbard, która właśnie wystąpiła z Partii Demokratycznej. „Nie mogę dłużej pozostawać w dzisiejszej Partii Demokratycznej, która jest obecnie pod całkowitą kontrolą elitarnej kabały podżegaczy wojennych, kierujących się tchórzliwym wokeizmem, którzy dzielą nas rasistowskimi kwestiami i podsycają rasizm przeciwko białym, aktywnie pracując nad podważeniem naszych danych od Boga wolności, które zostały uświęcone w naszej konstytucji" – ogłosiła. Według niej amerykańska lewica „postawiła nas tak blisko wojny atomowej jak jeszcze nigdy".

W Polsce dogmatem jest jednak przekonanie, że wojna nam służy, ryzyka nie ma, powodów do obaw też nie, a w dali majaczy rozpad wschodniej barbarii (jak o reżimie Putina lubią mówić politycy i publicyści prawicy). O co się zatem kłopotać? Tak samo nikt nie przejmuje się nad Wisłą słowami Viktora Orbána. Nie jest przypadkiem, że to on właśnie zareagował pozytywnie na deklaracje byłego prezydenta USA. Zapytał, gdzie jest w polityce światowej Trump, i ogłosił, że mógłby on zakończyć wojnę na Ukrainie.

Mimo zatem, że o konieczności negocjacji z Moskwą i o ryzyku katastrofy wspominają były prezydent USA, uznawany w Polsce przez cztery lata za wielkiego bohatera i przyjaciela, oraz obecny premier Węgier, przez ostatnich siedem lat nasz główny sojusznik w starciach z Unią, w Warszawie w ogóle nie chce się ich słuchać. Ich obawy traktowane są jak rojenia. Czyżby aż tak się mylili? A może, odwrotnie, to Trump z Orbánem mają rację: obecna polityka Waszyngtonu to droga donikąd? Nie da się przy pomocy sankcji, masowych dostaw broni i kroplówki finansowej złamać Rosjan. Efektami mogą być raczej upadek światowej gospodarki i rozszerzenie wojny – w obu przypadkach Polska może dramatycznie ucierpieć. Czy pomijanie opinii Trumpa i Orbána to nie przejaw niebezpiecznej lekkomyślności? ©℗

eprasa.pl 23f0335273

TEMAT TYGODNIA

14 JACEK PRZYBYLSKI
BLEF CZY ARMAGEDON
Psychologiczna wojna nuklearna Władimira Putina już trwa

18 ŁUKASZ WARZECHA
BÓJMY SIĘ PUTINA

KRAJ

22 KAMILA BARANOWSKA
HIPIS I PREMIER
Nowy szef kancelarii Morawieckiego

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KONGRES W NAFTALINIE

26 PIOTR SEMKA
ANATOMIA ZŁA. ODEJŚCIE ZNUDZONEGO SZATANA (CZ. II)

30 TOMASZ ROWIŃSKI
ALBO ZASADY, ALBO TĘCZOWE PIENIĄDZE

32 ZUZANNA DĄBROWSKA
BITWA O BAREJĘ

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
PRZEJAŻDŻKA Z DŻYGITEM

KULTURA

38 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ANNIE ERNAUX – KRÓLOWA JEDNEJ NOCY
Literacka Nagroda Nobla

41 ADAM HLEBOWICZ
GRODNO '39 – HISTORIA POLSKIEJ HAŃBY?

44 PIOTR GOCIEK
KUCHNIA ŻYCIA

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 JAN FIEDORCZUK
NIEZNOŚNY CIĘŻAR SUWERENNOŚCI
Lęk jest złym doradcą

54 WOJCIECH GOLONKA
NEOKONSERWATYŚCI

58 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KOŚCIÓŁ I MASONERIA, CZYLI WSZYSCY SĄ BRAĆMI

HISTORIA

60 ROZMOWA Z JACKIEM PAPISEM
NA TROPACH INY BENITY
Dwa życia polskiej Marilyn Monroe

ŚWIAT

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAINĘ ZNISZCZYĆ, ZACHÓD WYSTRASZYĆ
Kontrofensywa Moskwy

EKONOMIA

68 WITOLD REPETOWICZ
ZDRADA ARABÓW
Zmiana sił na Bliskim Wschodzie?

70 JAKUB WOZINSKI
BOJOWY „PARASOL" BERLINA

O ZDROWIU

74 ROZMOWA Z PROF. TOMASZEM WRÓBLEM
NAJSKUTECZNIEJSZY JEST PIERWSZY ATAK
Nowotwory krwi

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (62), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 23f0335273

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **AP/East News, kremlin.ru, Adobe Stock; oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Pieskie życie

Mam psa, niedużego, bardzo go lubię. Mój pies ma łagodny charakter i wrażliwy żołądek, więc gotuję mu domową karmę, na tyle dobrą, że po zrobieniu wspólnie ją degustujemy. Wcześniej jadł psią karmę ze sklepu, też chyba niezłą. Ze względu na wiek i związane z tym przypadłości dość często korzysta z psiej „służby zdrowia", uprzejmej, kompetentnej, bez czekania i po cenie możliwej do przyjęcia. Nie mam zamiaru drążyć tego tematu, a tym bardziej narzekać na lekarzy; powiem tylko, że w aspekcie systemu „opieki zdrowotnej" pieskie życie góruje nad ludzkim. Chciałbym o czymś innym.

Chyba jakieś półtora roku temu oglądałem w telewizji wywiad, który pan redaktor Piotr Kraśko przeprowadził ze znanym filantropem, niejakim Gatesem. Jednym z wątków było sztuczne mięso propagowane przez pana Billa jako nieuchronne wybawienie przed klimatycznym armagedonem, do którego rzekomo przyczyniają się „gazy wylotowe" bydła hodowlanego. Padło angielskie słowo „fart" – i bynajmniej nie oznaczało wygranej na loterii. Gdy pan Gates zachwalał potencjalne (na razie – jak przyznał) zalety smakowe swoich sztucznych, zdaje się, roślinnych hamburgerów, redaktor Kraśko, niemal podfruwając z uprzejmości na krześle, przygwoździł go pytaniem, czy nie sądzi, że Polacy, dla których narodowym daniem jest mielony, zaakceptują ten wynalazek. O, ty (nieparlamentarne)! – zakląłem pod nosem – to nawet nie stać cię na tyle odwagi, by wspomnieć o kotlecie schabowym?! Gates, który nie zakapował (bo niby jak), na czym polega różnica między hamburgerem a mielonym, zrobił minę, jakby się objadł robaków.

Właśnie o robaki mi chodzi. Ludzi, jako istoty zdolne do myślenia (zazwyczaj w sposób zaprogramowany), będzie można, prawdopodobnie, zachęcić, przekonać, a ostatecznie zmusić do jedzenia robaków – że użyję tej zbiorczej taksonomii. Ale psy? Z ich węchem absolutnym i równie absolutną odpornością na ideologię? Nie ma mowy, nie przejdzie! Poza tym troska o zwierzęta jest bezdyskusyjną częścią poprawnościowej doktryny, nierównie bardziej niż troska o ludzi. A jeszcze poza tym – biznes; rynek psiej karmy w Polsce to ponad 4 mld zł. Na świecie idzie to w setki miliardów dolarów.

Nie wiem jak Państwo, ale ja – choćby codziennie ze wszystkich możliwych ekranów najgorętsze gwiazdy zachęcały mnie do konsumpcji owadzich przysmaków – przerzucę się na karmę dla psów. O ile pozwolą.

Z wyrazami szacunku
Maciej Rybicki

eprasa.pl 23f0335273

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

KUL wzgardzony

Ksiądz Alfred Wierzbicki, kontrowersyjny wykładowca etyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, ogłosił swoje odejście z uczelni. „Postępowanie dyscyplinarne wobec mnie było przejawem degeneracji (w domyśle: KUL-u). To był mobbing". – mówił i podkreślił, że z uczelnią dzieje się coś niedobrego. Postawił tezę, że jest ona przykładem, jak oddziałuje na uczelnie minister edukacji Przemysław Czarnek.

Odejście ks. Wierzbickiego odnotowała większość mediów liberalnych. Niemal wszystkie informacje zbudowane były według schematu: skrzywdzony ksiądz, bezduszna uczelnia, minister Czarnek jako zły duch stojący za katolicką uczelnią. Sam ks. Wierzbicki zapowiada, że razem z innym wykładowcą KUL, ks. prof. Andrzejem Szostkiem, przyjmą zaproszenie do stworzenia zespołu zajmującego się filozofią i etyką na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

W większości medialnych notatek dotyczących sprawy pominięto, że ks. Wierzbicki został w lutym tego roku uniewinniony przez komisję dyscyplinarną Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Komisja zajmowała się wypowiedziami medialnymi ks. Wierzbickiego, które zbulwersowały bardzo wielu wiernych. Chodziło o wydarzenia z sierpnia 2020 r., gdy duchowny poręczył za aktywistę LGBT Michała Sz. „Margot", wówczas tymczasowo aresztowanego w związku ze sprawą napadu na ciężarówkę pro-life i ataku na działacza fundacji. Komisja rozpatrywała też agresywne wypowiedzi ks. Wierzbickiego atakujące stanowisko polskiego Kościoła wobec środowisk LGBT. Kwestią, którą zajmowała się komisja, była także obraźliwa wypowiedź dotycząca ks. Tadeusza Guza („Można być profesorem, ale można też być skończonym durniem"). Mimo tak poważnych przewin ks. Wierzbickiego uniewinniono. Jak się teraz okazuje – zamknięcie postępowania w sprawie ks. Wierzbickiego bynajmniej nie zakończyło całego sporu. Uczelnia nie była w stanie zareagować w adekwatny sposób, a kiedy już sprawę załagodzono, ks. Wierzbicki uznał, że teraz trzeba trzasnąć drzwiami i odejść.

Jako były absolwent KUL od ponad dwóch dekad z mieszaniną współczucia, a także coraz częściej z konfuzją obserwuję szarpanie się mojej byłej Alma Mater w sporach cywilizacyjnych. KUL zawsze był wewnętrznie podzielony między środowiskiem zbliżonym do „Tygodnika Powszechnego", „Znaku" i „Więzi" a tymi, którzy reprezentowali konserwatywne rozumienie zasad wiary. Problem w tym, że od lat 90. każdy wyskok skrzydła liberalnego był broniony przez całą orkiestrę mediów liberalnych na czele z „Gazetą Wyborczą". A szacunku dla elementarnych zasad wiary bronili jedynie konserwatywni profesorowie uczelni. Kolejni rektorzy zazwyczaj byli rozdarci między chęcią załagodzenia konfliktu opisywanego jednostronnie przez media jako zamordyzm władz uczelni a chęcią ratowania tradycyjnego wizerunku uniwersytetu.

Tacy zagończycy liberalnego skrzydła KUL jak ks. prof. Szostek czy Wierzbicki doskonale wyczuwali słabość władz uczelni i tym bardziej, bez żadnych skrupułów, przedstawiali się w roli prześladowanych ofiar. A jednocześnie sami walili na odlew. Taktyka władz KUL obłaskawiania skandalistów prowadzi donikąd. Trzaśnięcie drzwiami ks. Wierzbickiego przypomina o tym kolejny raz. ©℗

FOT. ALEX WONG/AP/EAST NEWS

TRUMP WEZWANY PRZED KOMISJĘ

Rośnie temperatura politycznego sporu wokół Donalda Trumpa. W ubiegłym tygodniu komisja śledcza Kongresu badająca atak na Kapitol, do którego doszło 6 stycznia 2021 r., jednogłośnie opowiedziała się za wezwaniem Donalda Trumpa do złożenia zeznań pod przysięgą. – Musimy uzyskać zeznania pod przysięgą centralnego uczestnika prezydenta Donalda Trumpa – oznajmiła wiceszefowa komisji Liz Cheney. Ostatnim prezydentem USA, który zeznawał w Kongresie, był Bill Clinton. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 23f0335273

dwaj panowie g

Smuteczek. Wraz z odejściem z rządu Kondzia Szymańskiego zmniejsza się w gabinecie frakcja cyklistów. Czego żałujemy niezmiernie, gdyż bardziej ufamy ludziom jeżdżącym na rowerze niż biegającym. Są po prostu, rozumiecie, rozsądniejsi.

Anegdotka z czasów ministrowania Kondzia. Jeden z panów G. wita się wylewnie na pewnej zacnej publicznej ceremonii. Życzenia zdrowia, szczęścia i pomyślności kończy słowami: „I żeby został pan wreszcie prawdziwym ministrem!". „Ależ ja jestem prawdziwym ministrem!" – obruszył się Konrad Szymański.

Anegdota wymaga dwojakiego objaśnienia. Po pierwsze tak, mamy ciężkie poczucie humoru i nie zawsze wszyscy łapią, kiedy żartujemy. Po drugie, wtedy akurat to nie był żart. Prawdziwy minister zajmujący się sprawami zagranicznymi może być tylko jeden: minister spraw zagranicznych. A jeśli ktoś jest ministrem tylko od Europy albo tylko od Ameryki, albo tylko od Australii, gdyż coś tam mu wydzielono, to w sumie prawdziwy nie jest, choćby nie wiemy, jak ciężko pracował. To tak, jakby oddzielić lukier od pączka i twierdzić, że obie części są równoprawnym pączkiem.

Dziękujemy Grzegorzowi Skorpionowi Schetynie. Jego rozpaczanie nad faktem, że zamiast jednej listy opozycyjnej będą cztery, natchnęło nas do stworzenia dla Eine Totalopposition nowej ksywki: Czterolistna Opozycja. Proszę zapamiętać, będziemy jej używać, gdy oficjalnie rozpocznie się kampania wyborcza.

Jeśli chodzi o dobre nowe ksywki, to w ogóle był dobry tydzień. Szymek Płaczliwy Hołownia wymyślił nową dla Złego Donalda z Sopotu, który zapowiada, jak to w sto dni oczyści Polskę z PiS i wszystko posprząta. „Ludzie dziś nie chcą wybrać odkurzacza" – odparł Szymek. Donald Odkurzacz Tusk? Kupujemy ten termin.

Wzdolności Donalda do odkurzania jednak powątpiewamy, gdyż nie potrafił on posprzątać nawet własnego podwórka. Przypominamy, że grube wątpliwości wokół działań niejakiego Misiaka Tomasza, zwanego teraz Tomaszem M., narosły już wokół poprzedniego reżimu. Kiedy był jeszcze senatorem PeŁo. W ogóle zastanawia nas fakt, że wśród znajdujących się w kręgu zainteresowań CBA ludzi związanych z PeŁo najwięcej jest senatorów i byłych senatorów. Od Gawłowskiego do Piniora. Widać partia uznała, że do izby pamięci i refleksji idą tylko ci, którzy kręcą grubo.

Wracając do Misiaka. Zawinięcie Tomasza M. wywołało w świecie polityki głębokie poruszenie, gdyż w trakcie tzw. czynności zabezpieczono tzw. nośniki. A jak niesie wieść gminna oraz wiewiórcza, archiwum Misiaka ma większą siłę rażenia niż zbiory Gudzowatego i Falenty razem wzięte. Ups, czyżbyśmy byli właśnie na tropie odpowiedzi na pytanie, dlaczego Donald Odkurzacz nie odkurzył Misiaka?

Jeszcze większą panikę wywołała informacja, że prokuratura wystąpi wobec Tomasza M. o areszt. Jak wiadomo, podobny wniosek po zatrzymaniu Sławku Nowaku z układu gdańskiego sprawił, że zatrzymanym rozwiązały się języki. Bardzo się rozwiązały, wskazali nawet nogę od stołu, gdzie Sławku Nowaku trzymał czystą żywą gotówkę pochodzącą z wziątek. Zapewniamy więc, że robi się ciekawie, a będzie jeszcze bardziej interesująco. Aha, tak chcieliśmy oficjalnie potwierdzić: termin „układ wrocławski" jest jak najbardziej właściwy w całym tym kontekście.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jednocześnie w tych trudnych dniach nasze skrzynki e-mailowe spamowane są nieustannie przez obrońców innego zawiniętego przez CBA osobnika. To Maciej Witucki, szef Konfederacji Lewiatan. A jeremiady w jego sprawie piszą: BCC, Konfederacja Lewiatan, Federacja Przedsiębiorców Polskich, ZPP, Pracodawcy RP, Związek Rzemiosła Polskiego, Forum Związków Zawodowych i OPZZ. A nawet Rada Przedsiębiorczości. Linia obrony: „Wielokrotnie składał w tej sprawie wyjaśnienia i był zawsze do dyspozycji prokuratury". No tak, ale to było przed taśmami Misiaka.

Wmrowiu oświadczeń pojawia się, a jakże, słowo „represje". Podpisani nie mogą tylko ustalić, czy bronią „twardego i rzeczowego krytyka polityki gospodarczej rządu" czy może „nieustępliwego recenzenta działań rządu". Nam bardziej podoba się „recenzent". Wyobraźcie sobie te nagłówki: „CBA zatrzymało Zygmunta Kałużyńskiego polskich przedsiębiorców!".

Skoro o sprawach gospodarczych. Uwaga! Kolejna notatka jest dla bardzo wąskiego kręgu odbiorców. Skierowana jest do dziennikarzy „Super Expressu" i „Faktu" oraz różnych innych pudelków i ploteczków. Informujemy was, koledzy, że Kancelaria Prezydenta wymienia park maszynowy. Wybór padł na beemwice zwane też beemkami. Pierwsze egzemplarze już dotarły, co stwierdziliśmy na własne oczy. Czekamy więc na nagłówki: „Polacy głodują i marzną, a władza rozbija się luksusowymi limuzynami".

Musimy jednak zmartwić kolegów z bulwarówek. Bayerische Motor Werke, bo tak się rozwija skrót BMW, zostały wybrane w zupełnie jawnej procedurze, gdyż zaproponowały najniższą cenę w leasingu. I szczerze powiedziawszy, sami byśmy z takiej oferty skorzystali, gdyby tylko ktoś nam ją zaproponował. Problem w tym, że jeden z panów G. w ogóle nie ma prawa jazdy, a drugi korzysta z auta służbowego. Również marki niemieckiej, choć należącej obecnie do Francuzów. Na propozycje oczekujemy więc raczej ze strony przemysłu komputerowego lub w najgorszym przypadku winiarskiego. ©℗

epresa.pl 23f0333273

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Naziolki senackie

Senat – „demokratyczny Senat", jak nazywają go media liberalno-lewicowe, co samo w sobie jest aberracją – wybrał 30 „ławników Sądu Najwyższego". Proszę mnie nie pytać, po co właściwie w Sądzie Najwyższym ci ławnicy ani dlaczego akurat Senat obdarowano kompetencją ich wybierania. Doczytałem się tylko, że ławnicy „uczestniczą w rozpoznawaniu" spraw dyscyplinarnych sędziów i „skarg nadzwyczajnych", że wybiera się ich na czteroletnie kadencje i że kandydat na ławnika musi m.in. być „nieskazitelnego charakteru" i nie może należeć do partii politycznych.

Tymczasem aż pięciu na sześciu wybranych to kandydaci „apolitycznego" Komitetu Obrony Demokracji. Ciekawe? Jeszcze ciekawsze są fejsbukowe i twitterowe profile nowo wybranych „nieskazitelnych charakterów". Wszelkiego rodzaju bluzgi pod adresem PiS, „neosędziów", Kościoła i szeroko rozumianej prawicy, wszechobecne gwiazdki albo i bez bawienia się w „gwiazdkowanie" otwarte „jebać PiS!", wezwania do „obalenia dyktatury", do tego, by zamiast ciągle apelować, wreszcie zacząć bić w mordę… Słowem – dobrze znany KOD-omicki rynsztok. Pytanie, czy znany również dokonującym tego wyboru „demokratycznym" senatorom. Bo może ktoś będzie próbował ich tłumaczyć, że nie wiedzieli, kogo wybierają.

Moim zdaniem wiedzieli i dlatego wybrali. Jeśli organizacja zajmująca się robieniem zadym rekomenduje swoich kandydatów, to wiadomo, że to zadymiarze. A jeśli opozycja wysyła tych zadymiarzy do Sądu Najwyższego, to przecież nie po nic innego, tylko żeby robili tam zadymy. Jakież możliwości otwiera to przed „obrońcami demokracji"! Kładzenie się Rejtanem w drzwiach, przykuwanie do wokandy, oblewanie „neosędziów" tuszem, wykradanie albo niszczenie akt…

Może to przypadek, może nie, ale ten najazd zadymiarzy na Sąd Najwyższy zbiega się w czasie z zapowiedziami „czyszczenia", „wsadzania do więzień", do którego „nie będą potrzebne żadne trybunały", deleglizowania PiS i „wyprowadzania" prezesów NBP przez „silnych ludzi", których Tusk „zorganizuje na ulicy". Widać opozycja na demokracji postawiła już kreskę. Grubą. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Braun, Bosak, Bandera

Na wiec posłów Bosaka i Brauna „przeciw ukrainizacji Polski" można spojrzeć wielorako. Z perspektywy historycznej, jeśli ktoś coś wie o księciu Adamie, gen. Andersie czy Wierzyńskim. W ciągu ostatnich 200 lat Polacy wielokrotnie, a dwa razy masowo, musieli uchodzić za granicę, co jakoś nie wywołało obaw np. o „polonizację Szkocji". À propos, miałem szczęście poznać pierwszego od czasów reformacji katolickiego przewodniczącego Izby Gmin, Michaela Martina. Opowiadał mi, jak w jego kościele długo po wojnie modlono się o niepodległość Polski, przez solidarność z polskimi parafianami.

Ale jest też druga perspektywa, racji stanu. W czasie kolejnych imigracyjnych fal, łącznie z korytarzem Putina-Łukaszenki na granicy Podlasia, wielokrotnie powtarzałem, że Polska ma prawo bronić się przed nielegalną imigracją i ideologią imigracjonistyczną, tym bardziej że zawsze potrafiliśmy wypełnić obowiązek sąsiedztwa wobec rzeczywistych wojennych uchodźców. Nie będziemy natomiast zgadzać się na przymus imigracyjny, który z uchodźstwem ma niewiele wspólnego, a z obowiązkami sąsiedztwa – w ogóle nic.

Wojna się skończy, Polska nadal będzie musiała bronić swych praw i interesów w liberalnym świecie. Postawa naszego społeczeństwa wobec ukraińskiego uchodźstwa będzie stanowić (choć to tylko wartość dodana) wielki narodowy kapitał, który – dla kiepskiego efektu wyborczego, przez brak lepszych pomysłów – chcą nadwyrężać liderzy Konfederacji.

I perspektywa trzecia, polityczna. Jest oczywiście wiele problemów organizacyjnych związanych z masowym uchodźstwem, ale wyważenie właściwych rozwiązań to temat na interpelacje, nie na wiece z Banderą na transparentach. Toczy się wojna na naszej granicy! Bardzo potrzebna jest poważna debata parlamentarna o polskiej polityce i bezpieczeństwie w tym kontekście. Ale mam wrażenie, że na poważny głos Konfederacji w tych sprawach nie ma co liczyć. ©℗

eprasa.pl 23f0335273

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Demokracja po francusku

Włoscy postępowcy sromotnie przegrali wybory, bo zamiast coś ciekawego narodowi zaproponować, przemienili kampanię wyborczą w egzorcyzmy mające wygonić upiora faszyzmu z ciała i duszy swoich prawicowych rywali. Co kuriozalne, obrzędy trwają nadal, i to z udziałem zagranicznych egzorcystów.

„La Repubblica", druga gazeta Włoch, która dyktuje postępowcom, co mają myśleć, z kim i o co walczyć, opublikowała wywiad z francuską minister ds. europejskich, panią Laurence Boone. Pytana o przyszłość współpracy francusko-włoskiej w obliczu faszystowskiego zagrożenia francuska dama wypaliła, że Francja będzie się bacznie przyglądać, czy we Włoszech przestrzegane są wartości i reguły państwa prawa. Przypomniała, że Unia Europejska wykazała czujność wobec Polski i Węgier.

Innymi słowy – Francja policjantem, sędzią i hegemonem. Ustami swojej ministrzycy uzurpuje sobie prawo do osądzania i kontroli innego państwa unijnego. Co więcej, grozi sankcjami, wypowiadając się w imieniu Unii, do której oprócz Francji należy jeszcze 26 państw.

Wywodzący się z lewicy prezydent Włoch Sergio Mattarella, zawsze bardzo spokojny i wyważony, zareagował bardzo ostro: „Włochy nie potrzebują opiekunów. Same potrafią dać sobie radę z przestrzeganiem konstytucji i wartości Unii Europejskiej". W końcu Macron się pokajał i przeprosił.

Podobnym wyskokiem nieco wcześniej popisała się pani przewodnicząca Komisji Europejskiej. Też groziła Italii sankcjami, bo naród w swoich wyborach pobłądził. Rozumiałbym te występy, gdyby rząd Giorgii Meloni złamał unijne prawo albo wydał jakiś autorytarny dekret. Ale rządu Meloni jeszcze nie ma.

Kiedyś to się nazywało rewolucyjną czujnością. A poszanowanie dla decyzji Włochów przy urnach? Wszystko razem wskazuje dokładnie, jak obie damy i instytucje, które reprezentują, rozumieją demokrację: wybory obywateli trzeba szanować, ale tylko wtedy, gdy wypadną po naszej myśli. Tak właśnie rozumuje dyktatura, zawsze gotowa, by przyjść sąsiadom z bratnią pomocą.

PS W najczarniejszych snach nie śniłem, że w wolnej Polsce będą okadzać Jerzego Urbana. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 23f0335273

KAMILA BARANOWSKA

NA PRÓŻNO

JAK INWESTOWAĆ

Blogerka i influencerka Angelika Mucha, znana bardziej jako Littlemooonster96, w rozmowie z serwisem Pudelek zdradziła, co kupiła za swoje pierwsze zarobione pieniądze. „Pewnie jakąś torebkę, jak się jakaś większa suma uzbierała. Pamiętam, jak byłam na wakacjach z mamą, to kupiłam sobie torebkę Balenciagi. A nie, może to były okulary Diora... a potem torebkę Balenciagi. Z takich większych wydatków to byłoby to" – wspominała, dodając, że ten model torebki kosztował ją ok. 7–8 tys. zł. Przy tej okazji pojawił się też temat inflacji i tego, jak sobie z tym radzi celebrytka. Otóż Littlemooonster96 przyznała, że kupno torebek traktuje dziś jak inwestycje. „Jeśli chodzi o torebki czy inne rzeczy, to na każdej torebce zarobiłabym, jakbym chciała je teraz sprzedać" – wyznała 24-latka. Prawdziwie przedsiębiorcze te nasze celebrytki. Każda swoje luksusowe zakupy nazywa dziś inwestycją. Żeby tylko przez te swoje „inwestycje" z torbami nie poszły. Pardon, z torebkami.

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

JESTEM PIĘKNA NIEBYWALE!

Wielka dyskusja toczy się nad najnowszą okładką „Vivy!", na której wystąpiła Małgorzata Rozenek-Majdan. Okładka się części jej fanów nie spodobała, gdyż Małgorzata – ich zdaniem – jest tam wyretuszowana do tego stopnia, że nie przypomina samej siebie. Celebrytka broni się, że to kwestia świetnego fotografa, bo zdjęcia robił jej znany w show-biznesie fotograf Marcin Tyszka. – Tam się pojawiły głosy od nieprzychylnych mi mediów na temat jakiegoś przesadzonego retuszu, więc wrzucam wam przy okazji też zdjęcie bez retuszu. No muszę wam powiedzieć, że jak zdjęcia robi tak wybitny fotograf jak Marcin Tyszka, to naprawdę po prostu nie trzeba się bawić retuszem – odpowiedziała na zarzuty. Dodała też, że zdolny fotograf w połączeniu z odpowiednim oświetleniem oraz efektownym tłem w zupełności wystarczy, by wyglądać na zdjęciach korzystnie. – Jest też tak, że wystarczy dobre światło, piękne tło i bardzo dobry fotograf i wtedy się po prostu wygląda dobrze, tak jak na jednych zdjęciach się wygląda lepiej, a na drugich gorzej – wyznała celebrytka. A co celebrytka Rozenek może poradzić na to, że zawsze wygląda lepiej niż gorzej? Przecież to nie jej wina!

NOWA PARA W SHOW-BIZNESIE!

Najbardziej hot tematem show-biznesu w minionym tygodniu był z pewnością news dotyczący tego, że aktorka serialowa i prowadząca „Pytanie na śniadanie" Kasia Cichopek oraz prezenter Maciej Kurzajewski są parą. Co prawda, niedawno jeszcze plotkarskie media żyły rozwodem Kasi, ale teraz żyją jej nową miłością. Para pochwaliła się swoim wyjazdem do Izraela z okazji 40. urodzin Cichopek. Przy okazji celebrytka zamieściła w sieci zdjęcie ze świątyni, jak rozmodlona klęczy przed ołtarzem, co wywołało oburzenie internautów, oraz... byłej żony jej nowego partnera. Paulina Smaszcz-Kurzajewska napisała na Instagramie Cichopek, żeby zapytała jej byłego męża, co zorganizował dla niej, matki swoich dzieci, na jej 40. urodziny. I sama odpowiedziała, że nic. „Obyś ty była przy nim szczęśliwa i spełniona. Uważaj tylko, proszę, bo kłamcy tak szybko się nie zmieniają" – ostrzegła. I na koniec dodała: „Mimo wszystko spędzaj swoje urodziny wspaniale". Wspaniale to się zapowiada ten nowy związek Cichopek i Kurzajewskiego! Lady Rozenek i Radzio Majdan powinni się bać. Cichopek i Kurzajewski mają duży potencjał do dostarczania contentu najwyższej jakości wszystkim portalom plotkarskim przez najbliższe tygodnie, jeśli nie miesiące!

ZUPA POMIDOROWA

Jeśli ktoś nie wierzy, to mamy dowód w postaci najnowszego wpisu Pauliny Smaszcz-Kurzajewskiej, która postanowiła odpowiedzieć swoim krytykom. Pisze m.in. o tym, że jest dziś „mistrzynią asertywności", i nawołuje, by „być sobą, mówić prawdę i wierzyć we własne umiejętności i wartości". – Nie zmienię się, bo na to, kim jestem, jak bardzo potrafię być niezależna, silna i twarda, nie do zabicia i pokonania, pracowałam wiele lat. Nie urodziłam się silna, tylko ukształtowały mnie złe doświadczenia, które przekułam na dobre lekcje i wyciągnęłam wnioski – stwierdziła. – A ponieważ uczę reagowania na hejt, to powiem, że nie jestem zupą pomidorową, by wszystkim smakować, i wolę być sobą niż odpowiadać, pasować, schlebiać i podobać się byle komu. Byle kto, byle gdzie, byle jak mnie nie interesuje i nie zwracam na to uwagi – dodała. I dlatego odpowiada na każdą krytykę anonimowych osób w Internecie. Tak, ma to sens. ©℗

eprasa.pl 23f0335273

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z tymi Polakami to się nie da wytrzymać, nawet jeśli są milionerami. Otósh wyobraźcie sobie, iż jeden z nich, polski milioner, finansuje KONSERWATYWNĄ PROPAGANDĘ!

Takim właśnie tytułem nastraszył nas jeden z portali należących do pewnej postępowej zachodniej grupy medialnej. Byliśmy tak przerażeni, iż już nie starczyło nam sił na przeczytanie choćby leadu czy całego tekstu. Na wszelki wypadek skopiowaliśmy go – akurat będzie na podróż pociągiem, powinniśmy zdołać przeczytać.

W każdym razie chcielibyśmy się pochylić z troską nad przypadkiem finansowania przez milionerów konserwatywnej propagandy. Naszym zdaniem niedopuszczalne jest finansowanie propagandy tego rodzaju za pomocą środków ani to publicznych, ani to prywatnych.

Porządni milionerzy powinni się angażować w projekty dotyczące równości płci, walki z transfobią, zwalczania patriarchatu, a ostatecznie klimatu i praw zwierząt. Nie możemy bowiem dopuścić do sytuacji, kiedy prawicowa, konserwatywna propaganda będzie dofinansowana, tak iż nie będzie wyglądać prosto i przaśno. Bo pamiętajmy, iż konserwatyzm to Podkarpacie, snopowiązałka, klepisko zamiast podłogi i telegazeta zamiast Internetu.

Brzmi strasznie, prawda? Dlatego też widzicie, dlaczego postępowi dziennikarze też się tego boją.

Trochę nas głowa rozbolała, kiedy próbowaliśmy zrozumieć te wszystkie zasady dotyczące rozliczania cen prądu w kolejnym roku. Te wszystkie kilowatogodziny, te skróty kWh, te rozliczania… Po co to komu? My tylko chcemy oglądać Netflixa i się nie przejmować tym, że w połowie odcinka prądu zabraknie.

Zresztą musimy powiedzieć, iż w dbałości o planetę i o to, iżby nie wyczerpały się zasoby prądu, my już od dawna podejmujemy odpowiednie środki zaradcze. I tak np. zamiast włączania światła stosujemy naturalne świece

z wegańskiego wosku produkowanego przez zaprzyjaźnioną leśną lesbijską kooperatywę. Nie używamy sprzętów typu zmywarka, pralka, iż pozostając w zgodzie z naturą, ogarniamy te tematy dzięki wodzie, chociaż, prawdę mówiąc, mamy też problem moralny z wykorzystywaniem zasobów wody.

W każdym razie mamy nadzieję, iż żadnymi limitami nie będziemy się musieli przejmować i że nie okaże się, że z chill & wine & Netflix zostanie nam tylko chill… :/

Wogóle to nie koniec problemów z Polakami. Po raz kolejny przekonaliśmy się, jaką mają oni paskudną, neurotyczną, pesymistyczną i fatalistyczną naturę.

Otósh widzieliśmy wyniki badania sondażowego, według którego Polacy boją się nadchodzącej drożyzny. Pamiętacie? Już kiedyś mówiliśmy, iż Polacy nie mają oszczędności, iż wydają wszystko na bieżąco, są utracjuszami, którzy nie potrafią oszczędzać, bo tu piwko, tam papierosy, tu weekend w Zakopanem… Chociaż nie, stop, wiadomo, że na długie weekendy wyjeżdża tylko zasobniejszy elektorat opozycji, PiS-owcy jednak siedzą w domach i piją te piwa, palą papierosy…

W każdym razie – nie oszczędzają, bo się boją drożyzny. Czy statystyczny Niemiec boi się drożyzny? Albo Włoch? Albo Francuz? No nie, bo to są przedstawiciele społeczności zaradnych, postępowych, światłych – nawet Niemcy, którzy tyle przeszli za sprawą nazistowskiej okupacji, zachowują pogodę świeckiego ducha.

Naprawdę warto byłoby wziąć przykład z Europy i zmienić ten ponury mindset. Może jakieś narodowe zajęcia z mindfulness, zadbanie o swoją aurę? No już sami nie wiemy, ale nauka na pewno by pomogła znaleźć rozwiązanie. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Tę żabę to wywalimy

No więc tak, ja bym zmienił przede wszystkim ten szyld, tę żabę to wywalimy, damy takiego orła z bułką w szponach…
Czekaj, czekaj, zaraz ale dlaczego…

No dobra, może nie z bułką, bo to faktycznie jakieś takie małe będzie. Chleb damy, taki bochen polski prawdziwy, narodowy.
Ale…

Zresztą jeszcze można o szczegółach porozmawiać, chociaż ja tu wczoraj taki szkic wstępny na serwetce zrobiłem, o tu, zobacz. No i trzeba by te regały, które są zawsze po lewej, zastąpić takimi z narodowym naszym jedzeniem: krakowska, kabanosy.
Przecież…

A przede wszystkim mam już świetnego kandydata na prezesa. Akurat mam jego CV tutaj przy sobie przypadkiem…
Ale ja tylko tak o tym mówiłem. Bez konkretu.

Ja wiem. Ale jakby co, to my już jesteśmy przygotowani na 150 proc.
©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Była w nim ludzka dobroć i wrażliwość".

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI,
były prezydent, o Jerzym Urbanie podczas jego pogrzebu

eprasa.pl 23f0335273

Skąd się bierze drewno?

Zawirowania na świecie i rosnące ceny nośników energii skierowały uwagę Polaków na drewno. I słusznie – bo to odnawialny surowiec, którego użytkowanie w polskich warunkach gwarantuje, że lasów nie ubywa

W lasach naszego kraju – tych należących do państwa i tych w rękach prywatnych właścicieli – rokrocznie pozyskuje się ponad 40 mln m sześc. drewna. Jak to się dzieje, że mimo to powierzchnia leśna nie maleje, a wzrasta? Wyjaśnijmy tę trudną z pozoru łamigłówkę.

WSZYSTKO ZGODNIE Z PLANEM

Nie wszyscy zdają sobie sprawę, że drewna w Polsce nie pozyskuje się doraźnie. Na przykład pod zamówienie klienta czy wówczas, gdy robi się zimno. Gospodarka leśna jest o wiele bardziej dalekowzroczna. Prowadzi się ją na podstawie planów urządzenia lasu, sporządzanych na 10 lat. To tam odnotowuje się, ile drewna można pozyskać bez szkody dla środowiska. Takie plany wykonują specjalistyczne jednostki, m.in. Biuro Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej.

Co warte podkreślenia – takie reguły obowiązują zarówno państwowe nadleśnictwa, jak i wszystkich innych właścicieli lasu. Czy to gmina, czy prywatna osoba – legalnie użytkować las można wyłącznie do wysokości limitu określonego w planach.

Przygotowanie planu poprzedzają zawsze dokładna inwentaryzacja i ocena stanu lasu. Las jest pieczołowicie obejrzany przez specjalistów, którzy określają takie jego cechy, jak struktura, budowa, wiek, skład gatunkowy, stan zdrowotny, warunki glebowo-siedliskowe itp. Jednolite pod względem cech płaty to tzw. wydzielenia. Do każdego z nich podchodzi się indywidualne, projektując sposoby dalszego zagospodarowania i ilość drewna możliwą do pozyskania.

Ta ilość to kluczowa rola leśnego planu. Najprościej rzecz ujmując – drewna pozyskuje się co najwyżej tyle, ile jest w stanie przyrosnąć.

eprasa.pl 23f0335273

– Firmy przerabiające drewno od lat twierdzą, że na polskim rynku drewna brakuje. Że moglibyśmy go więcej pozyskiwać. Na szczęście to nie biznes decyduje, ile drewna pozyskać, a wynika to wprost z praw przyrody – dodaje Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

LASÓW NAM NIE UBĘDZIE

Gdy dobiegła końca druga wojna światowa, inwentaryzacja wykazała, że w lasach należących do państwa mamy 700 mln m sześc. drewna. Ile pozyskaliśmy od tamtego czasu? Okazuje się, że… prawie trzy razy więcej! Lasy Państwowe dostarczyły na rynek 2 mld m sześc. drewna. Jak to możliwe?

– Odpowiedź jest bardzo prosta. Użytkujemy tylko starannie ustaloną część zasobów. Rocznie to ok. 2 proc. całości zapasów. Pozostałe drzewa cały czas rosną. A ponieważ pozyskujemy jedynie część rocznego przyrostu, reszta odkłada się i powiększa zasoby drzewne. Jako leśnik, który całe lata spędził w terenie, dokładnie to widzę – wyjaśnia dyrektor Kubica, który w leśnictwie pracuje już blisko 45 lat na różnych stanowiskach.

Lasy Państwowe dziś pozyskują dwie trzecie rocznego przyrostu. Efekty takiego działania są dla leśników oczywiste, ale osoby w ich otoczeniu mogą zaskakiwać. W sukurs przychodzą liczby. Otóż współcześnie zasoby drzewne w zarządzie organizacji kierowanej przez dyrektora Kubicę sięgają… 2,4 mld m sześc.

Leśnicy przez prawie 80 lat pozyskali więcej, niż było na starcie, a mimo to depozyt drewna w lesie jest przeszło trzy razy większy!

– Jeśli zapomina się, że w rachunkach dotyczących żywego, odnawialnego zasobu przyrody trzeba uwzględnić czynnik przyrostu, to te liczby brzmią nieprawdopodobnie – mówi dyrektor generalny Lasów Państwowych. – Ale one dobitnie pokazują, że nie ma się czego obawiać na przyszłość. Mimo pozyskania lasów nam nie ubędzie.

KASKADOWE WYKORZYSTANIE

Kiedy za sprawą Putina i wywołanej przez jego reżim wojny idą w górę ceny węgla, gazu i ropy, Polacy oglądają się za alternatywnymi źródłami energii. Na polskiej prowincji na równi z wymienionymi surowcami oczywistością jest drewno. Dla wielu Polaków, którzy mieszkają w miastach, okazało się odkryciem.

Drewno to surowiec, który jesteśmy w stanie wykorzystać w pełni. Już na etapie pozyskania leśnicy starannie je oglądają i klasyfikują. Najbardziej ceni się te elementy drzew, które są najbardziej regularne: proste, pozbawione sęków, przebarwień, o równych słojach rocznych. To dlatego, że mogą mieć najbardziej wszechstronne zastosowanie.

– Leśnicy klasyfikują drewno pod względem jego jakości i wymiarów, a kupujący podejmuje decyzję, jakie drewno jest mu potrzebne i co z niego zrobi – mówi Michał Gzowski, rzecznik prasowy Lasów Państwowych.

Zgodnie z zasadą kaskadowego wykorzystania surowca drzewnego niemal cała nadziemna część drewna znajduje zastosowanie. Te części drzew, które zawierają zbyt wiele wad wykluczających

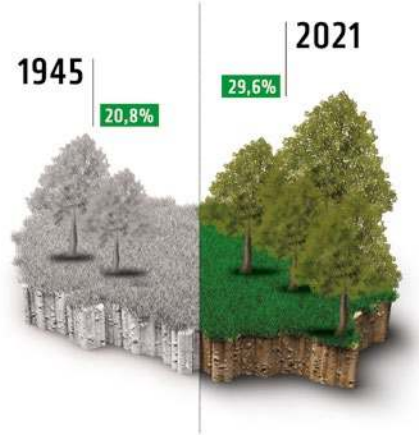

Lesistość w Polsce w 1945 i 2021 roku

je z zastosowań przemysłowych albo są zbyt cienkie, trafiają na opał.

– Tak jak nie ścinamy drzew i nie pozyskujemy drewna ze względu na koniunkturę w przemyśle, tak też jest z opałem drzewnym. Na opał trafiają te części pni, których nikt nie zdecydowałby się przerabiać oraz gałęzie – wyjaśnia rzecznik prasowy Lasów Państwowych.

Co roku drewno najniższej jakości przeznaczane na opał stanowi ok. kilkunastu procent całości pozyskania Lasów Państwowych.

DREWNIANY MAGAZYN CO_2

Drewno to uniwersalny surowiec. Ma 30 tys. zastosowań i trwa na nie nieprzemijająca moda.

– Drewna używamy pod tak różnorodnymi postaciami, że nie wszyscy nawet zdają sobie sprawę, jak bardzo z niego korzystamy – mówi Gzowski.

Oprócz oczywistych dla każdego mebli, parkietów i papieru drzewne pochodzenie mają także włókna używane do wyrobu tkanin, modal i wiskoza. Niemal wszystko, co kupujemy, dociera do sklepów na drewnianych paletach. Drewno utrzymuje pokrycia dachowe większości budynków i tworzy konstrukcje wieżowców. Nasze dzieci ćwiczą sprawność fizyczną na drewnianych przyrządach placów zabaw. Wreszcie płonące szczapy drewna to jeden z synonimów domowego ciepła.

Wyroby z litego drewno można stosunkowo łatwo odświeżyć. Czasem wystarczy je przeszlifować, by wydobyć dojrzały rysunek słojów rocznych.

– Zachęcamy do odpowiedzialnego używania drewnianych przedmiotów i konstrukcji. Dbajmy o nie, konserwujmy i odnawiajmy. Im dłużej będą służyć w naszym otoczeniu, tym dłużej utrzymany pozostanie dwutlenek węgla, który pochłonęły drzewa – zachęca Michał Gzowski.

Andrzej Dąbrowski

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 23f0335273

Blef czy armagedon

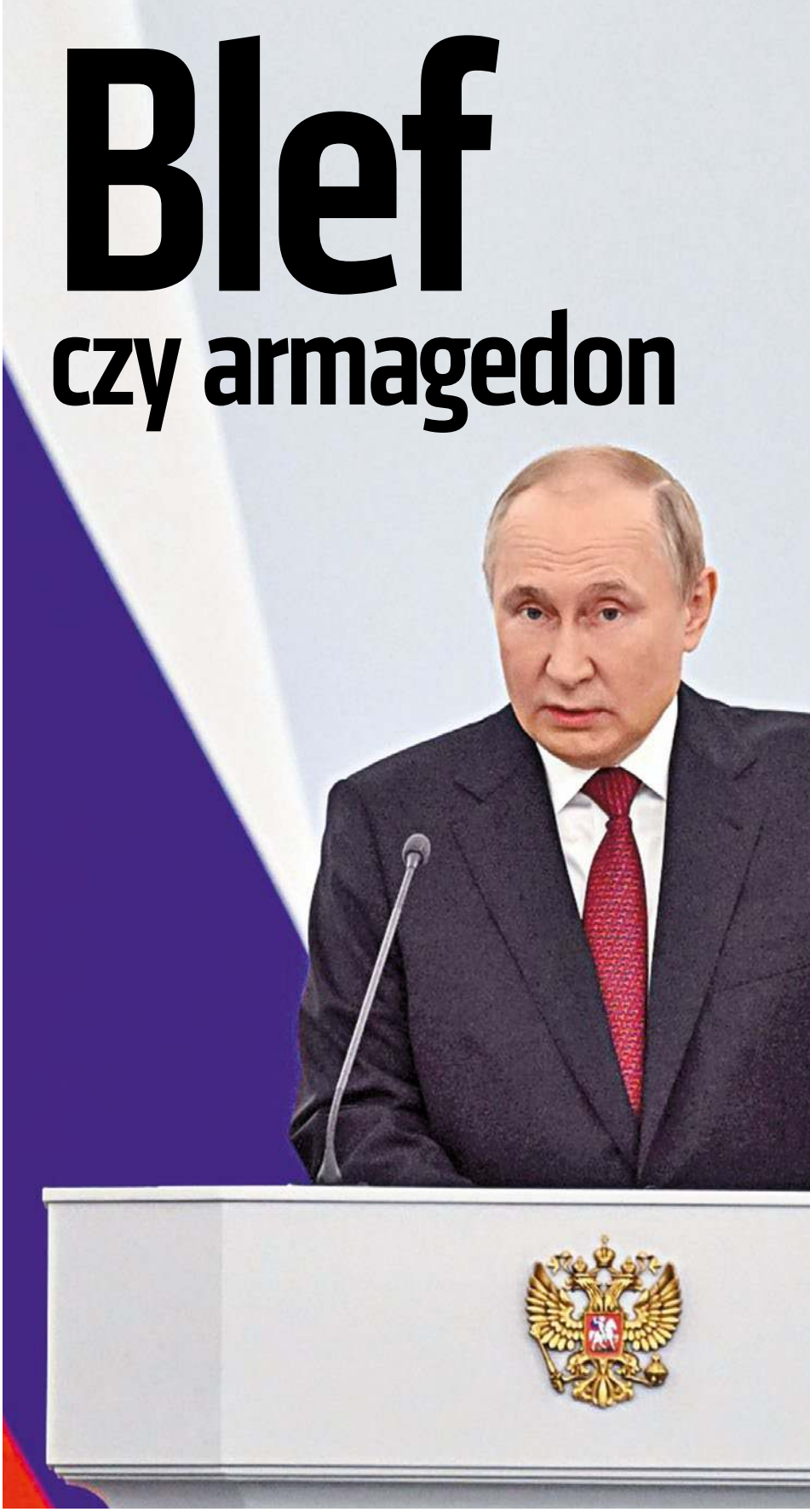

Jacek Przybylski

– Obecna sytuacja na świecie stwarza największe zagrożenie wybuchem konfliktu atomowego od czasu kryzysu kubańskiego z 1962 r. – ocenia prezydent Joe Biden. – Groźby Putina należy traktować poważnie – ostrzega też była kanclerz Niemiec Angela Merkel. A rosyjski historyk i pisarz Jurij Felsztyński przekonuje, że od lutego trwa już trzecia wojna światowa, a Putin może chcieć zapisać się w historii jako ten, który nie bał się rozpoczęcia atomowego konfliktu

Chciałbym przypomnieć […], że nasz kraj dysponuje rozmaitymi środkami rażenia, a niektóre są bardziej nowoczesne niż te, którymi dysponuje NATO. Jeśli integralność terytorialna naszego państwa będzie zagrożona, to z pewnością użyjemy wszystkich dostępnych nam środków, by bronić Rosji i naszych obywateli – groził we wrześniu Władimir Putin. – To nie blef. Ci, którzy usiłują szantażować nas bronią atomową, powinni wiedzieć, że kierunek wiatru może się zmienić na ich niekorzyść – grzmiał rosyjski przywódca.

NAJWIĘKSZY ARSENAŁ ŚWIATA

– Władimir Putin nie żartuje, kiedy mówi o potencjalnym użyciu taktycznej broni atomowej lub broni biologicznej czy chemicznej, ponieważ jego armia, można powiedzieć, osiąga słabe wyniki – oznajmił 7 października amerykański prezydent. Joe Biden zauważył, że ryzyko użycia broni atomowej jest obecnie największe od czasów kryzysu kubańskiego w 1962 r., i przekonywał, że nie wierzy, iż można użyć taktycznej broni atomowej, nie doprowadzając jednocześnie do nuklearnego armagedonu.

Chociaż wydarzenia na ukraińskim froncie kompromitują dowódców „drugiej armii świata", to jeśli chodzi o arsenał jądrowy, to Rosja nadal jest

eprasa.pl 23f0335273

FOT. KREMLIN.RU

bezsprzecznie na pierwszym miejscu w świecie. Kraj rządzony przez Putina ma ok. 6,4 tys. głowic nuklearnych. Rosja ma również w swoim arsenale ok. 500 nośników broni strategicznej (rakiety balistyczne, ładunki umieszczone na pokładzie okrętów podwodnych czy bombowców strategicznych) oraz niemal 1,5 tys. gotowych do natychmiastowego użycia głowic jądrowych, bo na tyle pozwala porozumienie Nowy START z USA, ograniczające arsenały jądrowe obu stron. Rosjanie dysponują też szacowanym na ok. 2 tys. ładunków arsenałem taktycznym, czyli ładunkami o mniejszej mocy, które mogą być przenoszone przez rakiety krótkiego i średniego zasięgu, lotnictwo taktyczne etc. Powszechnie znanym środkiem przenoszenia są np. rakiety balistyczne Iskander, które mogą być uzbrojone zarówno w głowicę z ładunkiem konwencjonalnym, jak i jądrowym. Są one trudne do zestrzelenia, bo Rosjanie wyposażają je w przypominające długie rzutki do darta, naszpikowane elektroniką i emitujące ciepło wabiki, które utrudniają skuteczne działanie obrony przeciwrakietowej. Strona, która jest celem ataku, do momentu uderzenia nie wie zaś, czy dana rakieta jest wyposażona w ładunek konwencjonalny czy nuklearny.

1500

TYLE GŁOWIC ATOMOWYCH, GOTOWYCH DO NATYCHMIASTOWEGO WYSTRZELENIA, MA ROSJA

Dla porównania: liczbę głowic będących w posiadaniu Stanów Zjednoczonych szacuje się na ok. 5,8 tys. Pozostałe kraje Zachodu mają już o wiele skromniejsze zasoby najbardziej śmiercionośnej broni w historii ludzkości. Dokładnych danych brak, ponieważ państwa szczegółowe informacje o swych programach jądrowych trzymają w tajemnicy. Spekuluje się jednak, że Francuzi mają ok. 290 głowic, a Wielka Brytania ma ich mniej więcej 215.

Polska nie dysponuje bronią atomową, ale podobnie jak inni sojusznicy z NATO znajduje się pod „atomowym parasolem" Stanów Zjednoczonych. Niestety, „parasol" ten nie działa jak tarcza antyrakietowa i nie jest w stanie fizycznie ochronić danego terenu przed atakiem bronią jądrową – funkcjonuje za to w oparciu o doktrynę odstraszania. Kraj, który zdecyduje się użyć ładunku jądrowego wobec państwa NATO, musi się liczyć z atomowym kontratakiem. W odwecie za napaść na któregoś z sojuszników broń jądrową mogą wystrzelić z atomowych okrętów podwodnych nie tylko USA, lecz także Wielka Brytania (decyzję o ataku jądrowym podejmuje premier) oraz Francja (czerwony guzik ma do dyspozycji wyłącznie prezydent). O użyciu amerykańskiej broni atomowej znajdującej się na terenie Niemiec, Belgii, Holandii oraz we Włoszech decyduje prezydent USA, ale państwa-gospodarze musiałyby wyrazić zgodę na zrzucenie ich za pomocą swoich własnych odrzutowców. Piloci z tych państw regularnie ćwiczą zrzucanie amerykańskich bomb. Ich liczbę w ramach programu „dzielenia się bronią atomową" (NATO Nuclear Sharing) szacuje się na ok. 100 bomb B61 (to taktyczna lub strategiczna termojądrowa bomba lotnicza).

Różne ośrodki decyzyjne w krajach NATO są ważnym elementem strategii odstraszania, wróg nigdy nie ma bowiem pewności, jaka będzie rzeczywista reakcja sojuszu w razie ataku nuklearnego na któregoś z członków NATO. Zdaniem wielu ekspertów Zachód na użycie przez Rosję broni atomowej nie odpowiedziałby w ten sam sposób, lecz przeprowadziłby spektakularny cyberatak lub atak z użyciem broni konwencjonalnej.

UDERZENIE Z BIAŁORUSI?

„Najpierw cała Ukraina, potem Białoruś, a potem atak na Polskę" – przed takim scenariuszem już w roku 2015 ostrzegał mieszkający w Stanach Zjednoczonych rosyjski historyk oraz pisarz.

Podczas wizyty w Warszawie we wrześniu obecnego roku Jurij Felsztyński mówił wprost, że jego zdaniem 24 lutego 2022 r. rozpoczęła się trzecia wojna światowa. Współautor takich światowych bestsellerów jak „Korporacja zabójców" czy „Wysadzić Rosję" podczas międzynarodowej konferencji „GenFree: Three Seas Generation Freedom" tłumaczył, że Putin tylko dlatego formalnie nie dokonał jeszcze aneksji Białorusi, bo chce wykorzystać ten kraj do atomowej ofensywy. Zdaniem eksperta Kreml kalkuluje prosto: jeśli rakiety z atomowymi ładunkami zostaną wystrzelone z Białorusi, to ewentualne uderzenie odwetowe ze strony

eprasa.pl 23f0335273

NATO powinno być skierowane na cele położone na terenie Białorusi. Rosja miałaby w ten sposób próbować zastraszyć Zachód i wymusić realizację głównego celu prezydenta Putina, czyli uzyskania cichej zgody na odbudowę rosyjskiego imperium i wykluczenie z NATO nie tylko krajów bałtyckich, lecz także Polski. Niektórzy przywódcy Rosji nie tylko wprost mówią o odzyskaniu dawnych republik sowieckich, lecz także twierdzą, że władze w Moskwie nie uznają granic z 1918 r.

I chociaż kolejne sromotne klęski rosyjskich oddziałów na ukraińskim froncie pokazują dobitnie, że imperium rosyjskie – przynajmniej w kategorii konwencjonalnego uzbrojenia i wyszkolenia armii – istnieje już tylko w podręcznikach historii, to zarówno Władimir Putin, jak i inni członkowie wywodzących się ze służb specjalnych moskiewskich elit muszą zdawać sobie sprawę, że ewentualna rosyjska porażka na Ukrainie miałaby ogromne reperkusje wewnętrzne, międzynarodowe (utrata wizerunku mocarstwa regionalnego) oraz gospodarcze i militarne (zdemoralizowana, osłabiona armia).

I chociaż sam pomysł pierwszego użycia broni atomowej na polu bitwy od czasów drugiej wojny światowej wydaje się trudny do wyobrażenia, to przecież taka możliwość jest jasno zapisana w rosyjskiej doktrynie wojennej. W połowie września obecnego roku podkreślał to podczas konferencji prasowej rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow, który pytany o możliwość użycia ładunków jądrowych na Ukrainie odpowiedział krótko: „Przeczytajcie doktrynę. Tam wszystko jest napisane".

Publicznie ogłoszony dekret, podpisany przez prezydenta Rosji 2 czerwca 2020 r., mówi jasno, że Kreml może sięgnąć po arsenał jądrowy w odpowiedzi nie tylko na atak nuklearny lub z użyciem innej broni masowego rażenia, lecz także w odpowiedzi na atak konwencjonalny, który – w subiektywnej ocenie Moskwy – może zagrażać istnieniu państwa rosyjskiego lub kraju sojuszniczego.

Nie jest jasne, które państwa zaliczane są do grona sojuszników, w których obronie Rosja sięgnęłaby po arsenał jądrowy. Jeszcze przed ogłoszeniem sfałszowanych wyników pseudoreferendów na okupowanych terenach Ukrainy szef dyplomacji Siergiej Ławrow deklarował, że anektowane już przez Putina cztery obszary na Ukrainie – Ługańsk, Donieck, Chersoń i Zaporoże – mają zyskać pełną ochronę Rosji.

ATOMOWA DRABINA ESKALACJI

Sam dekret od momentu upublicznienia w 2020 r. ma jedno zadanie: wystraszyć Zachód. Kłopot Putina i jego ewentualnych następców z rosyjskich służb polega na tym, że negocjacje „ostatniej szansy" z lutego 2022 r. pokazały wyraźnie, że Rosji nie boi się już cały świat. A wysuwane wiosną żądania kapitulacji Ukrainy płynące z Moskwy zostały przez władze w Kijowie słusznie zlekceważone.

Przywódcy w Moskwie muszą zdawać sobie sprawę, że użycie samych sił konwencjonalnych (nawet jeśli po jakimś czasie uda się przeprowadzić mobilizację nie 300 tys., ale 1 mln osób) nie umożliwi im realizacji politycznych celów. Wówczas mogą sięgnąć po atomowy szantaż, a skoro dzisiaj katastrofalne wizje elit w Moskwie nie paraliżują zachodniej opinii publicznej, to mogą sięgnąć do arsenału broni jądrowej. W ramach rosyjskiej doktryny „eskalacji w celu deeskalacji" użycie jednego lub kilku ładunków jądrowych nie wydaje się kompletnie nierealnym scenariuszem. Celem nie musiałoby być wcale od razu zniszczenie np. Kijowa czy zdziesiątkowanie ukraińskich oddziałów na polu bitwy w Donbasie.

– Dzielni Polacy, w 30 sekund z waszej Warszawy nie zostanie nic – grożą publicyści w rosyjskiej telewizji w porze najwyższej oglądalności

Rosja może użyć taktycznej broni nuklearnej np. na mało zaludnionym obszarze czy wręcz na Oceanie Arktycznym tylko po to, aby wysłać do zachodnich przywódców i społeczeństw wspierających Ukraińców przesłanie: „To wsparcie musi się natychmiast skończyć, w przeciwnym razie Rosja sięgnie po głowice atomowe o dużej mocy lub wykorzysta do atomowego szantażu rakiety o zasięgu międzykontynentalnym wymierzone w gęsto zaludnione obszary".

Rose Gottemoeller, była zastępczyni sekretarza generalnego NATO w latach 2016–2019, jeszcze przed wygłoszeniem przez Putina jego ostatnich gróźb ostrzegała w wywiadzie dla BBC, że istotne sukcesy ukraińskiej kontrofensywy mogą skłonić Putina do użycia broni masowego rażenia. Specjalistka od negocjacji dotyczących kontroli zbrojeń nuklearnych podkreśliła przy tym, że jej zdaniem, gdyby nawet do takiego ataku doszło, Rosja nie użyłaby ani międzykontynentalnych rakiet balistycznych (ICB), ani łodzi podwodnych, na których znajdują się rakiety wycelowane w najważniejsze obiekty w USA. Zdaniem Gottemoeller możliwa byłaby np. „pojedyncza detonacja nad Morzem Czarnym lub – być może – uderzenie na ukraiński obiekt wojskowy". Celem było zmuszenie władz w Kijowie do kapitulacji oraz „zasianie strachu w sercach nie tylko Ukraińców". Niewykluczone jest także przeprowadzenie operacji pod „fałszywą flagą" – czyli przeprowadzenie przez rosyjskie służby ataku chemicznego lub biologicznego na terytorium Rosji i zrzucenie władzy na Kijów. Taka akcja byłaby dobrym pretekstem do odpowiedzi z użyciem broni masowego rażenia.

Do użycia broni atomowej od wielu miesięcy przygotowują Rosjan publicyści w najważniejszych programach telewizyjnych. – Dzielni Polacy, w 30 sekund z waszej Warszawy nie zostanie nic – ostrzegał jeden z gości programu publicystycznego nadawanego w państwowej telewizji pod koniec marca tego roku w czasie najwyższej oglądalności. Goście programu omawiali też plany ataku na Polskę i Litwę oraz stworzenie korytarza do Kaliningradu. To nie był pojedynczy incydent. Pod koniec września na kanale Rossija 1 prezenterka i zagorzała orędowniczka Władimira Putina Olga Skabiejewa i deputowany Dumy Państwowej Andriej Gurulow radzili władzom w Moskwie, by przeprowadzili atak nuklearny na Londyn, i przekonywali, że świetną okazją do ataku byłby np. pogrzeb królowej Elżbiety II. Wcześniej ta sama Skabiejewa mówiła o konieczności „denazyfikacji Niemiec". Rosjanie nie ukrywają, że technologiczna zdolność ich kraju do przeprowadzeniu ataku, w którego wyniku w ciągu kilku chwil wyparują Warszawa czy Londyn, bardzo się podoba.

TAKTYCZNA, CZYLI JAKA?

Atak z użyciem broni strategicznej, czyli ładunków o mocy liczonej w megatonach, wielokrotnie silniejszych niż te, które zrzucono na Hiroszimę i Nagasaki,

eprasa.pl 23f0335273

wciąż należy uznać za mało prawdopodobny.

Co innego, jeśli chodzi o taktyczne ładunki, których celem jest zrównoważenie konwencjonalnej przewagi wroga, np. poprzez zniszczenie konkretnych jednostek wojskowych czy infrastruktury na polu walki. Tych Rosjanie mogą użyć. Trzeba jednocześnie pamiętać, że w przypadku łagodniejszej formy, czyli użycia „taktycznej broni jądrowej", bomby atomowej o „stosunkowo niskiej sile eksplozji", chodzi o ładunki o różnej mocy, wahającej się od np. 1 kilotony poprzez 5 czy 10 kiloton (dla porównania: bomba, która zniszczyła japońską Hiroszimę, miała moc ok. 15 kiloton, czyli taką, jak eksplozja 15 ton trotylu). Konsekwencje takiego ataku zależałyby od mocy użytego ładunku, a zwłaszcza od miejsca, które byłoby celem. W przypadku terenów słabo zaludnionych zarówno liczba ofiar, jak i skala zniszczeń oraz skażonego obszaru mogłaby być niższa niż przedstawiona w filmach katastroficznych. Zrzucenie broni taktycznej na miasto miałoby już tragiczne konsekwencje, liczone w tysiącach czy dziesiątkach tysięcy.

W Internecie można znaleźć symulatory takich wybuchów, w których po wpisaniu miasta oraz wielkości ładunku otrzymuje się szacowaną liczbę zabitych i rannych. Popularny serwis Nukemap na portalu nuclearsecrecy.com podaje, że zrzucenie bomby o mocy 10 kiloton na centrum Kijowa kosztowałoby życie 33 tys. osób. Bomba o mocy 15 kiloton mogłaby spowodować błyskawiczną śmierć 47 tys. osób, a 120 tys. zostałoby rannych. Zrzucenie tego samego ładunku na przedmieścia zamieszkanego przez 270 tys. osób Żytomierza oznaczałoby już ok. 5,3 tys. zabitych i 42 tys. rannych. W obu przypadkach taki atak też wydaje się mało prawdopodobny, bo Kijów jest dla Rosji wyjątkowo ważnym miastem. Przeciwko pomysłom użycia broni nuklearnej wobec ukraińskich cywilów protestował zaś nawet Igor Striełkow, były przywódca prorosyjskich separatystów. Celem ataku byłyby więc raczej kluczowe obiekty infrastrukturalne.

Moskiewskie elity mogą sądzić, że obecni sojusznicy Ukrainy nie będą chcieli ryzykować wchodzenie na kolejne szczeble na drabinie nuklearnej eskalacji, o realnej groźbie wybuchu w Europie konfliktu atomowego nawet nie wspominając. Sami Rosjanie też powinni mieć świadomość, że użycie przez nich broni atomowej niesie ze sobą nie tylko groźbę potężnego odwetu ze strony NATO (wszyscy wiedzą, że wojny jądrowej na dużą skalę nie można wygrać), lecz także – przynajmniej teoretycznie – groźbę utraty wszystkich sojuszników, łącznie z Chinami, a także ogromne konsekwencje gospodarcze, które mogłyby grozić rozpadem Federacji Rosyjskiej.

Władze w Moskwie mogą chcieć użyć ładunku taktycznego, aby zmusić Kijów do kapitulacji i zasiać strach nie tylko w sercach Ukraińców

NUKLEARNE SCENARIUSZE

Oczywiście Rosjanie kalkulują zupełnie inaczej niż zachodni politycy czy publicyści. Putin wydaje się być przekonany, że rosyjska gospodarka przetrwa niezależnie od tego, jak surowe sankcje zostaną jeszcze na Rosję nałożone, czego dowodem było rozpoczęcie w lutym inwazji na Ukrainę, mimo ewidentnych dowodów na to, że taka decyzja z racjonalnego punktu widzenia będzie bardzo kosztownym błędem. Jak będą rozumować tym razem, oczywiście nie wiadomo. Rosjanie mogą sobie przecież wyobrażać, że po użyciu broni atomowej i zmuszeniu Ukraińców do kapitulacji zasiądą do stołu rokowań i ogłoszą, że w zamian za prawo do zajęcia Ukrainy i np. państw bałtyckich lub Ukrainy, państw bałtyckich i Polski są gotowi do deeskalacji, powstrzymania się od dalszych ataków z użyciem broni jądrowej, a także dalszego funkcjonowania w pokojowych relacjach z Zachodem.

Trzeba też pamiętać, że już Sowieci w latach 80. stworzyli m.in. system tzw. martwej ręki, a więc system atomowej zemsty zza grobu o nazwie „Perymetr", którego zadaniem było wystrzelenie w kierunku USA całego arsenału jądrowego w przypadku, gdyby Amerykanie uderzyli pierwsi i zdołali zniszczyć rosyjskie centra dowodzenia.

Przewidywana przez cytowanego na początku tekstu rosyjskiego historyka Jurija Felsztyńskiego cicha i nieformalna aneksja, a przynajmniej okupacja Białorusi, de facto już nastąpiła.

Zapytany w ubiegłą środę przez dziennikarza CNN Jake'a Tappera o możliwość użycia przez Władimira Putina przeciw Ukrainie taktycznej broni jądrowej, Joe Biden był już jednak większym optymistą niż tydzień wcześniej i odpowiedział krótko: „Nie sądzę, że to zrobi". Na razie zachodnie służby nie alarmują też o tym, że bomby jądrowe są przewożone ze składów nuklearnych do jednostek wojskowych. Jeden z takich magazynów znajduje się blisko granic z Ukrainą, inny – odnowiony i powiększony przed kilku laty – w sąsiadującym z Polską Kaliningradzie, w którym w maju obecnego roku odbyły się gry wojenne, podczas których rosyjskie wojska ćwiczyły w Kaliningradzie symulowany atak atomowy za pomocą iskanderów. Dopóki nie widać konkretnych działań Rosjan, dopóty jest więc spora szansa, że skończy się tylko na agresywnej atomowej retoryce. Kolejnym krokiem na atomowej drabince strachu mogłoby być przewiezienie ładunków do jednostek – rozpoczęcie takich działań dałoby Zachodowi jakieś kilkanaście godzin na przygotowanie konkretnej reakcji, co też mogłoby służyć jedynie do podniesienia napięcia.

Istotą doktryny odstraszania nuklearnego nie tylko w przypadku Rosji, lecz także w przypadku każdego mocarstwa jądrowego jest niepewność potencjalnych wrogów co do momentu jej wykorzystania. Wszystkie deklaracje i groźby sięgnięcia po arsenał nuklearny są zaś elementem wojny informacyjnej i psychologicznej. Można więc mieć nadzieję, że nuklearny szantaż rosyjskich przywódców to tylko blef mający na celu wywołanie wreszcie u mieszkańców Zachodu potężnego strachu przed Rosją i ukazujący Rosjanom to, co od dawna lubią najbardziej, czyli że cały świat ich się boi.

Nawet rosyjscy przywódcy mają jednak świadomość ryzyka, które niesie ze sobą postawienie świata na krawędzi konfliktu atomowego na dużą skalę. Mimo to Zachód, w tym Polska, powinien poważnie traktować groźby Putina – choćby po to, aby pozostawić sobie pole manewru. A jednocześnie zostawiać sobie pole do dyplomacji, której celem byłoby ochłodzenie nieco niebezpiecznej „jądrowej gorączki".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

Łukasz Warzecha

Bójmy się

Polska już bywała „chojrakiem narodów". Kończyło się tak, jak zwykle kończy się chojrakowanie. Niestety, w polskiej debacie o wojnie rosyjsko-ukraińskiej dominuje wezwanie: „Nie bójmy się!"

Przed nuklearnym armagedonem w czasie zimnej wojny uratowała nas najprawdopodobniej doktryna MAD, czyli Mutually Assured Destruction – wzajemnie pewna destrukcja. Jak na ironię słowo „mad" znaczy po angielsku „szalony" i taka zresztą była gorzko-ironiczna intencja twórcy tego terminu, amerykańskiego eksperta od strategii – Donalda Brennana. Zatem uratowała nas obawa przed szaleństwem, którym faktycznie byłaby totalna wojna jądrowa.

Założenie MAD było takie, że gdyby konflikt zaczęła jedna ze stron, druga miałaby dość sił, środków i czasu, aby uderzyć odwetowo, a to oznacza zagładę nie tylko zaatakowanego, lecz także atakującego. Takie postępowanie nikomu się oczywiście nie opłaca, więc nikt nie byłby dość szalony, aby się do niego uciec. I rzeczywiście to działało.

Brennan po raz pierwszy użył terminu „MAD" w 1962 r., czyli wtedy, gdy miał miejsce kryzys kubański, wskutek którego świat znalazł się na krawędzi wojny jądrowej. Zdaniem niektórych teraz znaleźliśmy się w równie niebezpiecznej sytuacji, pierwszy raz od 60 lat. Choć oczywiście założenia doktryny odbijały się w strategiach obu mocarstw jeszcze przed 1962 r.

Istotnymi elementami MAD są strach i obawa przed skutkami wzajemnych ataków. Jeżeli jedna ze stron jest tej obawy pozbawiona, to MAD nie zadziała. To pokazuje, jak ważny jest element obawy w kalkulacjach na dużą skalę. Mówiąc w pewnym uproszczeniu – strach może uratować życie setkom milionów ludzi.

To zresztą żadna nowość, bo strach jest naturalnym ludzkim uczuciem, którego rolą zawsze było ratowanie nam życia. O ile nie jest to strach paraliżujący, o tyle sprzyja on racjonalnej ocenie sytuacji. Jednym z najbardziej niemądrych wezwań, a już zwłaszcza w skali państwa, jest: „Nie bójmy się, idźmy na całość, nic nam nie grozi!". Jest to bowiem wzywanie do szaleństwa nieobliczalnego w skutkach. Takie wezwanie nie jest specjalnie roztropne nawet na poziomie codziennym, ludzkim, natomiast na poziomie państwa jest zwyczajnie zbrodnicze. Oczywiście nie mówimy o tym, żeby państwo po ludzku „się bało" – państwo nie jest człowiekiem, nie ma emocji. Mowa natomiast o tym, żeby jego przywódcy na poważnie brali pod uwagę czynnik ryzyka. Polacy mają akurat fatalne historyczne doświadczenia z brawurą na poziomie państwowym – najgorsze te z 1939 r., gdy przed atakiem Niemiec nasza polityka była modelową wręcz ilustracją utraty zdrowego „strachu" na poziomie państwa. „Polska chojrakiem narodów" – można by powiedzieć, przypominając tamten czas. Skończyło się tak, jak zwykle kończy się chojrakowanie.

Z drugiej strony jasne jest, że tak jak nieracjonalnie zachowuje się człowiek sparaliżowany strachem, tak też państwo nie powinno w każdej sytuacji wybierać wariantu uległości, o ile istnieje odpowiednio wysoka szansa, że przy bardziej asertywnej postawie uda się osiągnąć zakładany cel. Na pewno jednak państwo

eprasa.pl 23f0335273

Prezydent Federacji Rosyjskiej Władimir Putin na spotkaniu z liderami separatystów z obszarów okupowanych przez Rosję na Ukrainie, Moskwa, 30 września 2022 r. FOT. CONTRIBUTOR/GETTY IMAGES

Putina

nie może się zachowywać jak podpity gieroj rzucający wyzwanie wszystkim wokół, szczególnie jeśli ma do czynienia z autentycznie groźnym przeciwnikiem.

PODSZEPTY „PARTII WOJNY"

Niestety, wezwanie „nie bójmy się" dominuje w polskiej debacie na temat wojny ukraińsko-rosyjskiej od początku. Ci, którzy wzywają do większej rozwagi i wytykają brak roztropności, nazywani są natomiast tchórzami. Całkiem racjonalne stwierdzenie, że człowiek boi się rosyjskiego odwetu, obawia się o swój majątek i bliskich, staje się pretekstem do prymitywnego hejtu.

Patronem rzekomych tchórzy ma być brytyjski premier Neville Chamberlain, przywożący z Monachium w roku 1938 porozumienie z Hitlerem. Analogie historyczne bywają jednak zwodnicze. Obecna sytuacja nie ma wbrew pozorom wiele wspólnego z końcówką lat 30., choćby dlatego, że Hitler nie posiadał broni jądrowej, przyszłych Aliantów zaś nie łączyło NATO, a Stany Zjednoczone w owym czasie przyglądały się wszystkiemu z drugiej strony Atlantyku, pogrążone w swojej „splendid isolation" (na wzór Wielkiej Brytanii w pierwszej połowie XIX w.). Nawet jednak uwzględniając te różnice, rytualne potępienia Chamberlaina przychodzą nam łatwo, bo patrzymy z perspektywy naszej obecnej wiedzy. W istocie polityka ustępstw z perspektywy ówczesnej Wielkiej Brytanii miała sens zarówno polityczny – brak było wtedy wśród Brytyjczyków woli zaangażowania się w wojnę – jak i militarny, bo Zjednoczone Królestwo do wojny po prostu nie było gotowe. Chamberlain otrzymał po powrocie z Niemiec 200 tys. listów i telegramów od wdzięcznych wyborców z podziękowaniami za załagodzenie sytuacji. Sondaże (dopiero wówczas raczkujące) pokazały, że 57 proc. badanych było usatysfakcjonowanych porozumieniem, a przeciwnego zdania było 33 proc. – przy czym nie ma pewności, czy w tej grupie byli wyłącznie ci, którzy gotowi byli walczyć z Hitlerem od razu; mogli się w niej mieścić także ci, którzy oczekiwali skuteczniejszej gwarancji pokoju. Jednocześnie 72 proc. respondentów było za zwiększeniem wydatków na zbrojenia. Chamberlain kupił swojemu krajowi bardzo potrzebny mu czas i żadne relacje nie wskazują na to, żeby uczynił to z powodu osobistego tchórzostwa. A taki argument również się we współczesnych dyskusjach pojawia. Można by wręcz postawić ryzykowną, bo całkowicie hipotetyczną tezę, że gdyby szefem brytyjskiego rządu w tym samym czasie był późniejszy wojenny przywódca Winston Churchill, również torys, jego postępowanie nie różniłoby się specjalnie od postępowania poprzednika.

Wróćmy do współczesności. Członkowie partii wojny powtarzają dzisiaj, że Rosji „nie wolno się bać". Najpierw trzeba sobie zadać pytanie, co to właściwie miałoby ich zdaniem oznaczać, bo – jak to często bywa – to stwierdzenie nie jest definiowane i traktuje się je raczej w kategoriach wiecowego okrzyku. Gdyby jednak rozumieć je dosłownie, musiałoby oznaczać niebranie pod uwagę w naszych poczynaniach realnego zagrożenia, które dla Polski stwarza Rosja, i działanie w taki sposób, jakby była już państwem upadłym. Tak jednak nie jest. Rosja w pewnych okolicznościach może być dla nas zagrożeniem zarówno bezpośrednim, jak i pośrednim.

ROSJA JEST SŁABA CZY MOCNA?

Przede wszystkim w rozumowaniu członków partii wojny kryje się sprzeczność. Z jednej strony argumentują, że Rosja jest już tak słaba, że Ukraina bez trudu może ją „pokonać" (cokolwiek miałoby to oznaczać, bo i to nie jest jasne), jeżeli

eprasa.pl 23f0335273

tylko dostarczymy jej wystarczającej pomocy. Zarazem twierdzą, że „jesteśmy następni w kolejce" i że konieczne jest „pokonanie Rosji" teraz, bo w przeciwnym wypadku będziemy przez nią zagrożeni. Można więc spytać: Jak to w końcu jest? Czy Rosja jest ich zdaniem słaba i na granicy krachu czy przeciwnie – wciąż tak silna, że jest w stanie zagrozić Polsce, jeśli tylko zmodyfikujemy naszą postawę w kierunku bardziej ostrożnej? Bardziej ostrożnej – to nie znaczy kapitulanckiej. Nie ma tu przecież mowy o rezygnacji z pomocy dla Ukrainy czy zgodzie na rosyjskie żądania dotyczące np. wycofania sił NATO do zachodniej granicy naszego kraju.

Żeby oszacować rosyjskie zagrożenie w pełni rzetelnie, musielibyśmy mieć wiarygodną wiedzę wywiadowczą o stanie rosyjskich sił. Czy taką ma jakakolwiek służba na Zachodzie – nie wiadomo. To, co do nas dociera, jest przede wszystkim odbiciem proukraińskiej propagandy, która przedstawia Rosję jako kraj niemal się już walący (a jednocześnie bardzo groźny dla Zachodu – nad tą sprzecznością w przekazie nikt się jakoś nie zastanawia).

Faktem niebudzącym wątpliwości jest natomiast to, że Moskwa ma duże zasoby ludzkie, po które mimo wielkiego ryzyka politycznego zdecydował się w końcu sięgnąć Putin – co wskazuje na jego determinację lub, jak chcą niektórzy, na desperację. Tak czy owak pokazuje to, że Putin gotowy był podjąć ryzyko, na które – jak wielu jeszcze niedawno twierdziło, w tym także z partii wojny – miał się nie zdecydować. Faktem jest również, że Rosja ma broń jądrową – i strategiczną, i taktyczną. W jakim stanie ona jest i czy nadaje się do użycia, nie wiemy. Lekceważące opinie, że „Ha, ha, ha, na pewno ma się tak samo dobrze jak żałosna armia Putina", nie są oparte na żadnych konkretnych danych. To czysta spekulacja. A w takim wypadku trzeba jednak założyć, że za pomocą tego instrumentu Putin może wyrządzić szkody. Trudno zresztą zakładać, że w całym zasobie jądrowym Rosji nie znalazłaby się jedna sprawna rakieta taktyczna z głowicą nuklearną. Jedna – bo przynajmniej na początku atak tą bronią nie miałby na celu przede wszystkim uzyskania konkretnego efektu militarnego, ale w większym stopniu efektu politycznego i psychologicznego. A do tego nie potrzeba zmasowanego ostrzału, wystarczy jedno skuteczne uderzenie.

Powinniśmy brać pod uwagę to, że niektóre rosyjskie reakcje będą mieć dla Polski katastrofalne konsekwencje

Racjonalne jest założenie, że nie byłoby to uderzenie w kraj NATO, bo nawet zakładając determinację Putina, nie ma przesłanek, by sądzić, że zmierza on do rozpoczęcia pełnoskalowej wojny z Zachodem z wykorzystaniem broni jądrowej. Musiał przecież zredukować swoje pierwotne cele i w tej chwili chodzi mu najpewniej o utrzymanie zdobyczy na wschodzie Ukrainy, a w większej skali – o uratowanie wizerunku siły, który stanowił atut Rosji na jej zapleczu. Bez niego Moskwie grozi znaczące zmniejszenie jej wpływu na państwa satelitarne – co zresztą już widać choćby na przykładzie Kazachstanu – a w relacjach z Chinami zostanie zredukowana do roli wasala. To jest dla Rosji w tej chwili największe wyzwanie i paradoksalnie im jest ono większe i im bardziej prawdopodobne jest, że ten właśnie scenariusz się spełni, tym bardziej rośnie zagrożenie przeniesieniem przez Rosję konfliktu na Ukrainie na kolejny, jeszcze wyższy poziom.

WSZELKIE KALKULACJE SĄ ZBĘDNE?

Tu zatrzymać się trzeba nad nieraz podnoszonym argumentem: nie ma znaczenia, co my robimy czy jakie środki i gdzie stosuje w tej wojnie Ukraina, ponieważ „Putin nie potrzebuje pretekstu, żeby uderzyć w jakikolwiek sposób". Gdyby przyjąć taki sposób rozumowania, trzeba by dojść do wniosku, że można sobie właściwie w ogóle odpuścić wszelkie kalkulacje, gdyż Rosja działa po swojemu bez względu na bodźce, okoliczności, uwarunkowania. To oczywiście nie jest prawda. Ataków na wiele celów na terytorium Ukrainy w ubiegłym tygodniu nie sposób nie wiązać z atakiem na most Kerczeński oraz z wcześniejszą ofensywą ukraińską. Jeśli Putin zdecyduje się sięgnąć po taktyczną broń jądrową, to również uczyni to z jakiegoś powodu. Może nim być np. groźba odbicia przez wojska ukraińskie terenów zagrabionych przez Rosję i uznanych przez nią za własne. Możliwe jest również, że rosyjski dyktator, jeśli uzna, że grunt pali mu się pod nogami, zechce przypuścić atak na linie zaopatrzenia z Zachodu, a nawet na polski hub, przez który to zaopatrzenie przechodzi, czyli na obiekty w Rzeszowie i okolicach. Atak na kraj NATO można chyba wciąż uznawać za względnie mało prawdopodobny, ale przecież to prawdopodobieństwo nie jest przez cały czas trwania wojny identyczne albo nieokreślone. Można oceniać, że w pewnych momentach maleje, a w innych rośnie. W tym momencie, ze względu na maksymalizację celów wojny z obu stron, zdecydowanie wzrosło.

Pytanie brzmi zatem: Czy powinniśmy kształtować naszą taktykę, uwzględniając te czynniki ryzyka, czy też „nie bać się" i od tych zagrożeń całkowicie abstrahować? Odpowiedź wydaje się oczywista. Nie tracąc z oczu naszego zasadniczego celu, którym powinno być zredukowanie ofensywnych zdolności Rosji, powinniśmy brać pod uwagę to, że niektóre rosyjskie reakcje będą mieć dla Polski katastrofalne konsekwencje, więc należy dążyć do tego, aby nie miały miejsca. Jeśli trzeba – to poprzez taktyczne ustępstwa lub wycofanie Polski z pierwszej linii.

W przeciwnym razie, nawet gdyby gdzieś w odległej perspektywie miały się objawić potencjalne – bynajmniej nie pewne – korzyści wynikające z osiągnięcia celu, którym jest znaczące osłabienie Rosji, Polska może już na tym nie skorzystać. Nie dlatego, że wojna – oby się tak nie stało – rozleje się po Europie. Wydaje się, że w najbliższym czasie nie jest to możliwe ze względu na głębokie zaangażowanie rosyjskich sił na wschodzie Ukrainy. Ale choćby dlatego, że osiągniemy nowy poziom eskalacji z powodu użycia jednak broni jądrowej albo nawet z powodu intensyfikacji działań konwencjonalnych na Ukrainie, co miałoby druzgocący wpływ na naszą i tak sponiewieraną gospodarkę.

Sprowadzanie dyskusji o naszej taktyce – w której, co prawda, mamy już dzisiaj ograniczone pole manewru, w dużej mierze z własnej winy – do absurdalnego pojedynku na to, kto jest „odważniejszy", oraz do wyzywania drugiej strony od tchórzy pokazuje jedynie nasz infantylizm. Polska w swoim położeniu nie może sobie – niestety – pozwolić na postawę „nasza chata z kraja". Nie musi jednakże ścigać się z innymi w demonstrowaniu rzekomej odwagi, a tak naprawdę – lekkomyślności.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

Już za tydzień

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo Edukacji i Nauki

eprasa.pl 23f0335273

Hipis i premier

Kamila Baranowska

Marek Kuchciński, odstawiony na boczny tor, dziś wraca do pierwszoplanowej polityki w roli szefa kancelarii premiera. Będzie oczami i uszami prezesa PiS, który miał i ma do niego pełne zaufanie

Największym atutem Marka Kuchcińskiego jest zaufanie, którym darzy go prezes PiS

FOT. ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

Zaufanie Jarosława Kaczyńskiego to największy polityczny kapitał, którym dysponuje Marek Kuchciński. I choć wielu mogłoby uznać to za negatywną recenzję jego kompetencji politycznych, to w PiS każdy wie, że jest to rzecz nie do przecenienia, i sytuuje go wysoko w partyjnej hierarchii.

Kuchciński objął stanowisko szefa kancelarii premiera po Michale Dworczyku, który odszedł wskutek nie tylko wycieku służbowych e-maili, lecz także wskutek wewnętrznych napięć wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy. Przeciwnicy premiera pod wodzą wicepremiera i ministra aktywów państwowych Jacka Sasina nie okazali się na tyle silni, by usunąć z urzędu samego Mateusza Morawieckiego, ale wystarczająco, by doprowadzić do dymisji jego prawej ręki i najbliższego współpracownika. Na to miejsce wszedł właśnie Marek Kuchciński, który od 2019 r. pozostawał nieco z boku.

LOTY I SPRAWY NA PODKARPACIU

Trzy lata temu musiał odejść z funkcji marszałka Sejmu po tym, jak portal Onet ujawnił, że przez rok Kuchciński odbył 100 lotów na trasie Warszawa – Rzeszów (polityk mieszka na Podkarpaciu), co kosztowało budżet państwa ponad 4 mln zł. Był rok do wyborów, media trąbiły o sprawie, wyborcy się oburzali, więc prezes PiS doszedł do wniosku, że dla dobra partii Kuchcińskiego trzeba usunąć z funkcji marszałka.

Wszyscy w partii wiedzieli jednak, że zdecydował pragmatyzm wyborczy (afera z lotami wybuchła w sierpniu 2019 r., dwa miesiące przed wyborami), a nie przekonanie Kaczyńskiego, że działania Kuchcińskiego były czymś dyskwalifikującym. Zwłaszcza że w wyborach Kuchciński dostał jedynkę, czyli pewne, „biorące" miejsce na liście do Sejmu w Przemyślu, swoim okręgu, z którego zawsze kandydował.

W nowej kadencji Sejmu został zaś wiceprzewodniczącym klubu parlamentarnego PiS, a potem także szefem sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Sprawa wykorzystywania rządowych samolotów do celów prywatnych nie jest jedyną, która ciągnie się za byłym marszałkiem Sejmu. Przy okazji jego nominacji na szefa kancelarii premiera media przypomniały sobie bowiem o tzw. aferze podkarpackiej, w której przewinęło się nazwisko Kuchcińskiego. W 2019 r. w reportażu

eprasa.pl 23f0335273

TVN były agent CBA stwierdził, że służby swego czasu zatuszowały skandal obyczajowy z udziałem ważnego polityka PiS z Podkarpacia. W tym kontekście zaczęło się pojawiać nazwisko Kuchcińskiego. On sam zareagował na te rewelacje zawiadomieniem do prokuratury oraz prywatnym aktem oskarżenia i pozwem cywilnym wobec byłego funkcjonariusza CBA. Dziś, obejmując nowe stanowisko, postanowił wydać oświadczenie w tej sprawie. Wskazał w nim, że od trzech lat w mediach pojawiają się zniesławiające go treści, które insynuują, jakoby polityk miał się dopuścić, jak on sam to ujął, „bardzo nagannego, nieobyczajnego czy wręcz przestępczego zachowania". „Kategorycznie stwierdzam, iż insynuacje sugerujące jakikolwiek mój związek z nieobyczajnym zachowaniem czy przestępstwem są nieprawdziwe. Wobec osób lub podmiotów (jak np. redakcji gazet), które powtarzały te zniewagi, wszczęłem stosowne kroki prawne w trybie cywilnym i karnym" – napisał w oświadczeniu Kuchciński, dodając, że postępowania nie zostały zakończone.

Nawet jeśli te kwestie wizerunkowo nie pomagają dziś ani PiS, ani rządowi, to dobrze pokazują, jak dużym zaufaniem prezesa cieszy się Marek Kuchciński. Prezes wiedział, że powinien go zagospodarować, ale – jak tłumaczy nam osoba dobrze zorientowana w wewnątrzpartyjnych układankach – tak, by nikomu tym nie zaszkodzić. Kuchciński jest zaliczany do grona takich polityków, z których nominacjami trzeba uważać. Dlatego Kaczyński nigdy nie zrobił go ministrem, a jak się okazało, także powierzenie mu funkcji marszałka Sejmu nie było zbyt trafionym pomysłem. Czy Kuchciński poradzi sobie jako szef KPRM? To funkcja, w której trzeba odznaczać się pracowitością, sprawnością i skutecznością.

PRZECIWIEŃSTWO DWORCZYKA

Czy nowy szef kancelarii Marek Kuchciński ma większy talent organizacyjny niż Michał Dworczyk? – takie pytanie dzień po nominacji Kuchcińskiego zadał rzecznikowi rządu Piotrowi Müllerowi Bogdan Rymanowski w Polsat News. – Panie redaktorze, jak dwa takie duże talenty porównywać? Nie mogę takich rzeczy robić – odpowiedział Müller. – Umawialiśmy się na metodę: tak czy nie? – dopytywał Rymanowski. – Musiałby pan jeszcze raz powtórzyć mi to pytanie – stwierdził Müller. – Czy nowy szef kancelarii Marek Kuchciński ma większy talent organizacyjny niż Michał Dworczyk? – powtórzył dziennikarz. – Tak, wierzę w to – odpowiedział rzecznik rządu.

Trudno jednak uwierzyć w szczerość tych deklaracji. Dworczyk to uosobienie politycznej skuteczności, w PiS był określany jako człowiek do zadań specjalnych, który zawsze „dowoził" powierzane mu zadania. Kuchciński zaś to jego przeciwieństwo. W partii ma opinię człowieka, który nie lubi się przemęczać i jest przekonany o swojej wyjątkowości. – Uwierzył, że jako druga osoba w państwie przechodzi właśnie do historii – opowiadał nam jeden z polityków PiS w czasie, gdy Kuchciński był jeszcze marszałkiem Sejmu. – Uwiera go, że reszta osób tego nie dostrzega i nie obdarza go należytym szacunkiem. Zwłaszcza media – dodawał, tłumacząc skąd się wzięła niechęć Kuchcińskiego do dziennikarzy.

Kuchciński, będąc marszałkiem, mocno utrudniał mediom życie, blokował miejsca, do których dotąd dziennikarze mieli swobodny dostęp, wprowadzał niezrozumiałe ograniczenia, wycofywał niektóre przepustki. Oficjalnie – z powodów organizacyjnych bądź z powodów bezpieczeństwa. A w rzeczywistości, jak tłumaczyli nam swego czasu politycy z jego partii, uważał, że „poplątane kable i dziennikarze, którzy chodzą po Sejmie, jak chcą" to objaw braku szacunku do niego i posłów i trzeba z tym zrobić porządek. Od zawsze miał o dziennikarzach nie najlepsze zdanie, uznając ich za zło konieczne i mając pretensje, że zajmują się sensacją i plotkami, zamiast robić z nim wywiady o sprawach ważnych.

Ze spraw ważnych w politycznej biografii Kuchcińskiego na pewno warto odnotować także rok 2016 i tzw. pucz sejmowy, do którego doszło poniekąd za jego przyczyną. Dwa dni po wprowadzeniu nowych porządków dla mediów w Sejmie podczas obrad poseł opozycji Michał Szczerba wszedł na mównicę z kartką „Wolne media w Sejmie" i zwrócił się do marszałka słowami: „Panie Marszałku kochany", za co został wykluczony z obrad. Wtedy grupa posłów opozycji rozpoczęła trwającą prawie miesiąc blokadę mównicy sejmowej, co zapoczątkowało kryzys sejmowy i liczne protesty pod budynkiem Sejmu.

„PENELOPA" Z OPOZYCYJNĄ KARTĄ

Nie tamte wydarzenia były jednak najbardziej burzliwymi w jego życiu. Choć jako polityk Kuchciński sprawia wrażenie zawsze poważnego, a nawet sztywnego, to w przeszłości był szalonym hipisem z pasją do filozofii i kultury niezależnej. Chodził w dzwonach, nie stronił od używek, miał długie włosy i ksywkę Penelopa z racji, jak potem wyjaśniał w jednym z wywiadów, wierności zasadom. Później, gdy robił już polityczną karierę, dystansował się od tego, co robił w czasach młodości, mówiąc np., że „nie traktuje tej swojej młodości poważnie", bo „hipisem był raczej do dziesiątej, a potem do domu, bo tata by się denerwował" (wywiad dla „Gazety Wyborczej" z 2006 r.). Na poważnie jednak traktował swój ówczesny antykomunizm; za działalność opozycyjną został w 1985 r. aresztowany na trzy miesiące. W czasie rewizji znaleziono u niego ulotki Solidarności, a także podziemne pisma i książki. Potem, w 1989 r., zakładał Klub Obywatelski w Przemyślu.

Ładna opozycyjna karta oraz wierność braciom Kaczyńskim od samego początku (z Porozumieniem Centrum związał się w 1990 r.) były gwarantem jego politycznej kariery, do której początkowo nie był specjalnie przekonany. Co prawda, został radnym, potem nawet wicewojewodą, ale jako technik ogrodnictwa zajmował się ogrodami i z tego głównie żył. Jak wyznał po latach Jarosław Kaczyński, Kuchciński miał mu mówić, że bał się, iż media wyciągną mu jego hipisowską przeszłość, która będzie obciążeniem i dla niego, i dla partii.

Do Sejmu kandydował po raz pierwszy, z sukcesem, dopiero w 2001 r. Pięć lat później, w czasie rządów PiS, stanął na czele klubu parlamentarnego. Nie był lubiany przez kolegów z partii. – Ma dosyć ostre usposobienie. Gdy był szefem klubu, często na niego narzekano. Chyba z tego powodu, że trzymał klub krótko i ciężkiego słowa nie żałował – opowiadał Jarosław Kaczyński w „Polsce naszych marzeń".

Od lat ma opinię człowieka trudnego we współpracy i sztywnego. I choć Kaczyński doskonale o tym wie, to dla powierzenia mu stanowiska w kancelarii premiera nie miało to większego znaczenia. Znaczenie ma to, że Kuchciński będzie pilnował, by każdy planowany ruch premiera i jego otoczenia docierał z prędkością światła na Nowogrodzką. A także to, że z takiego obrotu spraw zadowoleni są wszyscy krytycy Mateusza Morawieckiego, przekonani o tym, że bez Michała Dworczyka u boku premier polegnie na pierwszym większym kryzysie. Bo kto jak kto, ale Kuchciński go z niego raczej nie wyciągnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

Kongres w naftalinie

Rafał A. Ziemkiewicz

Polskie feministki były odklejone od rzeczywistości od dawna. Teraz odkleiły się także od własnych nurtów

Doroczna impreza polskich feministek jest oczywiście „kongresem kobiet" w takim samym stopniu, w jakim zjazdy komunistyczne były „kongresami ruchu robotniczego". Prawo do przemawiania w imieniu kobiet jako takich, a w szczególności w imieniu kobiet polskich, uzurpuje sobie grono aktywistek o poglądach, najdelikatniej mówiąc, mocno niereprezentatywnych dla ogółu. Jak bardzo niereprezentatywnych, dowiodły przeprowadzone na jednym z kongresów prawybory, w których po 40 proc. głosów zdobyły PO i SLD, kolejne 10 proc. – partia Razem, a PSL i partie prawicowe nie wyszły ponad 2–3 proc.

Tak dobrane kobiece grono siłą rzeczy formułuje przekazy w stu procentach zgodne z przekazem byłej partii rządzącej, obecnie jako największa partia opozycyjna starającej się przejąć kontrolę nad całym antypisem, umieszczając go na układanej przez Donalda Tuska „wspólnej liście". A ponieważ partia ta ma wiele mocniejszych rezonatorów i bardziej wpływowe, nie mówiąc już o obliczalności, „autorytety", głos zawodowych kobiet brzmi raczej słabo i kolejne kongresy w coraz mniejszym stopniu przebijają się do głównego nurtu mediów. Już bardziej zauważają je media „prawicowe", dla których rozmaite zachowania uczestniczek – w rodzaju malowniczego „tańca równości" czy zakładania sobie na głowy, w proteście przeciwko nikt już nie pamięta czemu, papierowych toreb, niczym w serialu „Allo, allo" – traktują jako źródło tzw. beki.

TUSK, MENSTRUACJA I DEKOLT

„Nagroda dla Tuska to chyba jedyna rzecz, jaka przebije się z tegorocznego Kongresu Kobiet" – skomentowała na bieżąco publicystka i blogerka Kataryna, znana z życzliwości jeśli nie dla środowisk feministycznych, to co najmniej dla większości ich postulatów. Gwoli ścisłości trzeba zaznaczyć, że obawy Kataryny nie do końca się spełniły. Do mediów przebiły się jeszcze „obywatelska ustawa menstruacyjna", zaprezentowana na Kongresie przez Dominikę Kulczyk (projekt, pod którym feministki chcą zebrać 100 tys. podpisów i zgłosić go do Sejmu, zakładający powszechny, bezpłatny, tzn. finansowany przez państwo dostęp do „środków menstruacyjnych" i „edukacji dotyczącej menstruacji"), oraz szeroki do sutków i głęboki do pasa dekolt niejakiej Mai Staśko, która w przestrzeni publicznej zaistniała niegdyś jako „działaczka antyprzemocowa", bardzo hałaśliwie uczestnicząca w medialnym niszczeniu ofiar polowania na „przemocowców", zresztą przeważnie, jak np. Jakub Dymek, wybieranych z lewicowego środowiska, w ramach jego wewnętrznych porachunków. Od pewnego czasu Staśko szuka rozgłosu na inne sposoby – m.in. ogłosiła swój udział w tzw. Fame MMA, która to rozrywka stanowi bardziej brutalną, współczesną wersję dawnych cyrkowych zapasów kobiet w błocie albo w kisielu. Gdy jej prowokowanie na Kongresie golizną spotkało się w lewicowych mediach i na społecznościówkach lewicujących aktywistów z krytyką, Staśko po raz kolejny ogłosiła się „ofiarą zmasowanego hejtu", przyrównując swe męczeństwo do losu kobiet w Iranie, z wyraźną sugestią, że to, co ją spotyka w Polsce, jest gorsze.

Z powszechną krytyką, i to właśnie na lewicy, spotkała się także wspomniana już decyzja Kongresu o utytułowaniu jako Człowieka Roku Tuska. W najłagodniejszych polemikach określono ten tytuł, parafrazując sławny dialog z „Misia" Barei, jako „przyznany na zachętę". Z jednej strony lewicowe media i działaczki wytykały organizatorkom, że ich laureat, gdy miał realny wpływ na bieg spraw w Polsce, nie zrobił nic dla realizacji feministycznych postulatów, a jego obietnica, że nie wpuści na „wspólną listę" opozycji nikogo, kto nie jest zwolennikiem aborcji na życzenie, niewątpliwie będąca przyczyną nagrodzenia go, to tylko obietnica, jedna z dziesiątek podobnych obietnic, które Tusk zdążył już w swej karierze złożyć i złamać. Z drugiej, choć tego nie wyrażano tak głośno, zapro-

eprasa.pl 23f0335273

Donald Tusk dostał specjalną nagrodę na tegorocznym Kongresie Kobiet
FOT. KRZYSZTOF KANIEWSKI/REPORTER

Na polskim Kongresie Kobiet wszystko wyglądało jak co roku, jakby świat zatrzymał się dwie dekady temu

szenie i uhonorowanie Tuska odebrano jako jednoznaczne poparcie „kobiet" dla starań przewodniczącego PO o „zlubnaueryzowanie" za pomocą „wspólnej listy" Lewicy i Polski 2050, co politycy tych partii uznali za zdradę. Im jest trudniej, niż organizatorkom Kongresu, zapomnieć, jak świeżej daty jest lewicowy radykalizm Tuska, zaprezentowany w przemówieniu na Kongresie nie tylko w kwestii aborcji, lecz także w gwałtownym potępieniu rzekomego „maltretowania uchodźców" na wschodniej granicy, które Tusk, swego czasu publicznie prezentujący wobec imigracyjnej broni Łukaszenki całkowicie odmienne stanowisko, teraz nazywa „jednym z największych łajdactw, jakie się kiedykolwiek w Polsce zdarzyły".

Fakt, że na Kongresie zdawano się o tym zupełnie nie pamiętać, zakrawa na partyjną rozgrywkę, tym bardziej że organizacyjnie zdominowały imprezę działaczki – nie wymawiając wieku – najstarszego pokolenia polskich feministek, na czele z Małgorzatą Fuszarą i Magdaleną Środą. Zapewne to właśnie sprawiło, że poza jednoznacznym przekazem partyjnym doroczny zlot feministek miał się zupełnie nijak do tego, co dzieje się w ostatnich latach z feminizmem na stawianym nam przez przemawiające na Kongresie „gościnie" za wzór Zachodzie.

NOWA FALA

Najlepszym dowodem na to, jak bardzo „odkleiły się" tutejsze feministki od światowych trendów, jest choćby owa „menstruacyjna" ustawa Dominiki Kulczyk. Na świecie epatowanie waginami, macicami i menstruacją nie tylko dawno już jest niemodne, lecz także stało się przejawem faszyzmu – „transfobii", a głośne swego czasu „Monologi waginy" zostały jako „mowa nienawiści" wycofane z większości uniwersyteckich bibliotek. Jest to przecież odmawianie prawa do identyfikowania się jako kobiety „kobietom z penisem" – „terfizm", za który feministki dawnego typu płacą publiczną anatemą i różnego rodzaju prześladowaniami. Martina Navratilova została pozbawiona swych tytułów i usunięta ze związku tenisowego; J.K. Rowling jest po orwellowsku wymazywana z wydarzeń związanych z jej „Harrym Potterem"; Kathleen Stock, często kiedyś przez polskie feministki cytowana, musiała porzucić katedrę na uniwersytecie Sussex oraz dom i do dziś ukrywać się wskutek pogróżek i fizycznych napaści bandytów z organizacji „trans" oraz antify. Inna brytyjska działaczka feministyczna, Jennifer Swayne, została aresztowana i skazana za próbę rozwieszenia plakatów protestujących przeciwko coraz częstszej na Zachodzie praktyce przenoszenia na kobiece oddziały więzienne najbardziej nawet brutalnych bandytów, jeśli tylko zadeklarują, że poczuli się kobietami – co sprawia, że więźniarki są tam coraz częściej maltretowane i gwałcone bez szansy na czyjąkolwiek interwencję.

Wbrew temu, co można by sądzić po rutynowej gadaninie Kongresu, niezmieniającej się od lat, ta fala dotarła już do Polski i zbiera swe żniwo. Niekiedy ma to wymiar groteskowy, jak w przypadku „Margota" Szutowicza, utrzymującego jako „pedałkini" haremik „sióstr lesbijek" (nawiasem mówiąc, feministyczny świat anglosaski podzielony jest właśnie stosunkiem do akcji „lesbijek z penisem", które pod ochroną policji wdarły się na lesbijski kongres w Australii). Niekiedy wydarzenia, wśród prawicy przyjmowane z uczuciem schadenfreude, wieją autentyczną grozą – tak było w wypadku wyszczucia przez agresywnych „transów" z Uniwersytetu Jagiellońskiego dr Magdaleny Grzyb, specjalistki od kryminologii przemocy wobec kobiet, czy usunięcia z partii Razem Urszuli Kuczyńskiej za protest przeciwko usuwaniu z języka lewicy pojęcia „kobieta", a przede wszystkim przeciwko wspieraniu przez lewicę seksbiznesu i pornografii, bo tym w praktyce jest dodanie do katalogu „chronionych mniejszości" „seksworkingu".

Mówiąc krótko – codzienność współczesnego feminizmu najlepiej oddaje odnotowany przez nas swego czasu na tych łamach oficjalny dokument superpostępowego rządu Kanady, w którym na wszystkie postulaty organizacji kobiecych odpowiedziano zbiorczo, że „nie można obecnie podjąć żadnych działań na rzecz realizacji praw kobiet, ponieważ niemożliwe jest skonstruowanie prawnej definicji pojęcia kobieta". Tymczasem na polskim Kongresie Kobiet wszystko wyglądało jak co roku, jakby świat zatrzymał się dwie dekady temu. Podstarzałe ciotki rewolucji wraz ze świecącą gołą klatą skandalistką „dyskutowały" o tym, jak dobra i konieczna jest jak najpowszechniejsza aborcja, jak źli są mężczyźni, Kościół i PiS, i jak dobry jest Tusk, obiecujący na swojej liście „parytety" i „suwaki" dające prominentnym działaczkom szansę na załapanie się do Sejmu.

To, że środowiska feministyczne nie mają zielonego pojęcia o realnym życiu, o prawdziwych problemach polskich kobiet – to nic nowego, tak było zawsze. Ale to, że nie mają pojęcia nawet o realiach funkcjonowania samego feminizmu, to już swoisty rekord. Trudny do pobicia, jak się wydaje. Ale zaczekajmy cierpliwie na Kongres przyszłoroczny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

Piotr Semka

Urban zdawał się u schyłku życia przeżywać gorzkie dni. Trwanie u władzy PiS przez kolejne siedem lat doprowadzało go do wściekłości, ale był wobec tego procesu bezradny

Fenomen Jerzego Urbana rzadko bywa głębiej analizowany. Albo spotykamy się z bardzo emocjonalnymi potępieniami, albo – jak po jego niedawnej śmierci – z podkreślaniem jego dziennikarskiego, publicystycznego talentu czy ponadprzeciętnej inteligencji. Najmniej jest jednak chłodnych analiz tego, dlaczego czołowy propagandzista ekipy Jaruzelskiego przyjął na siebie rolę ni to błazna, ni to herolda kłamstwa i dlaczego po 1989 r. nie tylko postkomuniści, lecz także ludzie zaangażowani w ruch Solidarności nagle zapałali do niego pozytywnymi uczuciami.

Niedawny pogrzeb Jerzego Urbana, na którym przemawiał Aleksander Kwaśniewski i w którym uczestniczył Adam Michnik, mówi nam bardzo wiele nie tylko o istocie PRL, lecz także o ciągłości między „postępowymi" elitami w epoce Polski Ludowej i w czasach III RP.

KŁAMSTWO JAKO SPOSÓB ŻYCIA

„Lubię być nielubiany. Oczywiście kreacja złego Urbana jest trochę udawana, trochę nieudawana" – te słowa wypowiedział były rzecznik rządu PRL w wywiadzie rzece przeprowadzonym przez Martę Stremecką w 2013 r.

Tę perwersyjną przyjemność z bycia znienawidzonym rozwijał w sobie równolegle do rozwijania swej maniery publicystycznej. Jak mówił w jednym z wywiadów: „Mnóstwo ludzi publicznie jest bardzo układnych, a potrzebę agresji odreagowują w domu. Ja agresywnie piszę. Dlatego w kontaktach z ludźmi jestem mało wyrazisty, spokojny, grzeczny, umiem się przystosować do środowisk i miejsc pracy. Wyładowuję się na ludziach i kierunkach politycznych, które mi się nie podobają".

Urban wypowiedział te słowa w 2013 r. i młodsi czytelnicy mogliby uwierzyć, że zawsze był zadzierżysty politycznie. Jest to

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI

eprasa.pl 23f0335273

Anatomia zła

Odejście znudzonego szatana (cz. II)*

oczywiście mistyfikacja Urbana. W czasach gomułkowskiego i gierkowskiego PRL strach o własną skórę powstrzymywał go przed pisaniem o polityce. Jeśli bywał okrutny i bezlitosny, to opisując rozmaite ciekawe przypadki, które dotykały zwykłych obywateli Polski Ludowej. I wtedy rzeczywiście bywał wobec swoich bohaterów bezlitosny. Ale w 1981 r. jakaś siła pchnęła go do polityki. Jaka?

W poprzednim odcinku pisałem już, że dla Urbana życiowa stabilizacja w dziennikarstwie zaczęła się wraz z wejściem do redakcji tygodnika „Polityka". To pismo było odpowiednio ustawione w establishmencie PZPR, a jednocześnie było na tyle, na ile można było sobie pozwolić, umiarkowanie liberalne i prozachodnie. I to był dla Urbana ideał szczęścia. Ale gdy zaczęła się druga połowa lat 70., jego azyl zaczął odczuwać polityczne ruchy tektoniczne. Urban z niepokojem odkrywa, że w tygodniku „Polityka" – jego wymarzonym dziennikarskim „hotelu klasy lux" – niektórzy goście zaczynają rozglądać się za opozycją. Nawet po wielu latach Urban oburzał się, że Dariusz Fikus zamieszczał wtedy w podziemnych pisemkach swoje teksty zdjęte przez cenzurę, jak zaznaczał zjadliwie Urban, „oczywiście z adnotacją, że zamieszczone są bez wiedzy autora". W innej wypowiedzi bohater tego tekstu oburzał się, że „Krallówna [Hanna Krall] chodziła gdzieś tam po księżach z Kieślowskim".

To rozczarowanie „Polityką", a po wybuchu Solidarności lęk przed eksplozją aktywności „narodowo-katolickich mas" pchnęły go do obozu gen. Jaruzelskiego. Przewodnikiem w tej podróży do oblężonej PZPR-owskiej twierdzy był jego patron z „Polityki" Mieczysław Rakowski, który właśnie objął funkcję wicepremiera u boku premiera Wojciecha Jaruzelskiego. I wtedy Urban odkrył, że wśród medialnie ślepych komunistów on, jako jednooki, jest królem. Zżymał się na defensywną postawę partyjnych i dokonał swoistego kopernikańskiego odkrycia – jeśli kłamać, to już na sporą skalę.

Swój chrzest bojowy na tym polu przeszedł w sierpniu 1981 r., kiedy po raz pierwszy uczestniczył, jeszcze jedynie jako doradca premiera, w jednej z tur negocjacji między rządem PRL a NSZZ „Solidarność". Późną nocą, gdy skończono bez efektów rozmowy z Solidarnością i gdy przedstawiciele Związku nie podpisali wspólnie zredagowanego komunikatu, obie strony były zmęczone i poszły spać. Tyle że Urban przekonał Rakowskiego, że jeszcze w nocy trzeba szybko wydać oświadczenie, iż to Solidarność zerwała rozmowy. Komunikat o takiej treści był odczytywany w radiu co godzina od szóstej rano.

Solidarnościowy rzecznik Janusz Onyszkiewicz to dementował, ale było już za późno. Powstało wrażenie, że to Solidarność nie chce porozumienia. Urban po latach szczycił się tym kłamstwem: „Chodziło mi o to, żeby zepchnąć Solidarność do defensywy. Naród się dowiedział, że rząd chce się dogadać, chce porozumienia, a tu proszę. Solidarność zrywa rozmowy. To oczywiście była manipulacja, ale jestem z niej bardzo zadowolony [...]. Ten komunikat miał wielkie znaczenie dla aparatu partyjnego w całym kraju. Dał przynajmniej psychologiczną przewagę, wytrącił z marazmu nieustannie przegrywających ludzi".

Urban był więc elementem, który wzmocnił w czołówce PZPR wolę pokonania Solidarności. Były bywalec warszawskich salonów puszczał oko do prostackich sekretarzy wojewódzkich partii komunistycznej, dając do zrozumienia: „I wy, i ja chcemy zachować świat, w którym jesteśmy uprzywilejowaną elitą. Za wami stoi siła polityczna esbecka i wojskowa, a ja wiem, jak otumanić ludzi. Jak pchnąć społeczeństwo ku depresji".

Urban był elementem, który wzmocnił w czołówce PZPR wolę pokonania Solidarności. Doradzał Jaruzelskiemu kreowanie dziesiątek konfliktów z Solidarnością w taki sposób, by związek tracił swój autorytet jako siła ofensywna

I tak się dokładnie stało. Urban doradzał Jaruzelskiemu kreowanie dziesiątek konfliktów z Solidarnością w taki sposób, by związek tracił swój autorytet jako siła ofensywna. Ekipa komunistyczna dorzuciła do tego jeszcze pogorszenie sytuacji rynkowej w kwestii wyżywienia. Ludzie, marnując coraz więcej czasu na zdobycie podstawowych produktów życiowych, gorzknieli i odchodzili od idealistycznego klimatu zachłyśnięcia się wolnością. O samym – jak twierdzi Urban – planie wprowadzenia stanu wojennego nic nie wiedział. Można mu ufać, gdyż tępogłowy aparat wciąż jeszcze nieufnie patrzył na niegdysiejszego quasi-opozycjonistę. Oczywiście Urban był na tyle inteligentny, by zauważyć, że w gabinecie Jaruzelskiego coraz częściej przesiadują generałowie, a resztę potrafił

eprasa.pl 23f0335273

sobie odcyfrować z aluzji swego przyjaciela Mieczysława Rakowskiego.

CORRIDA „USZATKA"

Po 13 grudnia Urban postanawia zorganizować konferencję prasową dla zagranicznej prasy. Dla tępogłowego aparatu był to jakiś dziwaczny show, w którym przedstawiciel władzy cacka się z zachodnimi żurnalistami, którzy w ich opinii byli po prostu przebranymi agentami zachodnich służb specjalnych. Urban wspomina: „(Jaruzelski) na początku był bardzo niezadowolony z tego, jak wyglądam i jak się zachowuję. Że jestem łysy, gruby, a powinienem być wysokim blondynem. Że majtam nogami pod stołem, że jestem jakiś luzacki i że bawię się długopisem, a nawet papierosem [...]. Ja to zlekceważyłem, bo poczułem, że właśnie przy tej sztywnej władzy pewne luzactwo i niestosowanie się do norm, jakie przewidywała ówczesna telewizja, to jest moja siła. Po jakimś czasie Jaruzelski to zrozumiał i uznał, że w ogóle się do mnie nie należy wtrącać".

Urban sam po latach wyznawał, że wykreował sobie dobrze przemyślaną rolę. Postanowił, że Jaruzelski będzie dobrym policjantem, a on będzie tym złym. Wspomina: „Miałem poczucie, że jestem wojownikiem, że istnieje na tym froncie, w tej armii, do której się zaciągnąłem, podział broni. Jaruzelski mówi słodkie słowa, ja jestem od przywalania. Mnie ta rola odpowiadała, bo lubię przywalać".

Urban wiedział, że jego nowa taktyka ma w sobie pewną diabelską siłę. O ile wcześniejsze ekipy zanudzały widzów gładką mową-trawą, w której opowiadano, jak wspaniały jest socjalizm i jak ludzie dobrze żyją, o tyle on przyjął taktykę brutalnego realizmu. Dawał Polakom do zrozumienia: „Nie będę was przekonywał, że jesteśmy aniołami. Nie chcę, żebyście nas kochali, ważne, byście się nas bali. My damy sobie radę". Stąd jego słynne słowa o tym, że „rząd się sam wyżywi". Niosły one ze sobą prosty przekaz: „Albo dostosujecie się do naszych żądań, albo zdechniecie z głodu".

Wprowadził też do walki z opozycją instytucje osobistych ataków publicystycznych wobec osób, które reżim uznawał za wyjątkowo groźne. Urban wykorzystywał do tego celu felietony pisane pod różnymi pseudonimami, ale powszechnie rozpoznawane jako jego utwory. Ta pasja w poniżaniu i tak już inwigilowanych oraz prześladowanych przeciwników była wtedy czymś nowym, mającym precedensy tylko w kampaniach gazetowych z lat stalinowskich i Marca '68.

Na zawsze nazwisko Urbana będzie kojarzyć się z obrażaniem poetki Barbary Sadowskiej, matki zamordowanego w 1983 r. licealisty Grzegorza Przemyka, i z kampanią przeciw ks. Jerzemu Popiełuszce. Kampanią, która zakończyła się mordem na odważnym kapłanie.

Kolejną cechą jego propagandy była linia, którą nazwano po latach panświnizmem. Była to wizja świata, w której nie ma pozytywnych bohaterów, a jedni i drudzy uczestnicy konfliktu są siebie warci. Władza, owszem, jest nieprzyjemna, ale Solidarność była głupia, nierealistyczna i mająca swoje liczne grzeszki. Stąd kpiny z tych, którzy rzekomo marzyli o tym, by być internowani, a władza się nimi nie zainteresowała. Stąd opowieść o płk. Ryszardzie Kuklińskim, który znał plany wprowadzenia stanu wojennego i przekazał je Amerykanom, ale nie ostrzegł Solidarności. Stąd snute z chęcią przez Urbana aluzje na temat rzeki dolarów, która płynie do podziemnej Solidarności, za którą to „podziemni pseudobohaterowie" kupują sobie papierosy w pewexie, piją drogą whisky i zaciągają do łóżka naiwne solidarnościowe łączniczki.

Konferencje Urbana jako dziwaczny, ale atrakcyjny show przyciągały uwagę wielu Polaków. Duża część widzów „łykała" podświadomie zatruty przekaz medialnego lucyfera

Konferencje Urbana jako dziwaczny, ale atrakcyjny show przyciągały uwagę wielu Polaków. Odreagowywali oni wyrzuty sumienia z powodu oglądania tego widowiska poprzez dowcipy o uszach Urbana, ale w istocie wielu widzów „łykało" podświadomie zatruty przekaz medialnego lucyfera. Ten wpływ Urbana na ludzi owocował powolnym odpływaniem mobilizacji społecznej z okresu tuż po 13 grudnia. Był alibi dla cichych solidarnościowych apostazji – decyzji o wyjeździe za granicę, wycofaniu się z płacenia składek związkowych czy zwykłego zaszycia się w wewnętrzną emigrację.

Dla władz, które ciągle obawiały się jakiejś wielkiej mobilizacji społecznej, takie uspokojenie nastrojów było jak tlen dla osoby, która się dusi.

Urban pozował na wielkiego kpiarza, ale w stosunku do samego siebie nie miał dystansu. Bardzo pouczająca jest historia opowiedziana niedawno przez pisarza Bohdana Wrocławskiego. Założył on w piwnicy w Warszawskim Domu Kultury Kolejarzy – Piwnicę Literacką. Jak wspominał: „Zaczęły się koncerty, bilety były wyprzedawane na pół roku do przodu, aliści na jeden z koncertów przyczołgali się obywatele Jerzy Urban i Leszek Żuliński [literat posłuszny ówczesnym władzom – przyp. P.S.]".

Jak wspomina Wrocławski, jeden skecz Piwnicy był parodią Urbanowskich konferencji prasowych. Gdy zobaczył to Jan Himilsbach, orzekł, że czarno widzi dalszą przyszłość istnienia Piwnicy. Zaniepokojony Wrocławski zapytał Urbana, czy czuje się urażony skeczem. „Ależ skąd, przecież to zabawa" – odpowiedzieć miał Urban. Jak wspomina Wrocławski – dwa dni później Piwnicę z rozkazu władz zamknięto.

Wygaszenie solidarnościowego żaru lat 1981–1984 miało też dla Urbana niezbyt miłe konsekwencje. Władza, owszem, zatrzymała groźbę wybuchu społecznego pod hasłem „Zima wasza, wiosna nasza", ale Polska pogrążała się w letargu i ekonomicznej beznadziei. Urban pytany przez Martę Stremecką, dlaczego mimo to tkwił w obozie władzy, odpowiadał: „Bo władza wciąga. Być blisko osoby, która podejmuje decyzje dotyczące milionów ludzi, bardzo rajcuje. Ja jednak od roku 1986 wiedziałem, że mój udział w rządzie dobiegnie rychło końca. Wiedziałem, że moje nazwisko stanowi symbol walki z opozycją. Natomiast wewnątrz struktury władzy działałem na rzecz porozumienia z opozycją i demokratyzacji. Wiedziałem, że ziszczenie się tych dążeń to mój koniec, bo Urban będzie balastem politycznym".

NOWA WSPANIAŁA EPOKA

Trudno mi nie odnieść wrażenia, że Urban w tym momencie – zgodnie ze swoją starą naturą – po prostu okłamał Martę Stremecką. Przy swojej inteligencji dobrze rozumiał, że lepiej przedstawić się jako ofiara Okrągłego Stołu, a nie jego faktyczny aranżer. Bo to Urban odkrył pierwszy, że wielu czołowych negocjatorów Solidarności, takich jak Bronisław Geremek czy

eprasa.pl 23f0335273

Jacek Kuroń, spotykając się na rozmowie ze swoimi partnerami, takimi jak prof. Janusz Reykowski czy minister Stanisław Ciosek, odnajduje w nich swoich dawnych kolegów z komunistycznego ZMP. A w wypadku ciut młodszego pokolenia, symbolizowanego przez Adama Michnika, przedstawiciele lewicy solidarnościowej przyjmują z uwagą sączoną przez komunistów przestrogę: „Jeśli nas całkowicie wytniecie z życia publicznego, to staniecie naprzeciwko masom solidarnościowym, które łatwo ulec mogą władzy Kościoła i ksenofobicznemu szowinizmowi".

To przesłanie Adam Michnik potraktował bardzo serio, a Urban rozumiał, że to właśnie otoczony mitem antykomunistycznego wojownika przyszły redaktor „Gazety Wyborczej" będzie najodpowiedniejszym kandydatem do rozgrzeszenia jego osoby. Tyle tylko, że musi znowu zmienić swoją rolę. Zniknąć z czołówki partii postkomunistycznej powstałej na gruzach PZPR i stać się drugim Michnikiem. Otoczony powszechną miłością intelektualistów „Adaś" zgromadził wokół siebie inteligencję, która zerwała z komunizmem w latach 70. i 80., a Urban ze swoim „Nie" stał się znakiem nadziei i oporu dla wielomilionowej grupy ludzi, która ubabrana była w dawny system.

Wiedział, że „Nie" uzyska popularność, jeżeli odpowiednio wskrzesi się zawsze istniejące w społeczeństwie tendencje antyklerykalne. A Kościoła – i szerzej biorąc, chrześcijaństwa – Urban nie cierpiał od zawsze. W jednym z wywiadów mówił: „Dwóch rzeczy w sferze cudzych emocji nie rozumiem. I to nie jest w najmniejszym stopniu udawane, czyli religijności i sportu. Może stąd moja zupełna niewrażliwość na Jana Pawła II i to, co się w Polsce wokół niego działo. Kompletnie nie czułem tych emocji, do dziś ich nie rozumiem. Nie umiałem w nim znaleźć ani wielkości, ani uroku".

Urban korzystał z ogólnego wówczas naiwnego przekonania, że komunizm upadł, a byli partyjni to życiowi rozbitkowie, których nie honor kopać. W istocie było zgoła inaczej. Ministerstwa obejmowali solidarnościowi amatorzy, a urzędnicy średniego szczebla z lubością wysyłali do redakcji „Nie" przy ul. Słonecznej w Warszawie informacje o licznych śmiesznostkach nowej władzy. Ale Urban wiedział, że oprócz antyklerykalizmu trzeba też podlać swoje pisemko quasi-pornograficznym sosem. I wszystko to działało. W swoich najlepszych latach

Jedyne, co wychodziło Urbanowi w życiu, to wyszydzanie innych, rozbijanie ich jedności i przekonywanie ludzi, że zło zwycięża

1991–1996 pismo miało nakład konkurujący z „Gazetą Wyborczą". Prawicowi analitycy załamywali ręce nad fenomenem, że ludzie, którzy wciąż jeszcze nie wyszli z nędzy spowodowanej przez PRL, w wielu wypadkach stawali się zapalonymi czytelnikami pisma Urbana.

Ale Urban oczywiście miał gdzieś swoich czytelników ze zbankrutowanych PGR-ów i likwidowanych fabryk. On aspirował do przyjaźni z Adamem Michnikiem czy Aleksandrem Kwaśniewskim. Ta przyjaźń z szefem „Gazety Wyborczej" długo była niezauważana, ponieważ otoczono ją zasłoną milczenia przez większość ówczesnych mediów. To dlatego moje i Jacka Kurskiego nagranie z przejażdżki Urbana z Michnikiem i Moniką Olejnik na wspólne bankietowanie dziwnym trafem akurat w dniu imienin Aleksandra Kwaśniewskiego wywołało tak wielki szok. Po prostu bardzo wielu Polaków w ogóle nie wiedziało o tym zbliżeniu różowych z czerwonymi i trzeba było krótkiego okresu, kiedy TVP nie była w rękach postkomunistów, aby ta prawda mogła wyjść na jaw.

Kres wszechwładzy Urbana i jego wspólnego z Michnikiem tworzenia wielkiego historycznego kompromisu miał miejsce w czasie afery Rywina. Potraktowany instrumentalnie przez Czarzastego i Millera Michnik zemścił się, ujawniając nagraną taśmę z rozmowy z Rywinem. I wtedy jeden jedyny raz Urban zapłonął gniewem. Według wiarygodnych relacji bardzo ostro zrugał Michnika za to, że ten wyciągnął tajemnice towarzystwa na widok gawiedzi.

Były rzecznik rządu PRL miał w tej kwestii rację. Sprawa Rywina bardzo zaszkodziła „Gazecie Wyborczej" i spowodowała wewnętrzne pęknięcie w SLD. Urban spróbował wtedy powrotu do roli demiurga politycznych procesów. Postanowił ukarać Millera za wywołanie całego tego zamieszania, które zaczęło się od wysłania Rywina do redakcji przy Czerskiej, zaangażował się w tworzenie nowej partii lewicy o nazwie Socjaldemokracja Polska, której frontmanem miał być Marek Borowski.

I wtedy wszechmocny szatan dekonstrukcji wykazał swoją fundamentalną słabość. Inicjatywa ponosi klapę. W 2005 r. Socjaldemokracja Polska nie przekracza nawet progu wyborczego. Nie było okazji do powtórzenia słynnej sceny z 1993 r., kiedy to zdjęcie Urbana pokazującego język i otwierającego ogromną butlę szampana stało się symbolem powrotu postkomunistów do władzy po czterech latach politycznego przełomu z 1989 r.

Jedyne, co wychodziło Urbanowi w życiu, to wyszydzanie innych, rozbijanie ich jedności i przekonywanie ludzi, że zło zwycięża. Ale w roli kreatora czegoś pozytywnego, nawet w postaci nowej partii lewicy, Jerzy Urban był zaskakująco słabiutki. Nowy twór, który chciał wykreować pod wodzą Borowskiego, okazał się kruchą roślinką, a już parę lat później scenę polityczną wypełniło dwóch aktorów: Jarosław Kaczyński i Donald Tusk.

Urban przełknął porażkę. Skupił się na tym, co potrafił najlepiej. Czyli na zaprzysięgłej walce propagandowej przeciwko Kościołowi oraz partii Prawo i Sprawiedliwość. Ale Urban jakby sam tracił zapał do swych krucjat. Stał się znudzonym szatanem, któremu zaczyna doskwierać zdrowie. Niezależnie od jego spleenu filmiki z jego głupawymi żartami zdobywały popularność u młodych urodzonych po upadku PRL. Im Urban kojarzył się z rolą zabawnego staruszka, który dowcipnie dowala nielubianym „czarnym".

W momencie śmierci Jerzego Urbana te dwie grupy wylewają dziś łzy. Były opozycjonista Waldemar Kuczyński pochwalił się alkoholowym wieczorem z Urbanem, reżyserka telewizyjna Olga Lipińska ogłosiła Urbana „jednym z najświatlejszych umysłów" w Polsce, a młoda lewica ogłosiła Jerzego Urbana „ikoną dziennikarstwa i satyry". Ale mimo tych pochwał Urban zdawał się u schyłku życia przeżywać gorzkie dni. Trwanie u władzy PiS przez kolejne siedem lat doprowadzało go do wściekłości, ale był wobec tego procesu bezradny. Także jego ukochane dziecko tygodnik „Nie" jest dziś cieniem dawnej potęgi. W sensie ideowym Urban znalazł następców mających podobną obsesję na punkcie Kościoła i szukania faszyzmu na prawicy. Smok zanim odszedł – złożył kolejne jaja nienawiści.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

** Część pierwszą sylwetki Jerzego Urbana, obejmującą okres do 1980 r., opublikowaliśmy w „Do Rzeczy" nr 40/2022.*

eprasa.pl 23f0335273

Albo zasady, albo tęczowe pieniądze

Tomasz Rowiński

Każdy akt niesubordynacji wobec oczekiwań unijnych komisarzy i nawet najbardziej szalonych orzeczeń europejskich trybunałów może być w przyszłości ukarany odebraniem środków. Tak będzie wyglądała droga do Europy federalnej

Po tym, jak na jesieni 2021 r. pięć województw pod presją instytucji unijnych, grożących odebraniem środków z funduszu spójności, wycofało się z uchwał podkreślających szczególną rolę rodziny w polskim porządku społecznym i konstytucyjnym, nastąpiła faza wyczekiwania w toczonej przeciw Polsce wojnie ideologicznej. Nie znaczy to jednak, że od tego czasu nic się nie wydarzyło. Wręcz przeciwnie – jest coraz bardziej oczywiste, że temat agendy politycznego ruchu homoseksualnego czy też ideologii gender będzie wykorzystywany przeciwko Polsce, i to prawdopodobnie w coraz szerszym zakresie.

Tendencja ta wcale nie dziwi, skoro genderyzm stał się w brukselskich dokumentach głównym narzędziem interpretacji unijnej Karty praw podstawowych, a co za tym idzie – także praw człowieka w obrębie wspólnoty. Charakterystyczną cechą tego ujęcia jest wiązanie zasady równości z heteronomicznym rozumieniem takich rzeczywistości jak małżeństwo, rodzina czy nawet osoba. Zatem jeśli ktoś chce dowartościować naturalne małżeństwo, rodzinę, w której dzieci poczęły się dzięki relacji kobiety i mężczyzny, to z perspektywy wykładni europejskich instytucji – nie tylko przecież unijnych – dopuszcza się dyskryminacji. Nic nie szkodzi, że absurdalne jest twierdzić, jakoby mogło istnieć inne małżeństwo niż to będące związkiem kobiety i mężczyzny, że koncepcja płci społeczno-kulturowej szczególnie krzywdzi dojrzewającą, rozchwianą tożsamościowo młodzież. Ważne, że tak skonstruowane idee okazują się znakomitym narzędziem kulturalnej kolonizacji i politycznego oddziaływania na co bardziej niepokorne państwa.

Ktoś mógłby się temu dziwić, ale prorodzinna polityka polskich samorządów jest atakowana na podstawie zapisu o następującej treści, znajdującym się w rozporządzenia nr 2021/1060, które określa zasady działania funduszu spójności: „Państwa członkowskie i Komisja podejmują odpowiednie kroki w celu zapobiegania wszelkiej dyskryminacji ze względu na płeć, rasę lub pochodzenie etniczne, religię lub światopogląd, niepełnosprawność, wiek lub orientację seksualną podczas przygotowywania, wdrażania, monitorowania, sprawozdawczości i ewaluacji programów. W procesie przygotowywania i wdrażania programów należy w szczególności wziąć pod uwagę zapewnienie dostępności dla osób z niepełnosprawnościami".

SZYKANOWANE SAMORZĄDY

Już w maju 2021 r., w czasie spotkań, które unijni przedstawiciele odbywali z reprezentantami województw, jedna z urzędniczek, Maria Galewska, miała wyrazić opinię – zrelacjonowaną przez portal OKO.press – że istnieją „poważne wątpliwości, czy Polska jest w stanie spełnić warunek zgodności [...] z Kartą praw podstawowych, co mogłoby skutkować zablokowaniem wszystkich funduszy, a więc także brakiem zwrotu dotychczasowych wydatków". Przyjmując brukselskie reguły interpretacji praw podstawowych Unii Europejskiej, także polska konstytucja w art. 18, mówiącym o małżeństwie jako związku kobiety i mężczyzny pozostającym pod szczególną ochroną i opieką Rzeczypospolitej, mogłaby się okazać dokumentem dyskryminacyjnym. Biorąc pod uwagę, że na liście tzw. kamieniach milowych, które Polska miała wypełnić, by otrzymać środki w ramach planu odbudowy kraju po restrykcjach społecznych związanych z pandemią COVID-19, znalazło się zobowiązanie do nowelizacji regulaminu Sejmu, który jest swego rodzaju „małą konstytucją" polskiego ustroju demokratycznego, nie powinniśmy się czuć zaskoczeni, jeśli kiedyś i ustawa zasadnicza Rzeczypospolitej zostanie zakwestionowana przez emisariuszy brukselskiego imperium.

Kilkadziesiąt polskich samorządów pomimo szykan, które są wobec nich stosowane, wciąż trwa przy swoim prorodzinnym stanowisku wyrażonym w uchwałach przyjętych w formie Samorządowej Karty praw rodziny lub innej podobnej. W związku z tym zagrożona jest obecnie wypłata kwoty ok. 72 mld euro i nie wydaje się, by pieniądze te bez perypetii mogły trafić do polskich regionów. W nowych umowach partnerskich zawieranych w związku z realizacją budżetu unijnego na lata 2021–2027 pojawił bowiem nieznany dotąd tzw. horyzontalny warunek podstawowy. Dotyczy on realizacji wartości zawartych w Karcie praw podstawowych UE, które są traktowane jako element zabezpieczenia budżetu.

Główny artykuł antydyskryminacyjny KPP brzmi następująco, bardzo zresztą

eprasa.pl 23f0335273

FOT. ADOBE STOCK

podobnie do przywołanej powyżej treści fragmentu rozporządzenia: „Zakazana jest wszelka dyskryminacja w szczególności ze względu na płeć, rasę, kolor skóry, pochodzenie etniczne lub społeczne, cechy genetyczne, język, religię lub przekonania, poglądy polityczne lub wszelkie inne poglądy, przynależność do mniejszości narodowej, majątek, urodzenie, niepełnosprawność, wiek lub orientację seksualną".

Gdyby interpretować tego rodzaju zapis według porządku, który wprowadza na terytorium Rzeczypospolitej polska konstytucja, nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że deklaracja ochrony, szczególnie cennych instytucji społecznych, jakimi są małżeństwo i rodzina, może być traktowana w kluczu dyskryminacyjnym. Co więcej, jeśli traktować postulaty politycznych środowisk homoseksualnych jako godzące w konstytucyjny ład, sprzeciw wobec nich trzeba uznać za właściwy sposób realizacji dobrze rozumianego interesu polskiego państwa, a także polskiego samorządu. Skoro nasza konstytucja poleca szczególną ochronę państwa nad małżeństwem, to znaczy, że wyklucza ona możliwość wprowadzenia w Polsce np. tzw. małżeństw homoseksualnych, co jest przecież ważnym postulatem w ramach ideologii LGBT. Tego instytucje europejskie nie potrafią już znieść.

MORALNOŚĆ I KORUPCJA

Zderzenie porządku, który w zakresie moralności publicznej panuje w Polsce, z propozycjami płynącymi z Brukseli mogłoby wydawać się nieuchronne, jest ono jednak łagodzone korupcyjnym działaniem przedstawicieli UE. Na poziomie lokalnym wymuszają oni na samorządowcach deklaracje praktycznie oznaczające uznanie wyższości brukselskich wykładni KPP nad polskim ładem konstytucyjnym, którego uznanie samorządowcy chcieli przecież wzmocnić poprzez przyjęte uchwały. „Chcemy, żeby programy zawierały wyraźny przepis, który będzie zapewniał, że wnioski złożone przez władze lokalne, które przyjęły takie uchwały, są niezgodne z fundamentalnymi wartościami zawartymi w Traktacie o Unii Europejskiej" – mówiły 7 kwietnia dwie przedstawicielki Komisji Europejskiej obecne podczas posiedzenia Konwentu Marszałków Województw Rzeczypospolitej Polskiej. Trudno oprzeć się złemu wrażeniu, że przypomina to XVIII-wieczne rządy ambasadorów w Warszawie, tyle że na razie dotyczy poziomu lokalnego.

Nieuchronnie jednak problem może się przenieść na poziom całego państwa. Jeśli taki proces zostanie uruchomiony, to stanie się to niestety w wyniku polskiej zgody na mechanizm warunkowy, który wszedł w życie razem ratyfikacją KPO. Dziś mechanizm ten jest ćwiczony na naszym państwie w obszarze sądownictwa, gdzie wywiera się presję, by Polska zrzekła się pozatraktatowo własnej suwerenności w zakresie możliwości reformowania własnych instytucji. Jutro jednak mechanizm ten może być wykorzystywany w dowolnej sprawie, w której polskie rozwiązania prawne nie będą zgodne z unijną „hermeneutyką" praw człowieka. Na przykład może się okazać, że warunkiem, by otrzymać jakiekolwiek środki w ramach unijnych mechanizmów, będzie legalizacja „równości małżeńskiej", czyli instytucjonalizacja związków jednopłciowych jako małżeństw lub quasi-małżeństw zwanych „związkami partnerskimi".

Komisja Europejska – widać to bardzo wyraźnie – znalazła wreszcie skuteczne narzędzie, które pozwala omijać traktaty i nieustannie poszerzać zakres zarówno swojej władzy, jak i władzy innych europejskich instytucji na państwami-członkami UE. Są to przede wszystkim orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) oraz Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPC), które to instytucje gotowe są do nieustannego przesuwania w lewo interpretacji wszelkich praw w zgodzie z ideologicznymi oczekiwaniami KE. Gdyby ktoś pytał – tak, orzeczenia TSUE i ETPC są uwzględniane jako jedna z podstaw działania rozporządzenia o warunkowości, którego główną funkcją – to chyba nie jest zaskoczenie – pozostaje ochrona unijnego budżetu. I Polska się na to zgodziła.

POLSKA W PUŁAPCE

Niestety – co widać na przykładzie KPO – jako państwo znaleźliśmy się w pułapce, z której próżno wypatrywać wyjścia. Każdy akt niesubordynacji wobec oczekiwań unijnych komisarzy i nawet najbardziej szalonych orzeczeń europejskich trybunałów (których władza – o czym warto pamiętać – nie wiadomo, od kogo pochodzi) może być w przyszłości ukarany odebraniem środków. Procesy, które obserwujemy, są przede wszystkich próbą politycznego subordynowania krajów Europy Wschodniej przez unijne „centrum". Tak już wygląda i będzie wyglądała dalej droga do Europy federalnej. Problem polega na tym, że stawką w tej rozgrywce, jeszcze poważniejszą od politycznej suwerenności, jest zachowanie lub dewastacja polskiego dorobku prawnego w zakresie życia społecznego.

Na razie, jak się zdaje, górą są angażujący się w sprawę nowej formy umów partnerskich w ramach funduszów spójnościowych działacze Kampanii przeciwko Homofobii – pieniądze wygrywają z zasadami. Jak inaczej skomentować fakt, że jesienią zeszłego roku wiceminister funduszy i polityki regionalnej – dziś minister rozwoju i technologii – Waldemar Buda zasugerował samorządom zmianę treści przyjętych uchwał? Komentarz może być tylko jeden: część obozu rządzącego chętnie zostawiłaby ideowych samorządowców na lodzie. Może zatem lepszym wyjściem było wcześniejsze ostrzeżenie ich, że nie powinni liczyć na polityczne wsparcie dla swojej akcji, gdy tylko pojawią się trudności i gdy przestanie być ona potrzebna w doraźnej mobilizacji społecznych emocji?

„Nie ma wątpliwości, że nikt rozsądny nie będzie się upierać przy pozostawieniu uchwał w mocy, jeśli na szali są miliony na remonty szpitali, doposażenie szkół i pomoc tym, którzy tego najbardziej potrzebują" – komentuje sprawę jedna z działaczek KPH, ale słowa te właściwie mógłby wypowiedzieć którykolwiek z „rozsądnych" polityków prawicy. Niestety, sprawy zdają się zmierzać w tym właśnie kierunku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

Gwiazdą filmów Stanisława Barei (z lewej) był Stanisław Tym

FOT. WITOLD ROZMYSŁOWICZ/PAP

Bitwa o Bareję

Zuzanna Dąbrowska

Żona Stanisława Barei pozwała autora książki poświęconej reżyserowi oraz Wydawnictwo Krytyki Politycznej za twierdzenie, że twórca współpracował z cenzorami z ul. Mysiej. Hanna Kotkowska-Bareja zaznacza, że nie tylko nigdy nie konsultował on scenariuszy z władzami, lecz także właśnie walka z cenzurą była przyczyną problemów zawodowych i zdrowotnych jej męża

Pierwsza z dwóch części opowieści książkowej Rafała Dajbora o uniwersum Stanisława Barei nosi tytuł „Jak u Barei, czyli kto to powiedział". Wydawnictwo Krytyki Politycznej przygotowało dla czytelników kompendium poświęcone aktorom występującym w filmach zmarłego w 1987 r. twórcy. We wstępie do części pierwszej autor pokrótce rysuje postać reżysera. I to właśnie na pierwszych stronach padają stwierdzenia, które są powodem wystąpienia przez Hannę Kotkowską-Bareję na drogę sądową.

Dajbor, opisując uwarunkowania czasów, w których tworzył artysta, stwierdza, że traktowanie dziś Stanisława Barei jako „niezłomnego bojownika o wolność słowa" jest poglądem niezgodnym z rzeczywistością. Dalej ustami anonimowego pracownika stołecznego Okręgowego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk buduje teorię, jakoby Bareja nauczył się współpracować z cenzurą. Pisząc o anonimowym urzędniku, Dajbor wskazuje: „Miał okazję osobiście, choć przelotnie, poznać Stanisława Bareję, za to doskonale znał tych, którzy pracowali w departamencie widowisk i kontaktowali się z reżyserem". A anonimowy urzędnik przekonuje: „Bareja wiedział, że każdy, kto chce w PRL-u cokolwiek robić – musi się z cenzurą liczyć". Następnie pada wprost oskarżenie o układanie się reżysera z cenzorami: „Bareja nawiązał w pewnym okresie z urzędem na Mysiej regularne stosunki. Oczywiście nie oficjalne, tylko towarzyskie. Bynajmniej nie oznacza to, że się jakoś z cenzurą bratał. Nic z tych rzeczy. Miał natomiast znajomych, z którymi wstępnie i nieoficjalnie konsultował swoje scenariusze. Jednym z nich był dyrektor departamentu widowisk Przemysław Marcisz".

UTAJNIONE KONTAKTY?

Anonimowy informator, na którego powołuje się Rafał Dajbor, stwierdza, że

eprasa.pl 23f0335273

Bareja miał z Marciszem „bardzo dobre relacje" – podobnie jak z Barbarą Dąbrowską, która „miała niespełnione ambicje literackie i – jak niejeden niespełniony pisarz – wylądowała ostatecznie w cenzurze". Według urzędnika Bareja pokazywał im swoje scenariusze, dzięki czemu „od podszewki poznał mechanizmy rządzące cenzurą, wyczuł, jakie są obecnie nastroje, i zorientował się, jak powinien wyglądać scenariusz, by wiceminister kultury pchnął mu go do realizacji".

Pod koniec cytowanej w książce wypowiedzi pada stwierdzenie: „Dziś niektórzy chcą widzieć Bareję jako kogoś, kto walczył z cenzurą. Nieprawda. Bareja nie walczył. Bareja perfekcyjnie rozpoznał mechanizmy rządzące cenzurą, umiał z cenzurą grać i był graczem tak inteligentnym, że potrafił wszelkie słabości mniej od niego inteligentnych cenzorów i przedstawicieli władzy wykorzystać do własnych celów". Kontakty reżysera z Mysią miały być utajone przed kolegami po fachu, by „nie być oskarżonym o kolaborację z cenzurą".

Rodzina reżysera jest oburzona takim przedstawieniem postaci Stanisława Barei. Uważają, że to nieprawda. – Usposobienie i filmy Stanisława Barei sugerowały, że był człowiekiem pogodnym, często wesołym. Natomiast jego życie twórcze przeważnie nie było zabawne – mówi „Do Rzeczy" Hanna Kotkowska-Bareja, żona artysty. – Mąż nigdy nie konsultował z cenzurą żadnego ze swoich scenariuszy. We wszystkich poświęconych mu książkach można znaleźć informację o tym, jak wyglądała historia jego jedynego kontaktu z panem Marciszem, dyrektorem departamentu w Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Staszek kupił w Londynie „Czarną księgę cenzury PRL" wydaną w 1977 r., w której znajdował się numer telefonu do dyrektora Marcisza. Po kolaudacyjnym [kolaudacja, czyli komisyjny odbiór filmu – przyp. red.] zmasakrowaniu filmu „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?" przez przedstawicieli wewnętrznej cenzury kinematografii mąż zadzwonił do Marcisza i powiedział, że kinematografia ma problem finansowy, ponieważ film kosztował 8 mln zł, a został „odłożony na półkę" – dodaje.

RODZINA CHCE WYKREŚLENIA NIEPRAWDY

Wdowa zdecydowała się pozwać zarówno Rafała Dajbora, jak i Wydawnictwo Krytyki Politycznej. Jej pełnomocnik – mecenas Artur Wdowczyk – wskazuje, że pozew dotyczy art. 23 i art. 24 Kodeksu cywilnego, czyli ochrony dóbr osobistych. – Stanisław Bareja nigdy z władzami komunistycznymi nie kolaborował, natomiast wydźwięk książki jest zupełnie inny. Rodzina stoi na stanowisku, że ze względu na to, iż trwa renesans popularności filmów Barei, nie można dopuścić do sytuacji, w której będzie on postrzegany jako apologeta PRL – podkreśla adwokat. – Żądamy, aby fragmenty, które są ewidentnie nieprawdziwe, zostały usunięte z kolejnych wydań – jeżeli będzie wznowienie. Oczekujmy również dwóch oświadczeń – to przeprosiny za podawanie nieprawdziwych informacji. Ponadto domagamy się wpłaty 25 tys. zł na Fundację Ewy Błaszczyk Akogo? oraz 25 tys. zł zadośćuczynienia – wyjaśnia. Pozew został złożony w ubiegłym tygodniu w warszawskim sądzie okręgowym.

Żona i córka Stanisława Barei podkreślają, że Rafał Dajbor nie próbował porozmawiać z rodziną, aby zweryfikować twierdzenia anonimowego pracownika cenzury PRL. Małżonka reżysera trafiła na książkę przypadkiem, trzy lata po jej wydaniu. Tymczasem kontakt z bliskimi nie jest utrudniony – zarówno Hanna Kotkowska-Bareja, jak i Katarzyna Bareja niejednokrotnie wypowiadały się dla mediów, pomagały również w pracy autorom książek o reżyserze.

Córka artysty wydała w kwietniu tego roku własne wspomnienia „Żaby w śmietanie, czyli Stanisław Bareja i bliscy". Tam opisuje stosunek ojca do władz komunistycznych. Podobne, dobrze udokumentowane i obszerne opisy, przede wszystkim listy pisane przez reżysera, można znaleźć w innych poświęconych mu wydawnictwach. Nie wiadomo, dlaczego Dajbor postanowił polegać jedynie na bezimiennym aparatczyku. – Żona reżysera, jego córka i syn wielokrotnie udzielali się medialnie, chętni, aby służyć wiedzą o Stanisławie Barei, tymczasem pan Dajbor nigdy nie skontaktował się z żadnym z nas. Czyżby liczył na to, że nie dotrzemy do insynuacji, które zawarł w książce? – pyta retorycznie córka reżysera, Katarzyna.

BEZ NAGRÓD, BEZ TALONÓW

Jaki był więc prawdziwy stosunek reżysera do czasów, w których przyszło mu żyć i tworzyć? – Mąż miał jednoznacznie negatywny stosunek do władz PRL, czego dowodził przez całe życie. Nigdy nie zapisał się do żadnej organizacji – poza Stowarzyszeniem Filmowców Polskich, a następnie Solidarnością. Przez całe życie nie dostał żadnej nagrody. Nie dostawaliśmy talonów na samochody, wczasy, żadnych przywilejów – mówi Hanna Kotkowska-Bareja. Stanisław Bareja w mistrzowsko inteligentny sposób wyśmiewał i punktował komunistyczny reżim, a społeczeństwo bez trudu potrafiło dopowiedzieć rozpoczęte przez niego zdanie i odczytać gry słowne, którymi naszpikowane są jego filmy.

Twórca dobrze rozumiał zasadę – jeśli będą się z ciebie śmiali, to nie będą się ciebie bali. Obśmianie PRL było nie tyle wentylem dla frustracji społecznych związanych z ciągłymi represjami, ile sposobem na osłabienie systemu. Warto oddać głos samemu Barei, który o „Misiu" mówił tak: „W założeniu moim i Staszka Tyma ten film był opowieścią o prawdzie i kłamstwie. To jest nie tyle opowieść o tym, że jakiś działacz próbuje dostać paszport, tylko to jest opowieść o człowieku, który nie mówi słowa prawdy. […] Mistrzem kłamstwa jest on i dlatego wygrywa. Prawdę mówią tam tylko prostacy, którzy są przez nich wszystkich manipulowani i sterowani".

Dalej reżyser wyjaśnił, dlaczego głównym narzędziem, którym posługuje się w pracy filmowca, jest żart: „Śmiech służy mi jako łatwiejszy sposób dotarcia do ludzi. Ponieważ te moje filmy ogląda bardzo dużo widzów, no to myślę tak – na straty nikogo nie narażam, one przynoszą zysk, czyli przedsiębiorstwo powinno być ze mnie zadowolone. Ja mówię to, co myślę, i wydaje mi się, że ludziom wskazuję na pewne niebezpieczeństwa, ostrzegam ich przed czymś. A że się przy tym bawią, to już trudno. To już jest ten koszt, który musimy zapłacić".

Choć filmy Barei przyciągały do kin tłumy, to „góra" rzucała mu kłody pod nogi. – Scenariusze w liczbie kilkunastu były odrzucane nawet nie przez cenzurę, ale już na poziomie partyjnych władz kinematografii – wskazuje żona twórcy. – Staszek zrobił niewiele filmów: dziewięć filmów kinowych, trzy seriale telewizyjne oraz film telewizyjny – „Niespotykanie spokojny człowiek". W tym samym czasie inni polscy reżyserzy kręcili po 40 filmów – mówi.

– Ojciec radził, żebym nigdy nie czytała recenzji jego filmów, ponieważ będzie mi przykro. Jakże łatwo przychodziło ówczesnym krytykom wyszydzanie komedii Barei... Wydaje się, że nietrudno poruszyć widza dramatyczną akcją, skandalem,

eprasa.pl 23f0335273

scenami seksu i wulgarnością języka. A ilu znamy twórców, którzy naprawdę potrafią nas stale rozśmieszać? To wyjątkowy dar – mówi Katarzyna Bareja.

Można się domyślać, dlaczego dziś uznawany za twórcę kultowego i klasyka polskiego kina Stanisława Bareja w swoich czasach był prześladowany zawodowo. Krzysztof Kowalewski, odtwórca głównej roli w „Brunecie wieczorową porą", stwierdził wprost: „Na niechęć do niego składało się bardzo wiele czynników. Od ludzkiej zawiści, bo to jednak było kino kasowe. Na te filmy ludzie walili drzwiami i oknami. Ale było też przyzwolenie z góry na niszczenie Barei".

Władzom PRL przeszkadzała sprawność, z jaką reżyser kpił z niej prosto w twarz, dlatego większość filmów twórcy kwalifikowano do czwartej, najniższej (najmniej ideologicznie słusznej) kategorii, która przynosiła Barei minimalne zyski.

SZMUGLOWANIE BIBUŁY

Warto przy tej okazji przytoczyć fakty pokazujące, że Stanisław Bareja sprzeciwiał się władzom nie tylko filmem. Mniej znana, a niezmiernie ważna w opisywanym kontekście jest działalność opozycyjna twórcy.

Jesienią 1977 r., podczas realizacji filmu „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?", Bareja i Tym spotkali się w Paryżu z Jerzym Giedroyciem i Zygmuntem Hertzem z „Kultury". Filmowcy wrócili wtedy do kraju z ponad 100 emigracyjnymi publikacjami. Ukryli je w metalowym pojemniku do przewozu materiałów filmowych, zaklejonym taśmą z napisem „światłoczułe". Celnicy uznali, że nie warto ryzykować ich zniszczenie, i przepuścili książki przez granicę. Niedługo później reżyser związał się, za pośrednictwem Mirosława Chojeckiego, z Komitetem Samoobrony Społecznej „KOR".

Na początku 1980 r. razem ze znajomymi założył podziemne pismo satyryczne „Strachy na Lachy". – Jak wyglądał początek kontaktów męża z opozycją, nie wiem, bo z tego mi się nie zwierzał. Wiedziałam tylko, że pod moją nieobecność odbywały się u nas tajne spotkania, ponieważ mąż od 1965 r. nie palił papierosów, a po powrocie z pracy w Muzeum Narodowym zastawałam śmierdzącą palarnię. Wiem, że Staszek załatwił perukę dla ukrywającego się w stanie wojennym Zbigniewa Bujaka, a Tomek Michalak urządził w naszej piwnicy tajną ciemnię, w której przygotowywał do druku materiały NOWEJ – wspomina Hanna Kotkowska-Bareja.

Stanisław Bareja w mistrzowsko inteligentny sposób wyśmiewał i punktował komunistyczny reżim

Reżyser zaproponował zaangażowanie się w działalność opozycyjną także córce Katarzynie. – Gdy dostałam się na studia na Uniwersytecie Śląskim, tata spytał, czy chciałabym przewozić nielegalne materiały na Śląsk. Jasne! Nie dowiedziałam się nawet, dla której podziemnej organizacji pracuję – wiedziona pełnym zaufaniem wobec politycznych wyborów taty. Brałam torbę i jechałam, z pewnym lękiem, ale i dumą, że tata przydzielił mi takie zadanie. A że nie wiedziałam, dla kogo pracuję? To zasady konspiracji – gdyby doszło do zatrzymania, to nie byłabym w stanie nikogo sypnąć – opowiada „Do Rzeczy".

Najbardziej spektakularną akcją reżysera, dowodzącą jego negatywnego stosunku do komunizmu, było przewiezienie do Polski z Austrii powielacza. Maszyna służyła później działającej poza głównym obiegiem niezależnej oficynie wydawniczej NOWA.

– W tamtym czasie mieliśmy mercedesa, którym wybieraliśmy się do Grecji, a później do Austrii. W drodze, pod Krakowem, wjechał w nas autobus. Mąż i syn byli bardzo potłuczeni, a ja poraniona odłamkami przedniej szyby. Wróciliśmy do Warszawy, zdoławszy przepakować się do malucha, i pojechaliśmy przez Bratysławę do Wiednia – opowiada żona reżysera. – Mąż przez kilka dni zapoznawał się z konstrukcją powielacza, który należało rozłożyć do przemytu. W tym czasie kupił niedostępną w kraju szybę przednią do mercedesa. Szyba jechała na dachu malucha, przykrywając wszystko, co było pod spodem. Maszyna offsetowa została rozebrana na kawałki, poutykane w naszych rzeczach. Staszek prowadził samochód, ale przed samą granicą zamieniliśmy się miejscami. Uznaliśmy bowiem, że gdyby mnie aresztowano, to nikogo nie sypnę, bo nic nie wiem. Muszę dodać, że miałam pewne doświadczenie w zanudzaniu celników. Postanowiłam użyć warzyw, które wieźliśmy. Zaczęłam wymieniać celnikowi wiezione warzywa. Słuchał, opierając się o dach, a mnie trzęsły się ręce, więc mocno zaciskałam je na kierownicy. Przepuścił nas. Na najbliższym parkingu zatrzymaliśmy się i odtańczyliśmy wariacki taniec radości. Maszyna trafiła do Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Całość została złożona w domu na wsi, a następnie przewieziona dzięki Janowi Łomnickiemu i Tomaszowi Michalakowi w miejsce, gdzie służyła wydawnictwu.

Znając powyższe fakty, nietrudno zrozumieć przesłanki bliskich reżysera, którzy postanowili walczyć o jego dobre imię w sądzie. Przekazali je też w oficjalnym stanowisku naszej redakcji: „Twierdzenia autora książki naruszają prawo do dobrej i prawdziwej pamięci o Stanisławie Barei. Szkalowanie przez Rafała Dajbora kultowego reżysera, którego filmy obejrzały i nadal oglądają miliony widzów, budzi niesmak szczególnie w przypadku kogoś, kto przykleił się do twórczości Barei i na niej zarabia. A jednocześnie usiłuje zohydzić. Gdyby Stanisław Bareja nie okazał się jednym z najbardziej utalentowanych i najwyraźniej wiecznie żywych w pamięci widza polskich reżyserów, zapewne rodzina machnęłaby ręką na insynuacje autora, jak machał w takich sytuacjach Stanisław Bareja, który mawiał: »Pies szczeka, karawana idzie dalej«. Uważamy jednak za niedopuszczalne – społecznie szkodliwe szkalowanie kogoś, kto oddał życie za walkę o wolność słowa i obrazu w Polsce. Stanisław Bareja zasługuje na rozpowszechnianie prawdy o swojej odwadze i niezłomności charakteru, które są istotnym elementem fascynacji Polaków jego twórczością".

Stanisław Bareja zmarł w niemieckim Essen w czerwcu 1987 r. Przyczyną śmierci był udar, jednak artysta przez wiele lat poważnie chorował. – Trudności, których nastręczały mężowi władza i środowisko, były przyczyną jego problemów zdrowotnych. Pisał do Juliusza Strojnowskiego, przyjaciela (m.in. tłumacza pism papieża Jana Pawła II na język niemiecki), że płaci zdrowiem za te wszystkie walki – wspomina żona.

Filmy reżysera były nie tylko blokowane na etapie scenariuszy. – „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?" pocięto tak mocno, że gdy po kilkuletniej batalii wszedł na ekrany, był okrojony o 300 m taśmy filmowej (prawie jedną szóstą filmu!). Jeden z krytyków pochwalił wtedy modernistyczny montaż, w którym rwą się wątki... Tyle że nie był to montaż, ale efekt działań cenzury. Jak u Barei, prawda?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

CZY PANNIE MŁODEJ ZE ŚMIERCIĄ BĘDZIE DO TWARZY?

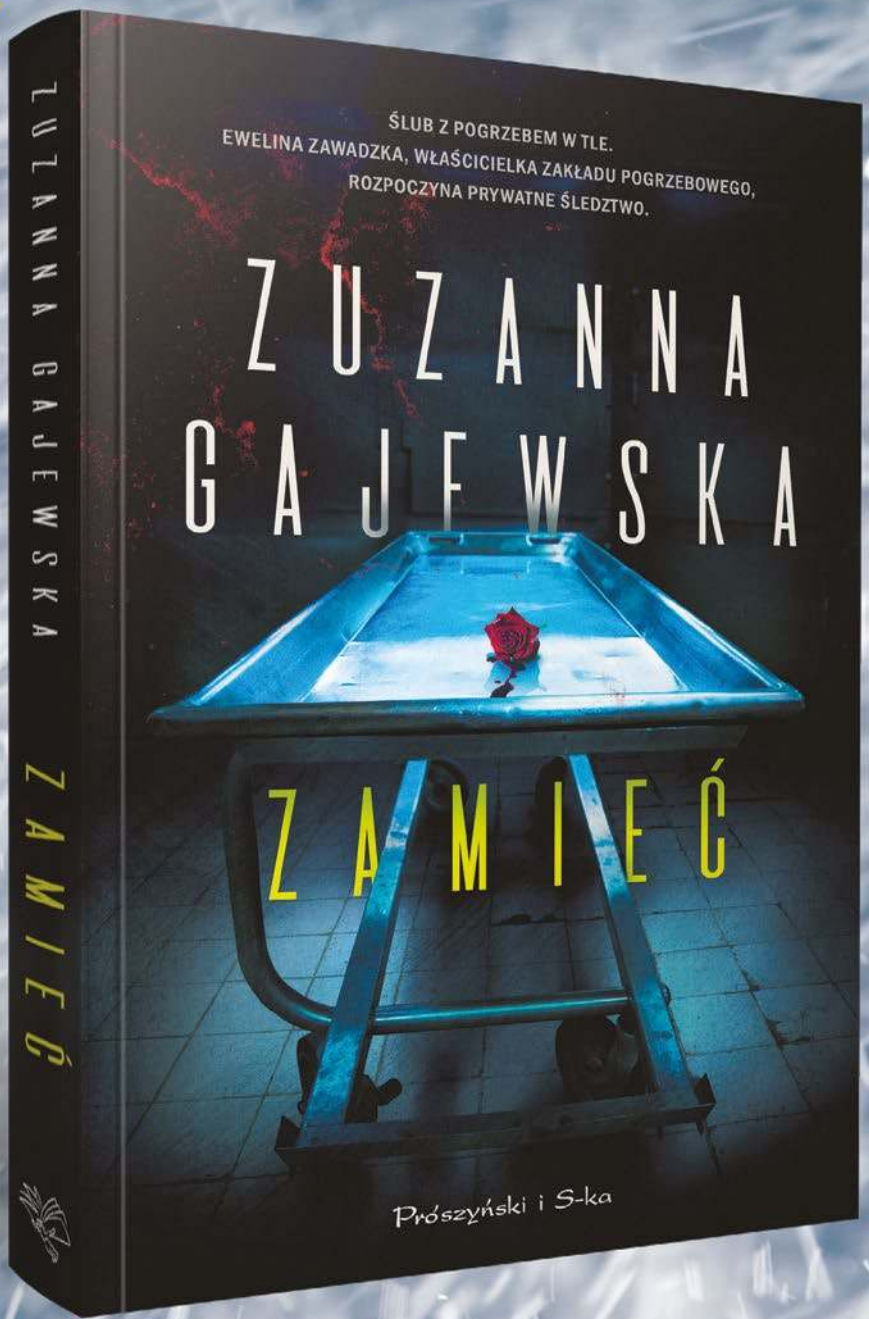

Multikino
MASZYNA DO PISANIA
ZBRODNIA W BIBLIOTECE
CRIME+ INVESTIGATION POLSAT
na EKRANIE.PL FILMY • SERIALE • KSIĄŻKI • GRY
eprasa.pl 23f0335273

FOT. ADOBE STOCK

Przejażdżka z dżygitem

Łukasz Zboralski

W taksówkach z aplikacji trudno dziś spotkać Polaka za kierownicą. Zdarza się, że obcokrajowcy nie tylko jeżdżą niebezpiecznie, lecz także gubią się w miastach oraz nie znają słowa po polsku

Lubię nowoczesne taksówki. Podoba mi się, że można zamówić je przesunięciem palca w aplikacji na smartfonie, że można zobaczyć, kto bierze kurs i za ile przyjedzie, a nawet obserwować na mapie, jak do nas podąża.

Mniej jednak podoba mi się to, jak tymi taksówkami bywam zazwyczaj wożony. Bo w 99 przypadkach na 100 trafiam tam na obcokrajowców, którzy zwykle nawet nie mogą porozumieć się po polsku (naprawdę nie pamiętam, kiedy uberem czy boltem wiózł mnie Polak). Są to najczęściej Gruzini, Kazachowie, Azerowie – teraz trochę rzadziej Ukraińcy – oraz np. Pakistańczycy. Należę do tej grupy Polaków, którą w podstawówkach w PRL jeszcze przymuszano do nauki języka „bratniego kraju", więc jestem w stanie z kierowcami porozmawiać. I, owszem, ciekawie jest dowiedzieć się od Gruzina, które rosyjskojęzyczne komedie warto jeszcze obejrzeć. Natomiast całkiem nieciekawie jest czuć się w taksówce jak na polu minowym, patrząc na kierowcę gubiącego się w mieście i będącego czasem o włos od spowodowania niebezpiecznej sytuacji na drodze.

Najgorszą przygodę przeżyłem z pakistańskim studentem, który nie tylko nie mówił po polsku, lecz także po angielsku porozumiewał się w stopniu, który mocno utrudniał komunikację. Po tym, jak wyznał mi, że polskie prawo jazdy zdobył w jednym z mazowieckich wojewódzkich ośrodków ruchu drogowego, na pełnej prędkości przejechał przez przejazd kolejowo-drogowy, uznając znak STOP za ozdobę. Poprosiłem wówczas, żeby jednak mnie wysadził przed końcem trasy, i wystawiłem negatywną ocenę.

WYPADKI I KOLIZJE

Problem w tym, że to nie są wyłącznie moje osobiste perypetie – obcokrajowcy jeżdżący w firmach z aplikacji powodują dość często kolizje i wypadki na polskich

eprasa.pl 23f0335273

drogach. Co jakiś czas odnotowywane są w kronikach polskiej policji – choć nie zawsze podaje ona narodowość taksówkarza. Przykłady?

Jeden z najtragiczniejszych wypadków z udziałem kierowcy ubera wydarzył się w 2018 r. w podwarszawskiej Lesznowoli. Kierowca taksówki nie ustąpił pierwszeństwa ciężarówce. Wiózł czterech pasażerów. Dwie osoby nie przeżyły wypadku, trzy pozostałe zostały ciężko ranne. W reanimacji pomagał przejeżdżający tamtędy bramkarz Legii – Arkadiusz Malarz.

1 sierpnia tego roku taksówkarz z korporacji na aplikację pędził wczesnym rankiem ulicą Grunwaldzką w Poznaniu. Stracił panowanie nad pojazdem, wypadł z drogi i uderzył w słup. Zginął, a jego pasażerka została ranna.

W czerwcu w Lublinie taksówkarz Ubera z wielką prędkością uderzył w skręcający na skrzyżowaniu autobus MZA, odbił się od niego i wjechał na tory tramwajowe, o centymetry mijając słup trakcyjny. Kierowca miejskiego autobusu został lekko ranny. Kierowca Ubera i jego pasażer uciekli z miejsca wypadku.

Także w czerwcu w Legionowie kobieta kierująca taksówką Uber zignorowała znak STOP i wjechała prosto przed betoniarkę. Strażacy musieli ją wycinać ze zgniecionego pojazdu. Na szczęście nie wiozła pasażerów.

W lipcu w Warszawie kierowca Ubera wieczorem wjechał na teren Portu Czerniakowskiego i zawisł na słupie przed skarpą. Uciekł z miejsca kolizji.

POLSKIE PRAWO JAZDY BEZ EGZAMINÓW

Problem stanowi to, że – zgodnie z prawem – polskie prawo jazdy obcokrajowcy mogą dostać bez zdawania u nas egzaminów. Oczywiście działa to w obie strony, dzięki czemu także Polacy za granicą mogą wymienić swój dokument na lokalny.

Zagraniczne prawo jazdy wymieniają starostwa powiatowe. Najmniejszy problem mają kierowcy z krajów UE. Jednak nie mają go też kierowcy z krajów, które podpisały konwencję wiedeńską o ruchu drogowym albo konwencję genewską. Nie muszą zdawać żadnych egzaminów. Po prostu składają wniosek w starostwie powiatowym i wymieniają dokument na polski. I dotyczy to właśnie m.in. Ukraińców, Kazachów, Azerów, Gruzinów czy nawet Pakistańczyków.

Tymczasem jakość wyszkolenia kierowców z niektórych krajów jest dramatyczna. I to nawet w porównaniu z bardzo słabym systemem szkolenia i egzaminowania kierowców w Polsce, który skupia się na uczeniu kursantów niuansów prawnych i próby oblewania ich podczas dwuznacznych sytuacji (średnia zdawalność egzaminu praktycznego w Polsce za pierwszym podejściem oscyluje wokół zaledwie 30 proc.).

JAK TO SIĘ ROBI W GRUZJI

Dobrym przykładem jest tu Gruzja – wielu kierowców z tego kraju prowadzi taksówki w zagranicznych korporacjach opierających usługi na aplikacjach internetowych. Otóż zdobywanie prawa jazdy w Gruzji do tej pory było tak banalne, że czasem decydowali się na to Polacy jadący tam po prostu na urlop. Egzamin teoretyczny nie był skomplikowany, ale najbanalniejszy był egzamin praktyczny. Opierał się wyłącznie na jeździe po placu manewrowym. I to bez marudzącego nad uchem egzaminatora; ten zasiadał sobie gdzieś wygodnie na placu, a kursant pokonywał przeszkody autem wyposażonym w czujniki. Sensory były też zainstalowane na placu. Nikt z linijką (a to dawniej zdarzało się w Polsce) nie mierzył, czy idealnie prosto zaparkowało się tyłem na kopercie – po prostu czujnik sygnalizował, gdy się go dotknęło lub podjechało naprawdę zbyt blisko.

Efekty m.in. takiego wyszkolenia kierowców były nie do przyjęcia dla samych Gruzinów. Przed pandemią w 2019 r. na drogach zginęło tam blisko 6 tys. osób. W Polsce – o połowę mniej. Biorąc pod uwagę, że Gruzinów jest ponad trzy razy mniej niż Polaków, liczba zgonów w wypadkach drogowych jest tam zatrważająca. Dlatego tamtejszy parlament zdecydował w końcu, że od 2022 r. obowiązkowe będzie zdawanie egzaminu na prawo jazdy w rzeczywistych warunkach drogowych. I dopiero od kwietnia tego roku Gruzini zdający egzamin na prawo jazdy na auta osobowe (kategoria B) muszą z egzaminatorem wyjechać na drogę i pokazać, jak sprawują się w ruchu.

Podróżnicy, którzy poruszali się po Azerbejdżanie, ostrzegają Polaków przed poruszaniem się tam autami. Według podróżniczych blogów na azerskich drogach powszechne jest ignorowanie prawa, nieużywanie kierunkowskazów, jeżdżenie bez oświetlenia w nocy.

Niewiele wyższa bywa kultura jazdy w Kazachstanie. Zresztą kwalifikacje tamtejszych kierowców rozpoznajemy w praktyce w Polsce – i są to przecież kierowcy zawodowi, którzy potrafią łamać wszelkie reguły dotyczące czasu jazdy. W lutym tego roku kierowca ciężarówki z naczepą z Kazachstanu zabłądził w Tarnowie i próbował przejechać przez wąskie centrum miasta, co skończyło się m.in. wyrwaniem drzewa z korzeniami i zablokowaniem drogi na wiele godzin.

Niebezpieczeństwo stwarzane w ruchu drogowym to, niestety, niejedyny problem z obcokrajowcami jeżdżącymi w Polsce taksówkami na aplikacje. Kobiety w takich pojazdach bywają molestowane i gwałcone.

SPRAWA KOBIET

Skalę zjawiska w maju ujawniła „Rzeczpospolita", która dotarła do listy śledztw dotyczących przestępstw seksualnych popełnianych przez kierowców taksówek z aplikacji. Najmłodsza ofiara miała 16 lat. Scenariusz jest zawsze taki sam – kierowca decyduje się na atak w nocy lub wczesnym rankiem, zwykle zjeżdżając w odludne miejsce, pustą małą uliczkę.

Wśród 20 potwierdzonych przypadków napastowania sprawcami było: sześciu Gruzinów, dwóch Tadżyków, dwóch Uzbeków i po jednym obywatelu Turkmenistanu oraz Algierii. W ośmiu przypadkach narodowości sprawców nie ustalono. Trzynastu z tych kierowców zgwałciło kobiety, a w pozostałych przypadkach chodziło o poddanie się tzw. innej czynności seksualnej.

Po publikacjach polskich mediów – m.in. tekstach Onetu, w których ofiary opisywały okoliczności napadów seksualnych w taksówkach prowadzonych przez obcokrajowców – firmy taksówkarskie zarzekały się, że wprowadzą działania zaradcze. Okazało się jednak, że „nowe standardy" niewiele zmieniły i w czerwcu tego roku kolejne kobiety opisywały, jak stały się ofiarami napastowania seksualnego i gwałtów dokonywanych przez kierowców.

Wpuszczenie zagranicznych korporacji oferujących przejazdy za pomocą aplikacji odbywało się w Polsce pod dużą presją, wywieraną m.in. przez ówczesną byłą ambasador USA w Warszawie – Georgette Mosbacher. Dziś wiemy, że uwolnienie tego licencjonowanego rynku w Polsce miało poważne konsekwencje. Czy nadal chcemy je ponosić?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

Annie Ernaux – królowa jednej nocy

Krzysztof Masłoń

Akademii Szwedzkiej przyświeca w dalszym ciągu Noblowska dewiza – „Geniusz i smak". Tego smaku brakuje i w twórczości, i w działalności publicznej niemałej części noblistów z lat ostatnich, że o genialności nie wspomnę

FOT. JULIEN DE ROSA/AFP/EAST NEWS

Tegoroczną Literacką Nagrodę Nobla otrzymała 82-letnia pisarka francuska Annie Ernaux. Przyznana jej została, podobnież, za „odwagę i kliniczną przenikliwość, z jaką odkrywa korzenie, alienacje i zbiorowe ograniczenia osobistej pamięci".

Napisała ponad 20 książek, w Polsce znamy dwie: „La place" z 1983 r., wydaną przez PIW jako „Miejsce" w tłumaczeniu Iwony Badowskiej sześć lat później, oraz uznawane za najważniejsze jej dzieło „Les Annees" z roku 2008, które – pod tytułem „Lata" w przekładzie Magdaleny Budzińskiej i Krzysztofa Jarosza – ukazało się nakładem wydawnictwa Czarne zaledwie przed kilkoma miesiącami.

Agata Kozak, tłumacząca obecnie dla Czarnego książkę noblistki, która wydana zostanie pod tytułem „Bliscy", a znajdzie się w niej m.in. nowy przekład „Miejsca", jest zdania, że „Ernaux czerpie ze swojej biografii i analizuje na podstawie swojego życia wydarzenia społeczne. Bierze siebie czy swoją rodzinę jako przykład przemian społecznych, ewolucji obyczajowych itd. Nie ma tutaj fabuły, metafor, ozdobników".

Co jest w takim razie? Marek Bieńczyk, pisarz i historyk literatury w jednej osobie, nazywa Annie Ernaux „królową genderowej prozy francuskiej", akcentując, że jej książki nie przypadną do gustu wielbicielom klasycznych powieści. To zresztą, przyznaje, „nie jest i moja bajka". Patrzy także na laury noblowskie dla autorki „Lat" w kontekście osoby jej bodaj najpoważniejszego rywala – Michela Houellebecqa, który – powiada – „wzbudziłby wiele kontrowersji. Ernaux zdawała się bezpiecznym wyborem. Ale już samo postawienie obok siebie tych dwojga pisarzy oznacza starcie literatury genderowej, dzisiaj tak istotnej, z powieścią klasyczną, epicką, która będzie powoli odchodziła w cień".

Czytelników „Lat" powinno oczarować już pierwsze zdanie książki. Niekiedy takie startowe frazy przechodzą do historii, jak „Ogary poszły w las" z „Popiołów" Stefana Żeromskiego. U Ernaux, zaraz po mottach z Czechowa i Ortegi y Gasseta, czytamy:

„Znikną wszystkie obrazy:

Kobieta, która w biały dzień, kucnąwszy z zadartą spódnicą, wysikała się w Yvetot na skraju ruin za barakiem, pełniącym po wojnie funkcję kawiarni, a potem podciągnęła majtki i wróciła do lokalu".

TABU MENOPAUZY

Anders Olsson z Akademii Szwedzkiej wywodził: „W swojej twórczości zaczęła

eprasa.pl 23f0335273

rozliczać się z doświadczeniami klasowymi i wiejskim pochodzeniem. Zwróciła się ku pamięci, chcąc poszerzyć granice literatury poza wąsko rozumianą fikcję. W swych rekonstrukcjach przeszłości wspiera się na »W poszukiwaniu straconego czasu« Marcela Prousta, ale kieruje te poszukiwania w zupełnie nowych kierunkach". W jakich? W „Latach" pisze, że „w pamięci istnieją nasze małe dzieci obok naszych rodziców i szkolnych kolegów. I my będziemy pewnego dnia we wspomnieniu naszych dzieci pośród wnuków i ludzi, którzy się jeszcze nie narodzili. Tak jak popęd seksualny pamięć nigdy się nie zatrzymuje". Ale nie Proust patronuje pisarstwu Ernaux, lecz – jak sama wskazuje – Simone de Beauvoir z „Drugą płcią" („dziś feminizm to konieczność" – mawia) i „Dystynkcja" Pierre'a Bourdieu, zajmującego się wpływem społecznego uprzywilejowania na losy jednostek. W sumie psychologizowanie obce jest tegorocznej noblistce, socjologia zaś – ważniejsza od czegokolwiek innego.

Powiada, że patrzy na świat poprzez pryzmat doświadczeń całego pokolenia, prezentując się jako „etnoložka samej siebie". Na katolicyzm zobojętniała pomimo katolickiego wychowania. O Janie Pawle II pisze, że „był politycznym bohaterem zachodniej wolności, takim Lechem Wałęsą w skali światowej". No to jednak wolę, też obrazoburczą, ale przynajmniej nie głupią, diagnozę Oriany Fallaci: „Gdy się pomyśli, że pijak Jelcyn był jak car, a Wałęsa, ten prostak, jest ikoną wolności, to po prostu ręce opadają. Tak naprawdę ostatnie dekady wydały tylko dwóch przywódców: Karola Wojtyłę i Osamę bin Ladena".

Nie można powiedzieć, że Ernaux nie trzyma ręki na pulsie tego, co w naszym życiu społecznym najważniejsze. „Niewątpliwie nadal istnieją tabu – przyznaje. – Niewiele mówi się chociażby o menopauzie i tym, że kobiety, które ją przeszły, nadal pragną się rozwijać. Romans kobiety po menopauzie z młodszym mężczyzną wciąż bywa uważany za coś dziwnego. Przykleja się jej łatkę kuguarzycy, drapieżnej kocicy, która »poluje na zwierzynę«, by zaspokoić swoje potrzeby. Rola kobiet w społeczeństwie zawsze była pomniejszana. To dotyczy nie tylko spraw intymnych, ale praktycznie każdego aspektu życia. Przyjęło się, że to mężczyźni dominują".

A gdzie spotyka się pisarka z dowodami takiego lekceważenia kobiet w kraju ponoć już tak liberalnym i demokratycznym, że zęby od tego bolą? „Weźmy choćby dziedzinę mojej pracy – literaturę. W każdym społeczeństwie pisarz jest w pierwszej kolejności podświadomie kojarzony z mężczyzną. Mogłabym przytoczyć tony anegdot i upokarzających historii z mojego życia. Podam jeden przykład. Kiedyś jeden z fizjoterapeutów zapytał mnie, czym się zajmuję. Kiedy powiedziałam mu, że jestem pisarką, zapytał: »Och, naprawdę?«. W jego sceptycyzmie dało się wyczuć, że kobieta, która pisze książki, to dziwactwo. Natomiast jestem przekonana, że gdyby mężczyzna odpowiedział na to samo pytanie: »Jestem pisarzem«, zostałoby to przyjęte jako coś najbardziej naturalnego na świecie".

Oriana Fallaci stwierdziła kiedyś: „Do diabła z Nagrodą Nobla i chwała tym, którzy jej nie przyjmują"

Nic dziwnego, że gdy zaproponowano jej zasiadanie w jury Nagrody Goncourtów, kategorycznie odmówiła, oczywiście na znak protestu przeciw zmaskulinizowaniu środowiska literackiego czy – szerzej – artystycznego.

WOLNE ŻARTY

Kandydatów do literackiego Nobla było w tym roku 233. Na „giełdzie" wymieniani byli m.in. Michel Houellebecq, Salman Rushdie, Haruki Murakami, kanadyjska poetka Anne Carson, Milan Kundera, Joyce Carol Oates, syryjski poeta Adonis, Jan Fosse i Karl Owe Knausgard z Norwegii, uchodząca za przeciwniczkę Putina Ludmiła Ulicka. Jedni w rankingu tym są „od zawsze", jak Kundera czy Oates, innym pomaga przeprowadzka, jak Ulickiej, która wyniosła się z Rosji do Berlina, z kolei przeprowadzki innych, jak Houellebecqa, są nieistotne, bo i tak, słusznie czy nie, uchodzi za islamofoba, a to grzech śmiertelny. Z analogicznych powodów nie otrzyma Nagrody Nobla Salman Rushdie, choć dla wolności słowa uczynił może więcej niż wszyscy jego konkurenci wzięci razem. Obłożony został jednak fatwą, a tego, że jego „Szatańskie wersety" nie zostały zapomniane, dowodzi ostatni atak nożownika w Nowym Jorku, w którego wyniku pisarz stracił oko. Ale członkowie Komitetu Noblowskiego nie są samobójcami.

Akademii Szwedzkiej przyświeca w dalszym ciągu Noblowska dewiza – „Geniusz i smak". Tego smaku brakuje i w twórczości, i w działalności publicznej niemałej części noblistów z lat ostatnich, że o genialności nie wspomnę. Od 2001 r. bronią się nagrody dla Doris Lessing i Maria Vargasa Llosy, z pewnością przychylnie zaakceptować wypadałoby wyróżnienie Imre Kertesza, Johna Maxwella Coetzeego, Alice Munro i Kazuo Ishiguro. Ale przy wszystkich pozostałych nazwiskach laureatów, na czele z Elfriede Jelinek, Jeanem-Marie Gustave'em Le Clezio, Mo Yanem i Bobem Dylanem, znaki zapytania stawiają się same. Dotyczy to także laureatek geograficznie nam bliższych, jak Swiatłana Aleksijewicz, i najbliższych, jak Olga Tokarczuk. Tej pierwszej, noblistce z 2015 r., nie należy zapominać tego, co mówiła w Nowym Jorku na temat współudziału Polaków w niemieckim ludobójstwie w czasie drugiej wojny światowej. Ani tym bardziej wyrzucić z pamięci to, jak Olga Tokarczuk doradzała rodakom, by od Niemców uczyli się „prostować" swoją historię.

Wieczne wypominanie, że nie doczekali się Nobla Rilke, Joyce czy Gombrowicz, jest bezproduktywne, bo w końcu otrzymali ją Eliot, Camus, Faulkner i tak wielu innych świetnych pisarzy. Laureatami Literackiej Nagrody Nobla są przecież: Henryk Sienkiewicz i Selma Lagerlof, John Galsworthy i Hermann Hesse, William Faulkner i Albert Camus, Samuel Beckett i Aleksander Sołżenicyn, Czesław Miłosz i Octavio Paz. Ale i Dario Fo, i Derek Walcott, Toni Morrison i Wole Soyinka, Grazia Deledda i… Winston Churchill. Zresztą już wybór pierwszego w dziejach literackiego noblisty – francuskiego poety Sally'ego Prudhomme'a – spowodował liczne protesty, dość powszechnie uważano bowiem w 1901 r., że największym żyjącym człowiekiem pióra jest Lew Tołstoj.

Warto może jeszcze dodać, że noblowskie honory dla Annie Ernaux to zaledwie 17. Nagroda Nobla dla kobiety spośród 119, które w dziedzinie literatury przyznane zostały od 1901 r. Ale już zgoła inaczej układają się te proporcje w naszym stuleciu: z 22 nagród osiem przypadło kobietom.

Oriana Fallaci stwierdziła kiedyś: „Do diabła z Nagrodą Nobla i chwała tym, którzy jej nie przyjmują". Czyli co, chwała

eprasa.pl 23f0335273

Sartre'owi? Wolne żarty. Także Peter Handke popisał się, w 2014 r., jednoznaczną oceną: „Nobel dla pisarzy to farsa". Pięć lat później zmienił zdanie. Kiedy sam tę nagrodę otrzymał. Nie ma ważniejszego od Nobla literackiego wyróżnienia. A w przeliczeniu na gotówkę warte było w tym roku 10 mln koron szwedzkich – 911 tys. dol. Dużo, choć w porównaniu z zarobkami np. najlepszych sportowców – pryszcz.

SEKS I PISANIE

Annie Ernaux debiutowała późno, bo w wieku 34 lat, powieścią „Les Armoires vides". Za „Miejsce" otrzymała Nagrodę Renaudot, a stosunkowo niedawno, bo w 2017 r., Nagrodę im. Marguerite Yourcenar za całokształt twórczości.

Za „Les Annees" otrzymała włoską Premio Strega Europeo, Nagrodę im. François Mauriaca, Nagrodę Uniwersytetu Warwick i nagrodę przyznawaną przez Association Marguerite Duras. Największe znaczenie miało jednak przełożenie jej „Lat" na angielski i nominowanie tej książki do Bookera.

Urodziła się 1 września 1940 r. w departamencie Sekwana Nadmorska. Wychowała się w 10-tysięcznym miasteczku Yvetot. Jej rodzice, wywodzący się z robotniczych familii, prowadzili tam sklepik, co – okazuje się – dla przyszłej pisarki stanowiło traumę, bo narażało na wstyd i poniżenie ze strony koleżanek wywodzących się z klasy średniej (?). Sądząc po innych, zawsze mocno autobiograficznych książkach Ernaux, choćby „Miejscu", wstydzić się będzie za Alphonse'a i Blanche Duchesne długo jeszcze, np. dlatego, że nie mówią literackim językiem, jak ona – wykształcona za ich pieniądze w Rouen i Bordeaux. A jakby tego było mało, to mama i tata trzymali się Kościoła katolickiego, w przeciwieństwie do niej, przed którą maj 1968 r. otworzył zupełnie nowe horyzonty, wyzwalając mentalnie, obyczajowo, seksualnie. To ostatnie nastąpiło zresztą wcześniej, gdyż już w 1963 r. dokonać miała aborcji, co następnie opisała ze wszystkimi drastycznymi szczegółami, a co niedawno sfilmowała Audrey Diwan w nagrodzonym na Festiwalu w Wenecji obrazie „Zdarzyło się".

W 1964 r. mężem przyszłej noblistki został Philippe Ernaux-Briot. Będzie mieć z nim synów i rozejdzie się po 21 latach. Utrzymuje, że kryzys w tym związku spowodowało jej pisanie, którego małżonek ani nie był w stanie zaakceptować, ani zrozumieć. Za mąż już nigdy nie wyszła, wdała się natomiast w dłuższy romans z młodszym o 28 lat mężczyzną, z którym zerwała, gdy dostrzegła, że traktuje ją niczym matkę.

Jestem pewny, że Nobel dla Annie Ernaux uznany będzie po latach jako jedna z większych kompromitacji Akademii Szwedzkiej

Jej ostatnia, najnowsza książka „Młody człowiek" ukazała się w tym roku. „Minęło pięć lat – opowiadała – odkąd spędziłam niezręczną noc ze studentem, który pisał do mnie przez rok, prosząc o spotkanie. Czasami uprawiam seks, żeby zmusić się do pisania". Deklarację tę odczytać można i w ten sposób, że bez seksu Ernaux nie ma o czym pisać, co pewnie jednak byłoby nadinterpretacją. Tak czy inaczej zastanowić się można, czy – patrząc na tę kwestię z drugiej strony – pisarstwo nie mogłoby przymuszać bądź choćby skłaniać do uprawiania seksu? I tu literatura gender przychodziłaby w sukurs seksuologii.

Że wszystko to nie jest bez znaczenia, dowodzi literaturoznawca Nogaś z kręgu „Gazety Wyborczej", swój wywiad z tłumaczem Ernaux tytułując wdzięcznie: „Nazywali ją dziwką. Pisali »Niech żyją ku..wy«".

ZBYTECZNA RELIGIA

Annie Ernaux bardzo stara się być „po linii i na bazie". Martwi się np., że „najciemniejsze partie znów forsują w Europie swoje konserwatywne, obskuranckie poglądy". Wcześniej m.in. solidaryzowała się, po kolei, z ruchem #MeToo, wzywała do demonstracji w stanie wyjątkowym, identyfikowała się z ruchem żółtych kamizelek, bojkotowała też kulturalną wymianę Francji z Izraelem, bo przynosi szkodę Palestyńczykom. A gdy Richard Millet napisał esej prowokująco zatytułowany „Język duchów. Eloge litteraire Andersa Breivika", skrzyknęła stu podobnych sobie oszołomów lub – jak mawiano przed laty – „towarzyszy drogi", z Le Clezio, noblistą z 2008 r. na czele, by podpisali się pod jej tekstem w „Le Monde" zatytułowanym „Faszystowska broszura Richarda Milleta hańbi literaturę" i domagającym się zakazu druku tego autora, jak również wydawania przez niego książek, bo pracował jako edytor dla Gallimarda. Kiedy emocje opadły, na Milleta wylały się już kubły pomyj i oczywiście stracił pracę, Benoit Duteurtre zauważył, że nawet w Sowietach podobne petycje pisarzy przeciw pisarzowi, mające na celu jego wyeliminowanie jako czarnej owcy, należały do rzadkości.

Ale cóż, Millet wprost pisał, że kto w jego kraju w trzecim pokoleniu nazywa się Mahomet (Muhammad), nie może być da niego Francuzem. Protestował przeciw islamizacji Francji i Europy, martwiło go wyrzekanie się przez rodaków chrześcijańskich korzeni. Annie Ernaux – przeciwnie; w „Latach" stwierdza, że religia rzymskokatolicka przestała już być nam do czegokolwiek potrzebna. Podkreślam – nie „mi", lecz „nam", Ernaux zabiera bowiem głos w imieniu pokolenia. Tego, które w wyniku 1968 r. zostało uszczęśliwione pigułką antykoncepcyjną, a siedem lat potem legalnością aborcji. Co prawda, tylko do 12. tygodnia ciąży, co dzisiaj dla fanek noblistki i całego tego genderowego towarzystwa wydaje się skandalicznym ograniczeniem, wtedy jednak otwierało drzwi do wolności utożsamianej z seksem bez konsekwencji. Kościół, postrzegany przez Annie Ernaux jako instytucja zajmująca się wyłącznie pilnowaniem kobiet, nie miał już nic do roboty, świątynie więc opustoszały, papieże opowiadali głupstwa i robili show, jak całujący ziemię Jan Paweł II. A już ten jego następca, którego imienia, a na pewno numeru niepodobna zapamiętać – ech, boki zrywać!

O dzieło Benedykta XVI nie martwiłbym się, a jeśli już, to o to, czy nie był to przypadkiem ostatni przywódca Kościoła katolickiego z prawdziwego zdarzenia. Stuprocentowo jestem pewny natomiast, że Nobel dla Annie Ernaux uznany będzie po latach jako jedna z większych kompromitacji Akademii Szwedzkiej mającej przecież nagradzać „wybitne prace na rzecz idealistycznych tendencji", a nie bezosobową autobiografię uzurpującą sobie prawo do występowania w imieniu ogółu.

Wreszcie… Zmarły 10 lat temu wybitny, a nie w pełni doceniony prozaik i dramaturg Janusz Krasiński zwykł mawiać, że nie interesuje go literatura rozporkowa. W pełni podzielam ten pogląd, nie robiąc wyjątku dla prozy pizdocentrycznej. Tej nagrodzonej Noblem także, a nawet szczególnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Grodno '39 – historia polskiej hańby?

Adam Hlebowicz

W trailerze filmu widzimy walkę, żołnierza żegnającego się przed bojem, agresywnych Sowietów i polskiego żołnierza podającego rękę grodzieńskiemu Żydowi. Przyjdźcie, maluczcy, do kina, a to, że zobaczycie tam zupełnie coś innego niż w zapowiedzi, nie jest ważne. Aby tylko towar się sprzedał

Piotr Gociek w ciekawym podsumowaniu tegorocznego Festiwalu Polskich Filmów („Pytania po Gdyni", „DRz" nr 39/2022) obszerny akapit poświęcił obrazowi „Orlęta. Grodno '39". Publicysta i krytyk filmowy „Do Rzeczy" napisał: „Reżyser i scenarzysta Krzysztof Łukaszewicz poważył się na rzecz niesłychaną dotąd w polskim kinie: pokazał Żydów komunistów, którzy są po prostu zdrajcami Polski, którzy strzelają zza węgła do polskich żołnierzy i którzy ślepą nadzieję pokładają w Sowietach. Gdyby w »Orlętach« była tylko »żydokomuna«, uznano by ten film za antysemicki. A tak daje się sprzedać jako wyważony (przynajmniej w kwestii żydowskiej)".

Jaka konkluzja z tych stwierdzeń? Żeby pokazać jeden z najbardziej bohaterskich epizodów tragicznego września 1939 r., a jeśli chodzi o militarne zmagania z Sowietami, to z pewnością najbardziej spektakularny, trzeba najpierw zniesławić własną historię, żeby mieć usprawiedliwienie dla pokazania roli żydowskich komunistów w Grodnie w dniach 19–21 września 1939 r. i w następnych dniach. Dlatego odważny Łukaszewicz uczynił głównym bohaterem żydowskiego chłopca, jakoby jedno z Orląt, mimo że taki przypadek nie jest odnotowany w żadnym znanym źródle. Dlatego też, jak słusznie zauważa Gociek, „wśród rdzennie polskich bohaterów filmu niemal nie ma postaci pozytywnych".

Być może za chwilę zobaczymy inny film, tym razem o krwawej jatce pod Monte Cassino, które szturmowały regimenty ze wszystkich kontynentów, ale przypadek sprawił, że Polacy zauważyli wycofywanie się Niemców i skorzystali z tego, zajmując wzgórze bez walki. Być może nie urazimy pacyfistów ani wszystkich narodów, które bezskutecznie przed naszymi rodakami próbowały rozstrzygnąć tę jedną z najważniejszych bitew drugiej wojny światowej na swoją korzyść. Ale za to będziemy mieli nasz film o Monte Cassino.

CO SIĘ NIE ZGADZA?

Nietrafiony jest tytuł filmu. Orlęta w polskiej historii są przypisane do zmagań o Lwów w 1918 r., trzytygo-

eprasa.pl 23f0335273

REŻ. KRZYSZTOF ŁUKASZEWICZ
„ORLĘTA. GRODNO '39"
POLSKA 2022

dniowych, zwycięskich walk o miasto z Ukraińcami. Nie zmienia tego doraźna uwaga gen. Władysława Sikorskiego o grodzieńskich Orlętach. Po co mieszać dwie różne rzeczywistości i tradycje? Chyba że w celach marketingowych. Te spełnia trailer filmu: widzimy walkę, żołnierza żegnającego się przed bojem, agresywnych Sowietów i polskiego żołnierza podającego rękę grodzieńskiemu Żydowi. Przyjdźcie, maluczcy, do kina, a to, że zobaczycie tam zupełnie coś innego niż w zapowiedzi, nie jest ważne. Aby tylko towar się sprzedał.

Wymienię jedynie podstawowe błędy, bez analizy, bo to nie recenzja naukowa. Siłowe zmagania narodowców z Żydami wyglądają jak współczesna ustawka kiboli – w istocie nie jest jasne, dlaczego się biją. O tym, kto pojedzie na obóz harcerski, decyduje dyrektor szkoły, a nie drużynowy ZHP. Polski oficer nie ma nic lepszego do roboty latem 1939 r. niż wykładać młodemu Żydowi, że jedynym wyjściem dla niego będzie asymilacja. Koniecznym, ponieważ niezasymilowanym grozi zagłada, jak sugeruje oficer (reżyser i scenarzysta nie wie, że zagłada groziła wszystkim Żydom, bez względu na wyznanie). ONR jest najważniejszy w Grodnie, podczas gdy zapewne zawiązał się w 1934 r. i w tym roku zaprzestał działalności. Potwornością bije obraz powieszonych w bramie ludzi, Żydów i Białorusinów, którym reżyser długo epatuje odbiorcę. Czy zrobili to oszalali z nienawiści ONR-owcy, przez cały czas noszący na ramionach opaski z Szczerbcem Chrobrego, którzy zamiast bronić miasta i Polski, zajęli się „czyszczeniem" niewygodnego elementu, jak twierdzą Sowieci? Tego odbiorca się nie dowie. Warto byłoby jednak zapytać, jakie było uzasadnienie tej sceny, ponieważ źródła z tego okresu nie wspominają o wypadkach wieszania żydowskich cywilów ani w Grodnie, ani w innych miejscach ziem wschodnich RP w czasie najazdu sowieckiego, ani w odniesieniu do NKWD, ani Polaków. Groteskowy jest widok bojówki komunistycznej z idącym na jej czele ortodoksyjnym Żydem. Zapewne niedawno wyszedł z synagogi, a po drodze zabrał ze sobą „Kapitał" Marksa i oczywiście czerwoną szturmówkę.

Najbardziej niewiarygodna jest postać głównego bohatera. W domu jego polskich sympatii nie rozumieją ani matka, ani brat. W szkole piętnują go koledzy z klasy, obleśny dyrektor szkoły (obrzydliwa scena z kremówką na stole dyrektora – tu znowu zasadne jest pytanie o pierwowzór źródłowy, czy znany jest taki przykład zachowania dyrektora przedwojennego polskiego gimnazjum), tchórzliwy wychowawca klasy, śledczy przesłuchujący matkę, który przypomina powojennego ubeka, a nie przedwojennego policjanta. Chce go nawracać na polskość wspomniany już oficer WP, polski plutonowy, i jego żołnierze bez przerwy go wyśmiewają, tytułując Ickiem i opowiadając mało zabawne szmoncesy, choć przecież on przyszedł im pomóc i naprawdę pomaga. W ogóle w całym filmie wszyscy Polacy zajmują się jedynie szykanami i złośliwościami wobec Żydów, a polscy żołnierze opowiadają owe prymitywne „dowcipy" antysemickie w chwili, kiedy widać już nacierających sto metrów dalej Sowietów. Który 13-latek by to wytrzymał, byle tylko zasłużyć na nazwanie go Polakiem?

JAKIE GRODNO?

Przedwojenne Grodno było tyglem narodowościowym. W tym okresie w mieście ukazało się 55 czasopism i jednodniówek w języku polskim, 11 tytułów w jidysz, dziewięć w języku białoruskim i trzy w rosyjskim. Spis powszechny z 1931 r. wykazał w mieście 43,4 proc. katolików, głównie Polaków, a także Białorusinów, 42,6 proc. Żydów i 12,6 proc. prawosławnych, czyli Białorusinów i Rosjan. Dodać należy, że tutejsi Żydzi byli bardzo słabo zasymilowani z Polską, posługiwali się na co dzień jidysz, a zaledwie 1 proc. z nich wskazał język polski jako swój główny. Miasto nie było jednym z ośrodków akademickich, w których zwłaszcza w drugiej połowie lat 30. dochodziło do aktów przemocy skierowanych wobec Żydów, a niektóre uczelnie stosowały zasadę getta ławkowego.

Stosunki polsko-żydowskie nie sprowadzały się jednak ani w Grodnie, ani w innych częściach Polski wyłącznie do postaw antysemickich, jak przedstawia to omawiany film. Antysemityzm głosił szeroko rozumiany obóz narodowy, ale całkowicie inną postawę prezentowała lewica, na czele z PPS, obcy był rządzącym piłsudczykom – pewne objawy niechęci nastąpiły dopiero po śmierci marszałka Piłsudskiego w 1935 r. Większość społeczeństwa podchodziła do tego typu haseł obojętnie.

Skrajne głosy ze strony żydowskiej chętnie wskazują na rzekomy pogrom, którego mieli dopuścić się Polacy tuż przed atakiem Sowietów na Grodno 20 września 1939 r. Przywołuje się świadectwo niejakiej Feigi Broide, która w liście do syna mieszkającego w Palestynie napisała, że „gdyby Armia Czerwona wkroczyła do Grodna choćby jeden dzień później, żaden Żyd by nie ocalał" („Zo lo ota Grodna", wyd. Yad Vashem 2001). Historyk izraelski Yehuda Bauer napisał w swojej książce „The Death of the Shtetl", że w grodzieńskim pogromie Polacy zamordowali prawie 30 Żydów. O kogo chodzi? O tych bojówkarzy Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, którzy w chwili, gdy Polska, której byli obywatelami, została zaatakowana przez dwa totalitaryzmy, a oni strzelali do obrońców tej Polski zza węgła w plecy? Według licznych zachowanych świadectw dotyczących obrony Grodna (m.in. Henryk Filipowicz, Brunon Hlebowicz, Grażyna Lipińska, Jan Siemiński, Sławomir Werakso) są takie, które wśród załóg sowieckich czołgów wymieniają schwytanych przez obrońców miasta dobrze tu znanych komunistów o nazwiskach Aleksandrowicz, Margolis, Lipszyc, którzy w latach tuż przed wojną zbiegli do ZSRS, a teraz zostali przewodnikami w poskramianiu dzielnego miasta. Najpewniej ok. 30 z nich, w tym jednak także osoby, które nie były Żydami, zostało rozstrzelanych. Wspomniany Yehuda Bauer pomija natomiast to, że Sowieci, często wspomagani przez miejscowe siły komunistyczne (zapewne byli to nie tylko Żydzi, lecz także Białorusini i Polacy), po zdobyciu miasta bestialsko zamordowali ok. 300 jej obrońców, w tym bohaterskich nastolatków.

MATERIAŁY EDUKACYJNE

Filmowi towarzyszą materiały edukacyjne przeznaczone dla młodzieży. W większości tych scenariuszy mamy do czynienia z klasyczną pedagogiką wstydu, której dowodzą liczne manipulacje czy wręcz fałsze. Dyskryminacja i antysemityzm są zestawiane z pojęciami takimi jak tradycja i patriotyzm, sugerując ich związek. Scenariusze lekcji, które łatwo odnaleźć w sieci, należą do kategorii myślenia totalnego, sformułowane w nich pytania nachalnie sugerują odpowiedzi, w ten sposób narzucając to, co młodzież ma myśleć, i wskazując jednowymiarową interpretację filmu i jego wymowy. W pytaniach, które w istocie zawierają odpowiedź, odebrana zostaje również

eprasa.pl 23f0335273

samodzielność nauczycielowi. Owa sztampa utrwala antypolskie stereotypy i ma wyzwalać w uczniu poczucie zawstydzenia z powodu przynależności do narodu polskiego i z powodu własnej historii. Utrwala mit o polskim antysemityzmie w kontrze do bohaterstwa, godności i propolskich postaw Żydów. Leoś Rotman staje się tego symbolem. W jednym ze scenariuszy czytamy: „Główny bohater filmu, Leon, to postać emblematyczna dla wszystkich grodzieńskich dzieci i nastolatków, które musiały bronić swojego miasta. Twórcy nadali mu również kilka cech upodabniających go do Tadzia Jasińskiego, 13-letniego bohatera walk o Grodno". Po co było jednak stwarzać fikcyjną, wydumaną postać, gdy wystarczyło pokazać prawdziwego Tadzia Jasińskiego, notabene dzisiaj wiemy, że 15-letniego, który zginął w obronie rodzinnego miasta, przywiązany do sowieckiego czołgu.

Jednemu z materiałów trzeba poświęcić więcej miejsca. Temat zajęć, co zabawne, z wiedzy o społeczeństwie, którego już nie ma w programie polskiej szkoły, brzmi: „»Każdemu, kto tonie, należy podać rękę« – antysemityzm i ludobójstwo w kontekście filmu »Orlęta. Grodno '39«". Autorką jest Agnieszka Jankowiak-Maik, chętnie przedstawiająca się jako osoba prowadząca bloga o nazwie „Babka od histy".

Jedna z najbardziej krzykliwych krytyczek polityki historycznej obecnych władz, opisując zjawisko antysemityzmu w międzywojennej Polsce, zilustrowała je niemieckim, nazistowskim plakatem, opublikowanym podczas okupacji w języku polskim, tym samym sugerując, że ma on źródło polskie. Manipulacja polega na tym, że „Babka od histy" nie używa w scenariuszu określeń „nazizm" i „Niemcy" jako rzeczywistych inicjatorów najpierw polityki antysemickiej, której jednym z wyrazów był prezentowany w materiałach plakat, później zaś sprawców ludobójstwa europejskich Żydów, wśród których największą liczebnie grupą byli Żydzi – obywatele polscy. Zarówno plakat, wydrukowany przez Niemców w okupowanej Polsce w języku polskim (o czym nie dowiemy się ze scenariusza), jak i następny materiał pomocniczy – tekst „10 kroków do ludobójstwa" sugerują, że postawy antysemickie w II RP prowadziły do ludobójstwa. Oto w skrócie ta ścieżka:

„Jakie emocje, uczucia mógł odczuwać chłopak, gdy:

* wykluczano go ze społeczności?
* prześladowano rodzinę?
* stosowano akty agresji?
* mordowano ludność żydowską?".

Odniesienie w tytule scenariusza pojęcia ludobójstwa do filmu o Grodnie we wrześniu 1939 r. jest całkowicie fałszywe, niemniej autorka chyba jednak nie wie, że w międzywojennej Polsce nie mordowano ludności żydowskiej, której konstytucja Rzeczypospolitej nadała te same prawa co Polakom oraz przedstawicielom innych narodowości i wyznań. Co każe zadać pytanie, czy osoba tak słabo znająca najnowsze dzieje Polski jest najbardziej odpowiednia do krytykowania innych, nie mówiąc już o pisaniu scenariuszy lekcji dla młodzieży.

Zastanawiające jest, według jakich kryteriów wybrano autorów oprawy edukacyjnej filmu i kto ten „wysiłek" sfinansował.

ŚWIADECTWA

Nie ma obrona Grodna '39 szczęścia. Grażyna Lipińska, dyrektorka przedwojennej szkoły zawodowej im. J. Tejszerskiej w mieście nad Niemnem, jedna z organizatorek pomocy medycznej dla rannych, także Sowietów, w 1939 r., pozostawiła po sobie jedne z najwybitniejszych wspomnień polskich z okresu drugiej wojny światowej. Spisane po ponad 11 latach pobytu w łagrach i więzieniach sowieckich ukazały się w 1988 r. w emigracyjnym wydawnictwie Spotkania pod mickiewiczowskim tytułem „Jeśli zapomnę o nich…". To z tych zapisków dowiedzieliśmy się po raz pierwszy o heroicznej śmierci Tadzia Jasińskiego, to Lipińska bardzo szczegółowo opisała, co działo się w Grodnie we wrześniu 1939 r. Wiele lat po wojnie pojawiły się głosy, zwłaszcza na Białorusi, negujące istnienie Tadeusza Jasińskiego. Dopiero uporczywa praca członków Stowarzyszenia Grupa Wschód, a potem Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku potwierdziły istnienie chłopca, a nawet odnalezione zostały jego fotografie.

Wróćmy jednak do wspomnień Lipińskiej. Jak się okazuje, jeden z najbardziej zasłużonych wydawców działających na emigracji z niewiadomych przyczyn dokonał w kilku wypadkach ich ocenzurowania. Oto oryginalny zapis jej wspomnień: „Z czołgu wyskakuje czarny tankista, w dłoni brauning, grozi nam. Z sąsiedniego domu z podniesioną do góry pięścią wybiega młody Żyd, ochrypłym głosem krzyczy, o coś oskarża nas i chłopczyka. Dla mnie oni nie istnieją. Widzę tylko oczy dziecka pełne strachu… pełne męki".

W wersji Spotkań umieszczona jest taka „poprawiona" wersja: „Z czołgu wyskakuje czarny tankista, w dłoni brauning, za nim drugi – grozi nam. Z podniesioną do góry pięścią, wykrzywioną w złości twarzą, ochrypłym głosem krzyczy, o coś oskarża nas i chłopczyka. Dla mnie oni nie istnieją. Widzę tylko oczy dziecka pełne strachu… pełne męki". Czyli z miejscowego Żyda komunisty zrobiono drugiego sowieckiego czołgistę.

Nieco dalej następna manipulacja. W oryginale jest tak: „Czołgi krążą już śmiało prawie po wszystkich ulicach, nikt do nich nie strzela. Otwarte są ich luki, czarno ubrani tankiści wychodzą na zewnątrz. Z domu wyległa czerń żydowska, twarze rozradowane, szwargocą… Wielu z nich wita tankistów po bolszewicku przez podniesienie ręki z zaciśniętą pieśnią. Gdzie oni się nauczyli tego?".

A w wersji w druku: „Czołgi krążą już śmiało prawie po wszystkich ulicach, nikt do nich nie strzela. Otwarte są ich luki, czarno ubrani tankiści wychodzą na zewnątrz. Z domów wysuwają się Żydzi. Cieszą się, że widzą Rosjan, a nie Niemców. Wielu z nich wita tankistów po bolszewicku przez podniesienie ręki z zaciśniętą pieśnią. Gdzie oni się nauczyli tego?".

Nieuzasadnionych skrótów, zmienionych zdań jest sporo więcej w całym tekście. Smutna to konstatacja, że niestety na emigracji także była obecna cenzura. Pytanie: Wobec kogo i dla kogo?

Jakie wnioski płyną z tego nieudanego filmu, tu się wyraźnie różnimy w jego ocenie z Piotrem Goćkiem, i bardzo szkodliwych scenariuszy lekcyjnych? Nie dość, że nie znaleźliśmy chętnego do poważnego sfilmowania naszej historii w Hollywood, to jeszcze sami zamieniamy tę historię w karykaturę, do tego, jak słyszymy, mającą być promowaną za granicą. To, co powinno być naszą narodową dumą, w ujęciu filmowców i pożal się Boże edukatorów staje się narodową hańbą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Biura Edukacji IPN.

W większości tych scenariuszy mamy do czynienia z klasyczną pedagogiką wstydu, której dowodzą liczne manipulacje czy wręcz fałsze

eprasa.pl 23f0335273

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kuchnia życia

Piotr Gociek

Jak żyć? Bez wybaczenia sobie i innym to niemożliwe. „The Bear" to jeden z najlepszych seriali ostatnich lat

Jeden z moich ulubionych odcinków komiksu „Garfield" – Jon, właściciel leniwego kocura – jedzie na farmę swoich rodziców. Podczas gdy na pierwszym planie w kolejnych kadrach trwa wymiana zdań na rozmaite tematy, w tle każdego obrazka stoi mama Jona i woła za każdym razem to samo: „Jedz! Jedz! Jedz!". Skąd my to znamy?! Jedzenie to sprawa poważna, wyrażamy miłość poprzez przygotowanie i dzielenie posiłków, łamiemy chleb w geście przyjaźni i wspólnoty – gość czuje się po tym geście bezpieczny – nie zapominajmy także o symbolice religijnej.

Serial „The Bear", znakomita produkcja FX dostępna od niedawna w serwisie Disney+, jest opowieścią o wielu rzeczach, ale m.in. o wspólnocie, którą tworzy wspólne przygotowywanie posiłków. Bohaterowie nie do końca zdają sobie z tego sprawę, każdy ciągnie w swoją stronę i z własnych powodów, ale z czasem ułoży się z tego szerszy obraz. Dwa słowa o zawiązaniu akcji: dotychczasowy właściciel knajpy Beef popełnił samobójstwo. Jego miejsce zajmuje młodszy brat, prowadzący dotąd życie kulinarnej gwiazdy (gotował w najlepszej restauracji świata). Wraca do podrzędnej i targanej konfliktami spelunki, żeby… No właśnie – dlaczego? Na razie wiemy jedno – odziedziczył jedynie długi i kłopoty.

KUCHARZENIE NA EKRANIE

Mieliśmy w ostatniej dekadzie sporo ciekawych opowieści z kuchni; myślę, że spory udział w powstaniu tego trendu miał Anthony Bourdain, który najpierw w książkach, a potem w programach telewizyjnych szczerze opowiadał o blaskach i cieniach życia restauracyjnych szefów. Wymagania wysokie, mnóstwo przeciwności, ani chwili

eprasa.pl 23f0335273

na wytchnienie i nieustanne ciśnienie: wszyscy cię ciągle oceniają, właściciel, kulinarni krytycy, a przede wszystkim klienci – z każdym zjedzonym kęsem, z każdą spożytą potrawą. Kuchnia jako życie? O tak, bardzo to pasuje.

Cała zabawa ma sens tylko wtedy, gdy kucharzenie nie jest jedynie nieistotnym tłem, źródłem kolorytu lokalnego, a jedzenie pełni jakąś rolę – poza dekoracyjną. W filmie „Szef" („Chef", 2014) grany przez reżysera Jona Favreau szef eleganckiej restauracji rzuca w diabły robotę, kupuje stary food truck i jedzie przez Amerykę, karmiąc ludzi kanapkami. Najważniejsza jest jednak relacja ojciec – syn. W tej podróży tata przypomni sobie o tym, co jest w życiu naprawdę ważne, a syn nawiąże z odległym, wiecznie zapracowanym ojcem nić porozumienia.

W późniejszym o rok filmie Johna Wellsa „Ugotowany" („Burnt", 2015) oglądamy Bradleya Coopera jako osobnika tyleż utalentowanego kulinarnie, co irytującego. Kiedyś popularny i bogaty, teraz po tysiącu dni abstynencji i terapii (uzależnienie od narkotyków, alkoholu i seksu) próbuje wrócić na szczyt i zdobyć swoją trzecią gwiazdkę Michelina. „Wszyscy kochają Jonesa, lecz on zdaje się tego nie zauważać. Tymczasem gdyby nie ludzie wokół niego, nigdy nie dałby rady odbić się od dna. Przestań być dupkiem, a życie uśmiechnie się do ciebie – tak brzmi prawdziwy tytuł tego filmu" – pisałem w recenzji na łamach „Do Rzeczy" (nr 7/2016). Jedna z ładniejszych scen z tego filmu rozgrywa się nad patelnią świeżo usmażonej jajecznicy (pojednanie przez gotowanie). I bardzo ciekawa rzecz dzieje się na końcu: główny bohater z zadufanego, przemądrzałego i trudnego do zniesienia dupka zamienia się w szefa zasiadającego do wspólnego posiłku ze swoją załogą. To jego prawdziwa rodzina.

Podobne przesłanie znajdziemy w „The Bear", serialu świetnie napisanym i doskonale zagranym. Powrócić bowiem trzeba do pytania, które zadałem wcześniej: Dlaczego właściwie wziął na siebie zadanie, które w oczywisty sposób pachnie katastrofą? Po pierwsze, wszyscy w chicagowskiej knajpie zmagają się z traumą po samobójczej śmierci poprzedniego właściciela, nikt nie rozumie, dlaczego do niej doszło. Po drugie, Carmy Berzatto (świetny Jeremy Allen White) ma wyrzuty sumienia, że był zbyt daleko, separując się nie tylko od brata, lecz także od reszty rodziny. Jest w tym wszystkim jednak coś więcej – szybko dostrzegamy, że znakomity kucharz, który mógłby krzyczeć „Jestem królem świata!", ma poważne kłopoty ze sobą, że cena, którą zapłacił za sukces, była ogromna. Z początku kibicujemy mu bezwarunkowo. Bo jak nie trzymać jego strony? Poświęcił wszystko, żeby wrócić do korzeni i ratować, co się dało, kosztem zarwanych nocy, katorżniczej roboty, finansowych kłopotów. I jeszcze w dodatku nikt nie jest mu za to wdzięczny!

★★★★★☆
SEZON 1
„THE BEAR"
USA 2022

wyst. Jeremy Allen White, Ebon Moss-Bachrach, Ayo Edebiri, dystr. Disney+

Sprawy są trochę bardziej skomplikowane, bo symboliczny niedźwiedź, którego widzimy w pierwszej scenie filmu (Carmy ma dziwny sen: podchodzi do klatki stojącej na środku pustego mostu, otwiera ją, a z wnętrza wyłania się groźny zwierz), to oczywiście bestia, którą musi zwalczyć. Tym razem nie chodzi o to, że jest zaćpany (czy ktoś dziwiłby się, gdyby był?), ale o to, że z jakichś powodów bohater serialu „The Bear" zdaje się być w stanie nieustannej wojny z całym światem. Nie pogodził się ze śmiercią brata, nie potrafi nawiązać kontaktu z siostrą, nie potrafi być wyrozumiały dla siebie ani empatyczny dla innych; jedynym wyjściem zdaje mu się śrubowanie wymagań wobec siebie i innych. Trauma traumą, ale bez wątpienia duszą go także pycha i poczucie wyższości, przekonanie, że nikt poza nim nie jest w stanie uratować rodzinnego biznesu. Myli się.

Nieformalna rodzina skupiona w restauracji (bardziej może: jadłodajni) Beef to gromadka bardzo ciekawa. Richie to dobry kumpel zmarłego brata, który traktowany jest jak członek rodziny, choć nim nie jest. Pracuje tu od lat i traktuje knajpę jako własną. Rozgadany, wybuchowy, uparty. Żeby było śmieszniej, pochodzi z polskiej rodziny, która udaje Włochów. Tina, latynoska kucharka, jest w Beef od zawsze (gdy ktoś ją denerwuje, udaje, że nie rozumie angielskiego). Marcus, cichy i nieśmiały, ale drzemie w nim wielki talent mistrza wypieków. No i wreszcie jest nowa postać w kuchni, młodziutka, ale piekielnie utalentowana Sydney (gra ją znakomicie Ayo Edebiri), którą Carmy zaczyna w pewnym momencie traktować niemal tak, jak jego traktowali najwięksi szefowie luksusowych restauracji (w retrospekcji na chwilę pojawia się przerażający Joel McHale jako mistrz mobbingu).

KRYZYS ZA KRYZYSEM

Na ekipę knajpy spada kryzys za kryzysem: jak nie kłopot z dostawcami, to awaria prądu, jak nie strzelanina przed witryną, to katastrofalna w skutkach wizyta inspektorki sanepidu. Każdy kryzys – i tu dochodzimy do tego, jak dobrze napisany jest ten komediodramat (twórcą serialu jest Christopher Storer) – wyzwala jednak w bohaterach coś nowego, rozwija ich, sprawia, że odkrywają w sobie coś nowego. To jednak nie wystarczy, żeby sprawy wróciły na właściwe tory. Carmy musi odkryć, że tak jak w gotowaniu trzeba zdjąć pokrywkę, żeby buzujące w garnku danie nie eksplodowało. Cały kłopot w tym, że to on jest tą pokrywką, że to on wywiera coraz większy nacisk – i na tych, którzy dookoła, i na siebie.

Jest więc „The Bear" opowieścią o tym, że w pewnym momencie trzeba odpuścić, pozwolić sobie na nowy początek, wyzwolić się z obsesji, które trzymają nas w traumach przeszłości. Przestać się katować rzeczami, na które nie mamy wpływu (Carmy jest niezdolny do zrozumienia, dlaczego brat odebrał sobie życie, i wręcz zdaje się mieć oto do nieboszczyka głębokie pretensje). Nie znaczy to zapomnieć albo przestać poważnie traktować życie. Po prostu odpuścić: wybaczyć sobie i innym, wziąć głęboki oddech i zacząć na nowo.

Zmiana jest jedyną rzeczą niezmienną w naszym życiu; w serialu oglądamy też ukazywane melancholijnie Chicago, które jest kolejnym bohaterem opowieści. Postacie z „The Bear" dostrzegają, utyskują, wspominają: tu była knajpa, której już nie ma. Ten bar zabity został przez COVID, tam budynki rosną, a tam są wyburzane. To już nie jest to samo miasto – powie pesymista. Części się zmieniają, ale całość pozostaje – odpowie optymista.

W istocie wyboru między tymi punktami widzenia muszą dokonać bohaterowie serialu „The Bear", patrząc na to, co dzieje się z ich ukochanym/znienawidzonym miejscem pracy, miejscem życia. Nie oni jedni. Czekam niecierpliwie na drugi sezon.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Małe piwo

★★☆☆☆☆

REŻ. PETER FARRELLY
„WIELKA OFENSYWA PIWNA" („THE GREATEST BEER RUN EVER")
USA 2022

wyst. Zac Efron, Russell Crowe, Jake Picking, dystr. Apple TV+

Pycha kroczy przed upadkiem: po zdobyciu dwóch Oscarów za „Green Book" (adaptowany scenariusz i najlepszy film) Peter Farrelly uznał, że teraz może wszystko. „Wielka ofensywa piwna" udowadnia, że jednak nie. A przecież powinno się udać, bo miał za sobą sukcesy i jako autor przeszarżowanych komedii („Sposób na blondynkę", „Kręglogłowi", „Głupi i głupszy"), i jako twórca kina poważniejszego (wspomniany „Green Book"). Ekranizacja książki Johna O'Donohue'a wymagała obu tych umiejętności, bo to tragikomedia, wielce zresztą udana. Farrelly jednak nie podołał – mimo że w obsadzie pomagali mu Bill Murray i Russell Crowe.

Tytuł nie zwiastuje, wbrew pozorom, opowieści o kłopotach firm reklamujących piwo. Główny bohater tej historii postanawia zaskoczyć i rozweselić swoich najlepszych kumpli nadstawiających głowę w Wietnamie. Jest rok 1967, jest gorąco dosłownie i w przenośni. Cóż więc bardziej mogłoby ucieszyć przyjaciół Johna w mundurach jak nie transport piwa? Trzeba je tylko przeszmuglować do strefy działań wojennych na końcu świata.

Szalona (i często czarna) satyra wojenna to specjalność amerykańskiej literatury XX w., czym byłaby bez „Paragrafu 22" czy książek Vonneguta. Tyle tylko że książka Johna O'Donohue'a to nie zgryźliwy traktat antywojenny, lecz opowieść o najlepszym rodzaju męskiego kumpelstwa – przyjaźni po grób, na serio i w wygłupie. Jest to również hołd dla tych, którzy nie uchylali się od obowiązku i na wojnę wyruszyli, zamiast palić powołania na demonstracjach w San Francisco i ćpać w rytm psychodelicznego rocka. O'Donohue nie wychwala wojny, o nie, ale wychwala tych, którzy pozostają wierni w najtrudniejszych sytuacjach – swojemu krajowi i sobie nawzajem.

Peter Farrelly, szykując swoją adaptację, udawał, że tego wszystkiego nie rozumie. I zredukował „Wielką ofensywę piwną" do dydaktycznej opowiastki o tępaku, który lubi browarki, leci na wojnę i odkrywa, że wojna to piekło. Ani to specjalnie odkrywcze, ani ciekawie opowiedziane; cały potencjał na szaloną jazdę, w trakcie której śmiejemy się jak oszalali, by za chwilę zapłakać, został wyrzucony za okno. Powstał film gładki, poprawny, beznamiętny, banalny. Na szczęście ukazała się właśnie po polsku książka (nakładem wydawnictwa Replika). Poszukajcie jej w księgarniach. Więcej będzie z tego pożytku niż z oglądania tej nowości Apple TV+. ©℗

NOWE SERIALE: „ZA BLISKO"

Brytyjski miniserial telewizji ITV, u nas dostępny w HBO Max. Doktor Emma Robertson (w tej roli Emily Watson) musi ocenić, czy oskarżana o zbrodnię Connie (Denise Gough) jest osobą poczytalną. Prasa już wydała wyrok, nazywając Connie zbrodniczą mamuśką; główna bohaterka całej historii twierdzi natomiast, że niczego nie pamięta. Kameralny dramat psychologiczno-kryminalny według powieści Clary Salaman pod tym samym tytułem (książka ukazała się w Polsce w roku 2019 nakładem wydawnictwa Prószyński). ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***„Za blisko" („Too Close"), Wielka Brytania 2021, HBO Max***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 2* ***„Acapulco"***, *USA 2022*

• *sezon 1* ***„Od zera" („From Scratch")***, *USA 2022*

• ***„Zaginione miasto" („The Lost City")***, *USA 2022*

eprasa.pl 23f0335273

Czterdzieści i cztery

NINATEKA

Rok Romantyzmu powoli się kończy, lecz Ninateka, niezrażona tym faktem, przygotowała dla fanów epoki wieszczów małe co nieco.
Menu trochę zaskakuje: można w nim znaleźć ekranizację nekrofilskiego protohorroru „Kochanka Szamoty" tudzież jasełkowe „Dziewczę z ciortem" Piotra Szulkina. Krótkometrażowa „Świtezianka" sióstr Bui i animowane „Vade-mecum" braci Quay (spuentowane sceną z „Popiołu i diamentu" Wajdy) nadają się co najwyżej na startery. Danie główne to bez dwóch zdań „Lawa". Film Tadeusza Konwickiego wszedł na ekrany w momencie najgorszym z możliwych. PRL się walił, wolny rynek pukał do drzwi, a polska inteligencja, zapatrzona w Europę jak cielę w malowane wrota, dojrzewała do rozbratu z romantyczno-powstańczym etosem. Dla reżysera „Lawa" była pożegnaniem z kamerą i ukochaną Wileńszczyzną. Dla studenta PWST Artura Żmijewskiego (który, o dziwo, zagrał Gustawa-Konrada zamiast Księdza Piotra) – trampoliną do sławy. Henryk Bista popisowo wcielił się w cynicznego Senatora. Film zapisał się w annałach wspólną sceną aktorskich gigantów: Gustawa Holoubka i Tadeusza Łomnickiego. Ten pierwszy, wbijając wzrok w kamerę, recytuje „Wielką improwizację".
W 1968 r. po obejrzeniu „Dziadów" w teatrze rozogniona publiczność pragnęła rewolucji. Tym razem poszła do kina na „Kogel-mogel 2". ©℗

Wiesław Chełminiak

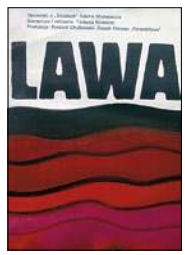

★★★★☆☆
REŻ. TADEUSZ KONWICKI
„LAWA". OPOWIEŚĆ O »DZIADACH« ADAMA MICKIEWICZA"
POLSKA 1989

wyst. Artur Żmijewski, Gustaw Holoubek, Henryk Bista

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DNI RADIA

KINO

Sentymentalny dramat w dwóch aktach z prologiem w postaci wyborczego zwycięstwa François Mitteranda. Paryżanie świętują dojście lewicy do władzy, Elisabeth, mieszkająca w mrówkowcu z widokiem na inne mrówkowce, jest w gorszym nastroju. Po odejściu męża musi znaleźć pracę i okiełznać dwoje dorastających dzieci. Francuzi zawsze mieli słabość do kameralnych historii o ludziach, którzy zamiast ratować świat, po prostu żyją i pozwalają żyć innym. Miło przekonać się, że ta tradycja nie zaginęła. Elisabeth, z usposobienia samarytanka, zostanie telefonistką w radiowej audycji dla nocnych marków i przyjmie pod swój dach zbuntowaną bezdomną. My nad Wisłą inaczej wspominamy lata 80., lecz z nostalgią jeszcze nikt nie wygrał. Warto zwrócić uwagę na pokoleniową zmianę warty. Béart, kobieta kot francuskiego kina, przekazuje pałeczkę pannie Abita. Zabawne, że nie mają ani jednej wspólnej sceny.

★★★★☆☆
REŻ. MIKHAËL HERS
„PASAŻEROWIE NOCY" („LES PASSAGERS DE LA NUIT")
FRANCJA 2022

wyst. Charlotte Gainsbourg, Quito Rayon-Richter, Noée Abita

APETYT NA ŻOŁĘDZIE

KINO

Docudrama z życia mieszkańców lasu. Trochę w stylu „Mikrokosmosu", tylko zamiast łąki w centrum uwagi jest dąb pamiętający epokę cesarza Napoleona. W amerykańskich produkcjach przyrodniczych najważniejsze są kły i pazury ewolucji, a trup ściele się gęsto. Akcja francuskiego filmu rozgrywa się zaś w krainie łagodności (może dlatego, że kręcono go w czasie pandemii). Aktorzy naturszczycy w odróżnieniu od ludzi nie spełniają się w gadaniu, lecz w działaniu. Wiewiórka cierpiąca na ADHD, wszędobylskie myszy, sójki obserwatorki, wytrwałe słoniki żołędziowe nie żyją razem, ale obok siebie. Wróżę „Sercu dębu" karierę, gdyż jest dobrze wyreżyserowane i zmontowane. Konwencja zmienia się jak w kalejdoskopie: w jednej scenie mamy film akcji, w następnej komedię, kino familijne lub egzystencjalne (gdy robale umierają wkrótce po spełnieniu prokreacyjnego obowiązku). Po seansie – marsz do lasu! ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆
REŻ. LAURENT CHARBONNIER, MICHEL SEYDOUX
„SERCE DĘBU" („LE CHÊNE")
FRANCJA 2022

GRA TYGODNIA: „GROUNDED"

Wiele zależy od perspektywy. Kiedy jest się mniejszym od mrówki, nawet przydomowy ogród staje się poligonem, a pająki jeszcze bardziej obrzydliwe i przerażające. „Grounded", która właśnie wyszła z fazy wczesnego dostępu, jest grą survivalową, w której wcielamy się w miniaturowego człowieka mierzącego się z takimi niebezpieczeństwami jak wspomniane wyżej pająki czy inne owady, a papierki, puszki, piłki tenisowe są z naszej perspektywy wielkie jak biurowce. Walczyć o przetrwanie możemy w kooperacji z maksymalnie czterema osobami, a wspólna rozrywka zdecydowanie jest tym, do czego ta gra została stworzona. ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

- ***Gatunek:*** *survival, FPP*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Obsidian Entertainment, Xbox Game Studios/Microsoft Studios*

eprasa.pl 23f0335273

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ta nić czarna się przędzie

Być może nie byłoby tej książki, gdyby 10 lat temu jej autor, zaproszony na wieczór autorski do Paryża, nie zatrzymał się u sióstr szarytek, w klasztorze przy ulicy Chevaleret, w trzynastej dzielnicy. Dopiero tam zorientował się, że będzie nocował w tak znaczącym dla naszej literatury Zakładzie św. Kazimierza, gdzie spędził ostatnie lata Cyprian Kamil Norwid. Jakby tego było mało, otrzymał pokój przylegający do dawnej celi twórcy „Promethidiona" i z okna mógł patrzeć na ten sam co on dziedziniec. A zatem nie mógł Norwid widzieć stamtąd Sekwany, o czym przekonywał Józef Czechowicz w poetyckiej prozie dopełniającej jego sławnego poematu „Dom św. Kazimierza". „Nie zmienia to naturalnie faktu – na wszelki wypadek zaznacza Olbromski – że zarówno poemat, jak i proza Czechowicza odznaczają się przedziwną i przejmującą prawdą artystycznego przekazu".

Niemniej ten paryski przytułek dla m.in. weteranów powstań listopadowego i styczniowego ma bardzo ciemną legendę. Budował ją legion pisarzy i poetów (wymieńmy tu choćby Miłosza i Herberta, Różewicza, Hannę Malewską, Włodzimierza Słobodnika), a utrwalił w filmie „Dom św. Kazimierza", zrealizowanym w setną rocznicę urodzin Norwida, Ignacy Gogolewski. Szarytki były w tym obrazie przedstawione jako surowe strażniczki, mało różniące się od więziennych klawiszy. Ale czy film fałszował biograficzną prawdę? – zastanawia się w eseju stanowiącym wstęp do „Cienia Norwida" prof. Grażyna Halkiewicz-Sojak: „Akcja filmu rozgrywa się w ostatnich tygodniach życia Norwida, a był to dla niego czas narastającego poczucia samotności i melancholii, czas żałobnych pożegnań".

FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOVA

Norwid na ulicę Chevaleret (za jego czasów, żeby dostać się stamtąd do centrum stolicy, trzeba było podróżować dorożką i… statkiem, co w sumie zabierało kilka godzin; dziś metrem dojeżdża się w kilkanaście minut) trafił w 1877 r.; w następnym roku umiera jego ukochany Pius IX (w czasie rzymskiej Wiosny Ludów wraz z Zygmuntem Krasińskim z dubeltówkami w rękach chcieli bronić papieża przed zrewoltowanym tłumem), w 1879 r. też mieszkający „u Kazimierza" przyjaciel poety Tomasz August Olizarowski (zapomniany przedstawiciel ukraińskiej szkoły romantycznej, autor ponad 40 dramatów wciąż czekających na wydanie, pochowany w zbiorowym grobie, do którego cztery lata później złożono ciało Norwida), w kolejnym roku – Bronisław Zaleski (jeszcze jeden z nielicznych przyjaciół Norwida, polski i białoruski działacz społeczny, pisarz związany z Hotelem Lambert, krótko mąż Michaliny z Dziekońskich, która do spółki z Teodorem Jełowickim pokryła koszty pogrzebu twórcy „Fortepianu Chopina"). „Nić czarna – cytuję – przędła się coraz szybciej".

Zajmująco opowiada o późnych, trudnych latach poety Mariusz Olbromski, oddając przy tym sprawiedliwość Teofili Mikułowskiej, matce przełożonej Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, we wspomnianym filmie Gogolewskiego rzeczywiście najbardziej przypominającej szefa żandarmerii. Urodzona na Wołyniu, śluby zakonne złożyła w Wilnie. Gdy sprzeciwiając się rosyjskim władzom, odmówiła przejścia na prawosławie, została objęta nadzorem policyjnym, aż w końcu w 1844 r. w przebraniu przekroczyła granicę rosyjsko-pruską, docierając do Paryża, gdzie księżna Anna Czartoryska zleciła jej opiekę nad osieroconymi dziećmi powstańców. Takie były początki Zakładu św. Kazimierza, w którym przez lata znajdowali opiekę zarówno polscy weterani, jak i artyści: poeci, muzycy, malarze.

Mariusz Olbromski, muzealnik, pisarz i poeta, inicjator Dialogu Dwóch Kultur, spotkań polsko-ukraińskich w Muzeum Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu, nie byłby sobą, gdyby w opowieść o Norwidzie nie wplótł wielu wątków kresowych. Znajdziemy je w „Cieniu Norwida", podobnie jak finalizujący go szkic o wpływie, jaki twórczość autora „Vademecum" wywarła na Karola Wojtyłę. Jan Paweł II uważał Norwida za „jednego z największych poetów i myślicieli, jakich wydała chrześcijańska Europa", a w 2001 r. pobłogosławił prochy poety wydobyte ze zbiorowej mogiły i złożone w wawelskiej Krypcie Wieszczów.

Poświęcił też Olbromski Norwidowi włączony do tego tomu swój poemat „Za ścianą (w Zakładzie św. Kazimierza)", kończący się niezwykle trafnym wersem: „dzieła twe – studnie w pustyni świata". ©℗

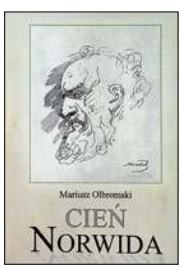

★★★★☆

MARIUSZ OLBROMSKI „CIEŃ NORWIDA" OFICYNA WYDAWNICZO-POLIGRAFICZNA ADAM, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 23f0335273

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Słowa, litery, symbole

Michael Ende uważał tę książkę za najważniejszą w swoim dorobku. Pisarz, który zdobył światową sławę jako twórca literatury dziecięcej i fantastycznej („Kuba Guzik", „Niekończąca się historia", „Momo"), wrócił u schyłku życia do swojej fascynacji surrealizmem oraz począł głosić przewagę sztuki nieskrepowanej wymogami komercyjnymi. Efektem był tom opowiadań dla dorosłych „Zwierciadło w zwierciadle", który właśnie po raz pierwszy ukazuje się po polsku. Czekaliśmy na ten przekład grubo ponad trzy dekady.

Kolekcja krótkich, lecz wiązanych ze sobą pojedynczymi motywami tekstów przynosi nam ten rodzaj literackiego śnienia, którego nie powstydziliby się Dino Buzatti czy Henri Michaux. Najważniejsze w tej prozie są sugestywne obrazy i powracające symbole. Zwykle są bardzo gorzkie, niemal zawsze pełne paradoksów. Mieszkańcy miasta labiryntu w pełni szczęśliwi mogą stać się dopiero po jego opuszczeniu. Ale jednocześnie opuścić je może tylko człowiek szczęśliwy. Ludność tajemniczego kraju buduje ogromny most, „ich połowa" ma się podobno kiedyś spotkać z drugą połową, budowaną przez mieszkańców sąsiedniego kraju, tyle że śladów żadnej budowy na horyzoncie nie widać. Strażak próbuje ocalić niezwykłą katedrę-dworzec. Nikt jednak nie wsiada tu do pociągów, bo tak naprawdę to katedra mamony.

Choć pisana prostym językiem, to jest to proza gęsta i pełna rozmaitych znaczeń. Posłowie Jerzego Prokopiuka (zmarł w ubiegłym roku) próbuje wepchnąć ją w ramiona gnozy i ezoteryki, ale bardziej zaciemnia, niż rozjaśnia. Nie jest to książka dla każdego, ale mam pewność, że po latach okaże się książką kultową, poszukiwaną i analizowaną bez końca.

Moją uwagę najbardziej zwróciły opowiadania związane z aktem tworzenia i ze sztuką. Spotkamy na stronach tomu człowieka, który cały składa się z liter. A także trupę wędrownych aktorów z Niebiańskich Gór, których spektakl podtrzymywał kiedyś istnienie świata. Teraz nie mogą go odgrywać, bo brak im jednego słowa. Jednego, lecz kluczowego. Przemierzają więc kolejne krainy w jego poszukiwaniu. „Jeśli nie znajdziemy słowa, które łączy ze sobą wszystko ze wszystkim, to świat któregoś dnia tak bardzo się rozdrobni, że zostanie po nim tylko pył" – tłumaczą. Co ich prowadzi w tej wędrówce? Oczywiście słowo. To, którego poszukują. ©℗

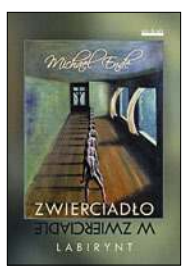

★★★★★☆
MICHAEL ENDE „ZWIERCIADŁO W ZWIERCIADLE. LABIRYNT"
WYDAWNICTWO VIS-À-VIS ETIUDA 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Inaczej o naturze nazizmu. Nie tylko rasizm, lecz także modernizacja, przecież w III Rzeszy istniały wręcz kult postępu i obsesja budowy nowego świata. Byłażby to „reakcyjna nowoczesność"? Jeśli tak, to jak patrzeć na dzisiejsze Niemcy?

GRZEGORZ KUCHARCZYK „III RZESZA NIEMIECKA. NOWOCZESNOŚĆ I NIENAWIŚĆ"
BIAŁY KRUK

Podtytuł wyjaśnia: „Nieznane historie bohaterskich kobiet walczących na Ukrainie". Od werbistek do dominikanek, od służebniczek dębickich do benedyktynek misjonarek. Codzienny heroizm służebnic Pańskich.

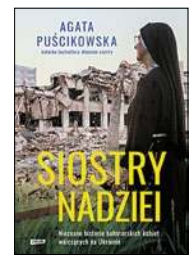

AGATA PUŚCIKOWSKA „SIOSTRY NADZIEI"
ZNAK

O roli przypadku powstawania planet, inteligentnego życia, nas samych. Najnowsza książka amerykańskiego biologa – nie mylić z fizykiem Seanem M. Carrollem, fizykiem i filozofem, którego prace wcześniej przełożono na polski.

SEAN B. CARROLL „SERIA FORTUNNYCH ZDARZEŃ"
ZYSK I S-KA

Każde imperium ma swój początek; oto czasy, gdy królowa Elżbieta budowała przyszłą potęgę Anglii. Mamy po polsku biografię monarchini, jest i biografia Francisa Drake'a – teraz dostajemy opowieść o ich wzajemnych relacjach.

recenzuje Piotr Gociek

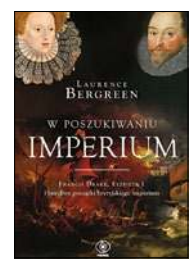

LAURENCE BERGREEN „W POSZUKIWANIU IMPERIUM"
REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „PARSZYWY DRAŃ"

Régis Loisel to jedna z największych gwiazd komiksu francuskiego. Z powodzeniem rysuje do cudzych scenariuszy (cykl „W poszukiwaniu ptaka czasu") i tworzy serie w pełni autorskie („Piotruś Pan"). W „Parszywym draniu" ogranicza się do roli scenarzysty, ale rysunki Oliviera Ponta są bardzo „loiselowskie". W amazońskiej dżungli naiwny młody Francus szuka prawdy o swoim zaginionym przed laty ojcu. Trafia do jądra ciemności, którym rządzą bandyci, handlarze kobietami i mordercy. ©℗

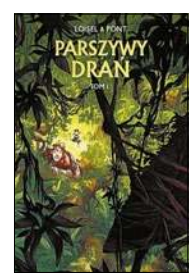

REGIS LOISEL, OLIVIER PONT „PARSZYWY DRAŃ"
LOST IN TIME 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 23f0335273

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Składamy dzięki

Ze wszystkich uroczystości dorocznych obchodzonych na polskiej wsi dożynki są jedną z najbardziej powszechnych. Także dziś. Nie ma chyba w Polsce wiejskiego powiatu – a może i wiejskiej gminy – gdzie nie organizowałoby się święta plonów.

Twórcy wystawy „Dożynki. Sprawa społeczna" skupiają się na ukazaniu współczesnego charakteru tego święta, pokazują jednak również zmiany w obrzędach i obyczajach dożynkowych, które dokonywały się przez lata. Kto choć raz był na dożynkach, musiał docenić piękno koron, wieńców, bukietów, kotylionów, ozdób i oczywiście dożynkowych chlebów, kto nie był – będzie miał okazję nadrobić to na wystawie. Oprócz dożynkowych atrybutów są też m.in. zdjęcia, w tym fotografa amatora Augustyna Czyżowicza, dokumentującego życie dolnośląskiej wsi w latach 50.–80. XX w., oraz materiały filmowe. Jest i odwołanie do – jak piszą autorzy – „popularnego obecnie nurtu mrocznej antropologii, polskiego feudalizmu i pańszczyzny – skomplikowanego i często pomijanego fragmentu historii ludowej". ©℗

FOT. WOJCIECH ROGOWICZ

GDZIE? *Muzeum Etnograficzne (oddział Muzeum Narodowego) we Wrocławiu*
KIEDY? *do 13 listopada*

FOT. MPPP W GNIEŹNIE

PIAST W LESIE

We wczesnym średniowieczu las stanowił dominujący element krajobrazu, był bazą produkcyjną dla ówczesnej gospodarki i źródłem pożywienia. Karmił nie tylko ciała, lecz także wyobraźnię – dostarczał inspiracji do wierzeń, wpływał na kulturę tamtego okresu. Czym był las dla ludzi w średniowieczu, jak las opisywali dawni kronikarze, jak mogły wyglądać lasy w Wielkopolsce we wczesnym średniowieczu, czy do dziś przetrwały słowiańskie puszcze? Między innymi na te pytania odpowiedzieć próbują autorzy wystawy „Piast surwiwal. Człowiek i las 1000 lat temu". ©℗

GDZIE? *Muzeum Początków Państwa Polskiego w Gnieźnie*
KIEDY? *do 18 czerwca 2023 r.*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Dobry kumpel z fenderem

Uczestniczył w nagraniu ponad 150 płyt. Debiutował na wielkiej scenie w zespole Laboratorium przed 46 laty. Współpracował z najwybitniejszymi rodzimymi jazzmanami (Stańko, Namysłowski, Karolak), nagrywał z rockmanami (Ciechowski, Wilki, Bartosiewicz, Porter) i gwiazdami estrady (Rodowicz, Grechuta, Bem). No i wydał ponad 10 albumów pod własnym nazwiskiem.

Krzysztof Ścierański będzie w przyszłym tygodniu gospodarzem pierwszego dnia festiwalu Jazz Jamboree. Wystąpi jako solista, lider tria i kwartetu, a także zagra z zespołami Laboratorium, String Connection i The Colors.

Najnowszą płytę basisty najlepiej opisuje sam jej tytuł. Jako dziecko muzyczne lat 70. Ścierański czuje się najlepiej w klimatach muzyki fusion. Jego bas jak zwykle mieni się kolorami, ale tym razem muzyk dodatkowo wręcz szaleje na gitarze elektrycznej, wymiatając solówki godne Jeffa Becka. Aby później uspakajać nastrój metheny'owskimi pasażami. Całość barwi latynoskimi i afrykańskimi rytmami oraz łka na bluesowo. Nie jest to płyta odkrywcza, bo takową być nie miała. To album skierowany do dobrych znajomych, którzy przy fenderze mistrza niejedne mają wspomnienia. ©℗

★★★★☆
KRZYSZTOF ŚCIERAŃSKI TRIO
„JAZZ, ROCK I ŚWIĘTY SPOKÓJ"
KOLEKTYW

★★★★☆
KEITH JARRETT
„BORDEAUX CONCERT"
ECM

Trzeci album dokumentujący ostatnią europejską trasę pianisty z 2016 r. Dwa lata później Jarrett doznał udaru, który uniemożliwił mu dalsze występy. Trzynaście improwizacji skierowanych do wytrawnych fanów jego płyt na fortepian solo.

★★★★☆
CATZ 'N DOGZ
„PUNKT"
CATZ 'N DOGZ

Nasi eksportowi DJ-e – Grzegorz Demiańczuk i Wojciech Tarańczuk – czarują w świecie house'owej piosenki. Do studia zaprosili cenionych wokalistów i raperów, m.in.: Krzysztofa Zalewskiego, Kayah, Baascha, Paulinę Przybysz, Łonę czy Szczyla. Różnorodnie i melancholijnie. ©℗

eprasa.pl 23f0335273

Krzysztof Masłoń

Tosia z serialu „To nie ze mną" grana przez Adę Szczepaniak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ninja w Kosmosie

Nowego na szklanym ekranie tyle, co kot napłakał, tym bardziej więc odnotować wypada, że oto Stopklatka, podobno lider na filmowo-serialowej mapie telewizyjnej Polski (to nie żart), niezapominająca o takich tasiemcowych perłach jak „Plebania", wystartowała z produkcją własnego chowu nazwaną, chyba nie najfortunniej – „To nie ze mną". Odnośnie do jej treści początki należałoby opatrzyć etykietą równie oryginalną: „Pierwsze koty za płoty". Kolejne koty wylądują pewnie w tym samym miejscu, ale trudno serial przekreślać już na starcie, biorąc pod uwagę poziom „Barw szczęścia", „Pierwszej miłości" czy „Na Wspólnej". „To nie ze mną" z pewnością im dorównuje, a jak ktoś się uprze, to niech dowodzi, że je nawet przewyższa. Ja się nie podejmuję.

W wymienionych tutaj serialowych podporach TVP, Polsatu i TVN dzieje się bowiem aż za wiele. Ale w sumie zachowują równowagę. Gdy Dominika znika z kliniki, to wiadomo, że Igor nie zniknie, bo jest w śpiączce. Kajtka mama zatrzymywać będzie, bo znów chce lecieć do Singapuru, a wiadomo, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, natomiast Maszę w doskonały nastrój wprawi perspektywa przenosin do innego więzienia. Generalnie wszystko zmierza ku lepszemu, a nawet gdy Szulc ledwie po pochwaleniu się żonie, że zostaną milionerami, zorientuje się, że zgubił kupon, może się pocieszać, bo – jak wiadomo – pieniądze szczęścia nie dają.

Poza serialami telewidzowie emocjonują się ponoć wszelkimi rywalizacjami, nie tylko – jak można by sądzić – wokalnymi (mamy właśnie 13. edycję „The Voice of Poland") i tanecznymi, lecz także takim np. wspinaniem się w ściśle limitowanym czasie po dwudziestoparometrowej linie na górę Midoriyamę, jak nazwano w importowanym przez Polsat programie czynność mającą przynieść ewentualnemu zdobywcy tego szczytu szczytów 150 tys. zł i tytuł Wojownika Ninja. Jak dotąd nie udało się to nikomu, a prawdopodobieństwo osiągnięcia sukcesu jest tu niewiele większe niż wygranie w prowadzonym w TVP 2 przez Łukasza Nowickiego teleturnieju „Postaw na milion" czegoś więcej poza zestawem gier planszowych. Chociaż zawsze można rozciągnąć limit czasu albo skrócić linę. Ba, zgryźliwcy podpowiadają nawet, że ostatecznie zawsze pozostaje rzucenie się na linę. Z tych samych emocji, rzecz jasna.

Polsat podpowiada też, na razie paniom, jak się odmłodzić w 10 dni o 10 lat, a to za sprawą porad stomatologicznych i dermatologicznych. Facetom na ogół sugeruje się w takich wypadkach zastosowanie jedynej sprawdzonej diety MŻ (mniej żreć) i odstawienie ulubionych napitków. Oglądalność programu promującego te zasady byłaby jednak znikoma. Co innego propagowanie sportu, w związku z czym Eurosport od dłuższego już czasu lansuje snookera. Sportu mamy zresztą na telewizyjnych antenach coraz więcej i bardzo dobrze, bo nie umykają nam np. tak sensacyjne pojedynki futbolowe, jak dajmy na to Znicza Pruszków kontra rezerwy Lecha Poznań. Nasza druga liga piłkarska naprawdę nie jest gorsza od pierwszej, a nawet… No nie, chyba się zagalopowałem. Chyba. W każdym razie kibicowski światek z pewnością uradowała transmisja z losowania eliminacji mistrzostw Europy w tejże piłce (s)kopanej, gdyż w przeciwieństwie do meczów reprezentacji narodowej powiodło się nam w nim wyjątkowo.

O tym, co czeka nas w Katarze, zmilczę, bo wszyscy łudzimy się, że będzie inaczej niż na ostatnich mundialach i odmieni się sławna triada czekających kadrę w rozgrywkach grupowych: meczu otwarcia, meczu o wszystko i meczu o honor, choć czarni pesymiści przestrzegają przed innym scenariuszem: łomot, większy łomot, jeszcze większy łomot. Wtedy już nic innego nam nie pozostanie jak wypatrywać tego, co stanie się w Armenii, gdzie kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia odbędzie się impreza będąca oczkiem w głowie poprzedniego prezesa Telewizji Polskiej, czyli konkurs Eurowizja Junior 2022. Trzymać mamy kciuki za 11-letnią (!) Laurę Bączkiewicz z Konina rodem, która w Erywaniu odśpiewa piosenkę „Lot na Księżyc". Za moich dziecięcych lat Filipinki i Karin Stanek zamęczały słuchaczy „Walą twistem". Coś się więc zmieniło, ale nie bardzo. ©℗

eprasa.pl 23f0335273

FOT. ADOBE STOCK

Nieznośny ciężar suwerenności

Jan Fiedorczuk

Strach przed Rosją paraliżuje polską opinię publiczną, której to znaczna część szuka ratunku w idei europejskiej federacji. Jeżeli jednak dla obietnicy bezpieczeństwa zrezygnujemy z suwerennego państwa, to skończymy, nie mając ani jednego, ani drugiego

De facto cała lewicowo-liberalna strona sceny politycznej uznała jednogłośnie, że wojna na Ukrainie jedynie potwierdza tezy dotyczące konieczności pogłębionej integracji europejskiej. Nie tak dawno Donald Tusk podczas spotkania na Uniwersytecie Rzeszowskim przekonywał, że Unia powinna stać się wspólnotą polityczną, która „na gruncie podzielanych wartości jest w stanie zbudować wspólną politykę zagraniczną". Janusz Lewandowski z PO na łamach „Polityki" pisał natomiast, że Europa musi w obliczu wojny „wziąć większą odpowiedzialność za bezpieczeństwo naszego kontynentu" poprzez „realny wymiar obronny", a jeszcze dalej poszedł Paweł Kowal, którego zdaniem UE powinna dysponować „niezależnymi siłami" będącymi w dyspozycji Komisji Europejskiej.

Takie wypowiedzi, których w ostatnich tygodniach było multum, wpisują się doskonale w od dawna podnoszony przez „unijczyków" pomysł stworzenia „europejskiej suwerenności", czyli po prostu powołania państwa europejskiego, które byłoby suwerenne tyle względem podmiotów zewnętrznych (USA, Rosja, Chiny), ile podmiotów wewnętrznych – państw narodowych konstytuujących obecną Unię.

Jednym z wymiarów „suwerenności europejskiej" ma być przełamanie zasady jednomyślności, gdyż dopóki ona obowiązuje, dopóty – jak zauważył Guy Verhofstadt na słynnym Campusie Rafała Trzaskowskiego – Unia „nie istnieje", ponieważ zamiast jednego scentralizowanego podmiotu mamy do czynienia z „patchworkiem 27 państw członkowskich". Postulat pozbawienia państw narodowych wpływu na politykę UE podłapuje coraz więcej polskich polityków. – Trudne negocjacje wokół sankcji na Rosję pokazują, że czas na zlikwidowanie zasady jednomyślności – przekonywała niedawno Róża Thun z Polski 2050. Takie wypowiedzi dowodzą, że temat Rosji – tak jak wcześniej pandemii – jest po prostu rozgrywany do budowy europejskiej federacji.

Chęć „rozpuszczenia" Polski w Unii Europejskiej przejawiają głównie liberałowie i przedstawiciele lewicy, jednak sam pomysł rezygnacji z suwerenności pojawia się niestety również po drugiej stronie debaty publicznej. W poprzednich numerach „Do Rzeczy" kilkukrotnie recenzowałem pomysły, które zaczęły krążyć wśród części prawicy, która przestraszona Putinem zaczęła domagać się powołania państwa polsko-ukraińskiego. Właściwie obie grupy – prawica i lewica – sparaliżowane straszakiem Rosji podnoszą postulat rezygnacji z suwerenności, a jedynie wektory żądań

eprasa.pl 23f0335273

są wymierzone w przeciwnym kierunku (jedni orientują się na Brukselę, drudzy na Kijów). Polacy szukają kogoś, na kim mogliby się oprzeć i przekazać przynajmniej część odpowiedzialności za swój los.

Jest to szersza tendencja, która już wykracza poza sam strach przed Putinem i wiąże się z kompleksami społeczeństwa postkolonialnego. Bodaj najmocniej wyraził tę tendencję były RPO Adam Bodnar, który całkiem otwarcie stwierdził, że w celu przywrócenia „praworządności" w Polsce opozycja po przejęciu władzy powinna uzależnić państwo od zagranicznych podmiotów. – Powinniśmy się związać umowami strategicznymi z różnymi organizacjami międzynarodowymi, które będą nam doradzały, jak reformować i naprawiać choćby wymiar sprawiedliwości, będą nas stabilizowały i ustawiały na kursie – tłumaczył w rozmowie z „Gazetą Wyborczą". Mówiąc wprost: Polskę należy sprowadzić do statusu upadłego państwa, którym zarządzać ma nie jakiś tam lud w wyborach, tylko „starsi i mądrzejsi" z Europy.

UŁUDA BEZPIECZEŃSTWA

Możemy zrezygnować z suwerenności, przenieść polityczną decyzyjność na wymiar unijny etc., ale to nie rozwiązuje naszych problemów z Rosją. Wprost przeciwnie.

Po pierwsze (co jest dość oczywiste, ale euroentuzjaści zbywają ten fakt milczeniem), sojuszem gwarantującym Polsce militarne bezpieczeństwo pozostaje NATO, a nie Unia. Europa nie dysponuje własnymi siłami zbrojnymi z prawdziwego zdarzenia. Nawet ich ewentualne powołanie nie rozwiązywałoby naszych problemów, gdyż nie byłby to sojusz analogiczny do NATO – umowy wolnych państw połączonych kwestią obronności – tylko kolejne narzędzie do budowy europejskiego mocarstwa.

Sercem nowej, zintegrowanej Europy w naturalny sposób stałby się tandem Paryż-Berlin, czego wszak nie kryją przywódcy obu państw. Polsce w tej sytuacji przypadłaby rola peryferii, które po (planowanej już) likwidacji zasady jednomyślności stałyby się zależne od tegoż duetu. Już teraz państwa zaliczane do grupy „junior partnerów" są dyskryminowane na unijnej arenie, na co przykładów nie brakuje. I nie musimy tu sięgać po wielką politykę – batalie dotyczące praworządności etc. Bardzo wymowny jest choćby przykład braku równowagi w obsadzie wysokich stanowisk. Polskie Radio informowało niedawno, że wskaźnik referencyjny, zgodnie z regulaminem pracowniczym Komisji dotyczącym tej kwestii, powinien wynosić w przypadku Polski 8,2 proc., podczas gdy obecnie sięga zaledwie 3,4 proc., co jednocześnie wiąże się z nadreprezentacją na kierowniczych stanowiskach Francuzów, Niemców czy Holendrów. To wszak jeden z wielu przykładów wskazujących, w którym kierunku podąży Europa po likwidacji suwerennych państw.

Wracając do wojny rosyjsko-ukraińskiej, przenosimy własną percepcję sytuacji na całą Europę, tymczasem pozostałe państwa mają zupełnie odmienne priorytety w polityce międzynarodowej, co doskonale oddaje stanowisko Budapesztu czy Berlina. To wspomniany duet francusko-niemiecki decydowałby, czy, kiedy i w jakim celu użyć europejskich sił militarnych. Co więcej, gdyby faktycznie doszło do konfliktu Unii z Rosją, to pas peryferii zostałby potraktowany przez unijnych decydentów jako pole konfliktu oraz ewentualna karta przetargowa w negocjacjach z Moskwą. Wszak decyzyjna byłaby nie Warszawa, tylko Bruksela. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby ujrzeć scenariusz, w którym serce unijnego imperium decyduje się na oddanie w rosyjską strefę wpływów kilku wschodnich województw w zamian za nowe strategiczne partnerstwo.

ZWIĄZYWANIE RĄK

Jednym ze sposobów na uzależnienie Polski od zagranicy, który powraca w ostatnich miesiącach, jest rezygnacja z waluty narodowej. Strach przed Rosją spowodował, że ten postulat podchwycił również dotychczasowy krytyk tego rozwiązania – prof. Robert Gwiazdowski. „Zawsze byłem przeciwnikiem przystępowania do euro. Ale wojna to nadzwyczajna zmiana okoliczności. Skoro europarlament przyjął wniosek Ukrainy o przyjęcie do UE, to my złóżmy wniosek o przyjęcie do strefy euro" – przekonywał prawnik.

Jednak przyjęcie euro w rzeczywistości nie zwiększa polskiego bezpieczeństwa. Pomysł, że Rosja nie zdecyduje się zaatakować Polski właśnie ze względu na walutę, jest przykładem myślenia życzeniowego. Wszak jeżeli ostatnie pół roku nas czegokolwiek uczy, to właśnie tego, że Władimir Putin wyłamuje się z dominującego na Zachodzie liberalnego paradygmatu, w którym główną rolę gra kwestia gospodarczej opłacalności. Putin konsekwentnie realizuje swój imperialny plan, nie bacząc na koszty, w związku z czym dla Berlina i Brukseli jego działanie jest zupełnie irracjonalne. Dokładnie ten sam brak zrozumienia przejawiają osoby, których zdaniem zmiana waluty będzie wystarczającym argumentem odstraszającym czołgi rosyjskiej armii.

Mówimy w tym momencie wyłącznie o kwestii bezpieczeństwa militarnego, jednak zupełnie inną sprawą jest uzależnienie gospodarcze, na które skaże się Polska, akceptując pozycję peryferii w zintegrowanej Europie. Ostatnie miesiące dowiodły, że Berlinowi zależy nie tyle na pokonaniu Rosji, ile na jak najszybszym zakończeniu wojny. Strategiczne partnerstwo Berlin-Moskwa było skrupulatnie przemyślaną strategią obliczoną na przetransformowanie niemieckiej gospodarki, a w dalszej perspektywie – zdominowania gospodarczego całej Europy. Obecnie Niemcom nie zależy bardziej na niczym niż na powrocie do tych relacji.

Dlatego też Olaf Scholz w ostatnich miesiącach tak aktywnie forsuje wizję pogłębionej integracji. W artykule opublikowanym na łamach „Gazety Wyborczej" kanclerz podkreślał, że nadszedł „koniec z egoistycznym blokowaniem europejskich decyzji przez pojedyncze państwa członkowskie". Scholz przekonuje, że wojna na Ukrainie stworzyła „nową rzeczywistość", co daje szanse na budowę nowej, jeszcze bardziej europejskiej Unii. Sama „europejska suwerenność", o której rozprawiają brukselskie elity, jest jednak wyłącznie frazesem – w rzeczywistości powołanie unijnego imperium nie będzie oznaczać zniesienia suwerenności państw narodowych na rzecz nowej suwerennej Europy, tylko zniesienie suwerenności niektórych państw na rzecz wzmocnienia europejskiego centrum – Paryża i Berlina.

Jeszcze nie było w historii świata takiego przypadku, gdy ktoś związując sobie ręce, jednocześnie zwiększał swe bezpieczeństwo. Właśnie takiego związania rąk państwu polskiemu chce znacząca część opozycji oraz wspierających ją mediów. Suwerenność stała się dla nich nieznośnym ciężarem, który trzeba przekazać „starszym i mądrzejszym" z Zachodu. Podążanie w tym kierunku sprawi jednak, że skończymy jak w – nomen omen – rosyjskim powiedzeniu o rublu i cnocie – bez własnego suwerennego państwa, a zarazem całkowicie bezbronni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

FOT. ADOBE STOCK

Neokonserwatyści

Wojciech Golonka

Frakcja w Waszyngtonie, na którą stawia PiS, to osobliwe zjawisko, nadające polityce międzynarodowej tempa i temperatury

W 2004 r., czyli rok po dokonanej przez USA i ich koalicjantów inwazji na Irak, na corocznej gali American Enterprise Institute wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Dick Cheney ogłosił początek jednobiegunowej ery amerykańskiej hegemonii, a zatem globalnej dominacji USA nad światem. Inwazja na Irak zdawała się udowadniać, że Ameryka może z dnia na dzień obalić każdy autorytarny reżim na świecie i zaprowadzić w jego miejsce zachodni model rządów demokratycznych, ma się rozumieć – pod patronatem USA.

Ideały neokonserwatyzmu, które od czasu administracji Ronalda Reagana drążyły politykę zagraniczną USA, święciły właśnie

eprasa.pl 23f0335273

swój triumf, choć paradoksalnie w tym samym czasie w szeregach ich wyznawców zaczynała szerzyć się niewiara.

Przysłuchujący się przemówieniu Dicka Cheneya Francis Fukuyama, ten sam, który 20 lat wcześniej w upadku Związku Sowieckiego dopatrywał się ostatecznego zwycięstwa liberalnej demokracji i obwieścił wówczas swój słynny „kres historii", dojrzewał do zerwania z utopią neokonserwatyzmu. Z perspektywy czasu zawiedziony prorok miał nawet gorzko porównać swe byłe „neokońskie" credo do rewolucji bolszewickiej: „Neokonserwatyści wierzyli, że można przyspieszyć historię za pomocą prawego stosowania władzy i za pomocą woli. Leninizm był tragedią w swym bolszewickim wydaniu, a stał się farsą, gdy zaczął być stosowany przez Stany Zjednoczone. Neokonserwatyzm, zarówno jako polityczny symbol, jak i korpus myśli, ewoluował w coś, czego nie mogę już więcej popierać".

Farsa dla swych byłych adeptów, krwawa rozgrywka dla innych, summa summarum chaos zaprowadzony przez USA na Bliskim Wschodzie, z neokonserwatystami w roli spiritus movens, rzeczywiście spowodował zwątpienie wyznawców i falę apostazji w tym ruchu politycznym, który miał w sobie coś z wyznawanej religii. Zacznijmy jednak od początku.

ROZCZAROWANI LIBERAŁOWIE?

W drugiej połowie lat 60. XX w. grupa liberałów związana z lewicowym skrzydłem Partii Demokratycznej dokonała „konwersji" na prawicowe poglądy. W młodości byli oni nawet komunistami, tyle że w opozycji do stronnictwa stalinowskiego byli trockistami z krwi i kości; byli także nierzadko Żydami, o czym za chwilę. Co sprawiło zatem, że z komunistycznych rewolucjonistów stali się konserwatystami, którzy zasilili szeregi republikanów i stopniowo narzucili partii własny ton? Powszechnie literatura opisuje, że byli to liberałowie, których liberalizm ostatecznie pozbawił złudzeń tudzież, jak wskazał jeden z liderów pierwszej generacji tego ruchu Irving Kristol, neokonserwatysta to „liberał dopadnięty przez rzeczywistość".

Jako główne powody tego zwrotu, oprócz kwestii wewnętrznej polityki socjalnej, wskazywano przede wszystkim, na płaszczyźnie międzynarodowej, na potrzebę dalszej walki z komunizmem sowieckiej

Neokonserwatyści po zamachach z 11 września 2001 r. doszli do poziomu bezpośredniego kreowania polityki zagranicznej Stanów

Rosji po tym, jak prezydent Johnson z Partii Demokratycznej podjął rokowania pokojowe z Wietnamem Północnym. Z kolei na płaszczyźnie społecznej był to przejaw reakcji na rewolucję kulturową i obyczajową końca lat 60. XX w. – stąd samo miano neokonserwatystów.

Naprawdę trudno było wychwycić wyraźniejsze charakterystyki tej nowej frakcji amerykańskiej prawicy dopóty, dopóki nie zaczęła narzucać głównego tonu w Partii Republikańskiej. Neokonserwatyści zdominowali zaplecze administracyjne za prezydentury Ronalda Reagana i George'a Busha seniora, a pod rządami George'a Busha juniora, po zamachach z 11 września 2001 r., w praktyce doszli do poziomu bezpośredniego kreowania polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Z liberałów (którzy summa summarum odrzucili polot pacyfizmu Partii Demokratycznej i ekscesy rewolucji obyczajowej), stając się niespodziewanymi sprzymierzeńcami republikanów w okresie zimnej wojny, zaczynali odgrywać pierwsze skrzypce w amerykańskiej polityce zagranicznej. Jonathan Clarke, krytyk neokonserwatyzmu, sformułował charakterystykę ruchu, wraz z jego „tendencją do binarnego postrzegania świata w kategoriach dobro/zło", „niską tolerancją dla działań dyplomatycznych", „gotowością do wykorzystywania siły zbrojnej", „naciskiem na jednostronne działania USA", „pogardą dla wielostronnych organizacji" i „fiksacją na punkcie Bliskiego Wschodu". Ten ostatni element, dziś może już nie tak aktualny, ale widoczny przez skutki po ponad dekadzie wojen w tamtym rejonie świata, sprawił także, że neokonserwatyści zaczęli być postrzegani jako lobby na usługach Izraela.

Były neokonserwatysta, brytyjsko-amerykański dziennikarz Andrew Sullivan, żarliwy zwolennik wojny irackiej i ówczesny krytyk stronnictwa pokoju jako amerykańskiej piątej kolumny, dokonał po kilku latach zwrotu o 180 stopni, deklarując: „Strasznie się myliłem. W szoku i traumie po zamachach z 11 września zapomniałem znane mi zasady sceptycyzmu i powątpiewania wobec schematów utopijnego myślenia". Otóż Sullivan, zadeklarowany syjonista, w tym samym czasie w mocnych słowach krytykował podporządkowanie polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych interesom Izraela: „Izrael wykorzystuje pieniądze, emocje i perswazję, aby wypaczyć politykę zagraniczną tego kraju na rzecz innego kraju, bez żadnej proporcji względem tego, co Izrael może zrobić w zamian dla USA".

WĄTEK IZRAELSKI

W rzeczywistości wątek izraelski nie był obojętny już przy samym początku neokonserwatyzmu. Czy rzeczywiście chodziło wówczas o „liberałów dopadniętych przez rzeczywistość"? Być może, ale ta dopadająca ich rzeczywistość polegała przede wszystkim na tym, że między amerykańską lewicą, czytaj: ówczesnymi demokratami, a syjonizmem nastąpił wyraźny rozłam.

W swej pracy poświęconej paleokonserwatyzmowi, czyli amerykańskiej tradycyjnej prawicy, Michał Krupa dokonuje wielu porównań z neokonserwatyzmem, wspominając także o specyficznej genezie tego ruchu: „Można zauważyć, że przekształcenie sporej grupy amerykańskich Żydów z otwartych lewicowców i liberałów w neokonserwatystów wynikało w dużej mierze z tego, jak ujmuje to Sniegoski, że »w latach 60. liberałowie i lewica zaczęli utożsamiać się z zagadnieniami, które mogły zaszkodzić zbiorowemu interesowi żydostwa«. Szczególnie istotna była wrogość do Izraela pośród amerykańskich lewicowców, która przekonała wielu żydowskich intelektualistów, dotychczas zwolenników Partii Demokratycznej, do zmiany politycznego frontu. […] Przejście jednak na prawicę nie było czymś oczywistym dla tej grupy myślicieli i publicystów. Jak pisze James Nuechterlein: »Większość czołowych neokonserwatystów była Żydami, a Żydom było niezwykle trudno myśleć o sobie jako konserwatystach, a co dopiero republikanach. W amerykańskim kontekście bycie Żydem, a tym bardziej żydowskim intelektualistą, oznaczało bycie człowiekiem lewicy«".

W tym małżeństwie z rozsądku z amerykańską prawicą musiało, siłą rzeczy, dochodzić do tarć, ale i sami republikanie liczyli w tym związku na wyraźnie obliczone korzyści. Nowi sojusznicy

eprasa.pl 23f0335273

mieli wnieść do partii więcej powagi i wpływów, jakże potrzebnych w tamtym okresie dominacji demokratów. Wpływy były, owszem, gwarantowane – za neokonserwatystami stał American Jewish Committee, wydawca miesięcznika „Commentary", którego redaktor naczelny Norman Podhoretz (od 1960 do 1995 r.!) należał do pokolenia pionierów, którzy z amerykańskiej lewicy przeszli na pozycje neokonserwatywne. I rzeczywiście, po zadyszce (którą złapała wraz z kryzysem gospodarczym roku 1929, bo wybuchł za jej rządów) w 1969 r. Partia Republikańska wróciła na dobre do Białego Domu, aż na dwie dekady, do końca prezydentury George'a Busha seniora w 1993 r., z krótkim interludium prezydentury demokraty Jimmy'ego Cartera w latach 1977–1981.

Drugą stroną medalu tego „małżeństwa z rozsądku" był natomiast coraz większy wpływ neokonserwatystów w polityce międzynarodowej, nie tylko na rzecz samego Izraela, lecz także w zasadzie na rzecz permanentnej „krucjaty na rzecz demokracji", by użyć słów George'a Busha juniora. Demokracji, ma się rozumieć, prozachodniej… i liberalnej, zatem – niekoniecznie konserwatywnej.

Albowiem z „konserwatyzmu" pierwszego pokolenia neokonserwatystów lat 60. XX w., zdaje się jak najbardziej szczerego, dziś już niewiele pozostało, a samo pojęcie uległo dewaluacji, podobnie zresztą jak w innych krajach. Dla przykładu: jeden z wiodących neokonserwatystów pierwszej dekady XXI w., Paul Wolfowitz, zastępca sekretarza obrony Stanów Zjednoczonych w czasie wojny irackiej w 2003 r., później prezes Banku Światowego (z którego odszedł w atmosferze skandalu), członek także kierownictwa grupy Bilderberg, był w 2013 r. jednym z ponad 130 republikańskich sygnatariuszy opinii prawnej amicus curiae złożonej do Sądu Najwyższego celem stwierdzenia istnienia konstytucyjnego prawa do małżeństw gejowskich w USA – a Sąd Najwyższy przyznał im rację, czyniąc małżeństwa gejowskie prawem federalnym. Ten sam Wolfowitz w wyborach prezydenckich w 2016 r. otwarcie poparł kandydaturę liberalnej demokratki Hillary Clinton przeciwko Donaldowi Trumpowi. Oprócz dewaluacji wartości konserwatywnych jego ruch uwydatnił także inne, coraz bardziej widoczne od początku kadencji Baracka Obamy zjawisko, a mianowicie: neokonserwatyści przestali być stricte związani z obozem republikanów.

Pod tym względem kolejnym ciekawym przykładem jest postać Victorii Nuland, prywatnie małżonki Roberta Kagana, prominentnego „neokona" (choć on sam woli siebie określać mianem „liberalnego interwencjonisty", co potwierdza wspomniany już odpływ od konserwatywnych wartości), założyciela think tanku o jakże wymownej nazwie popadającej wręcz w mesjanizm: „Projekt na rzecz Nowego Amerykańskiego Stulecia" (PNAC). Otóż Nuland, onegdaj specjalistka w departamencie stanu USA od spraw rosyjskich, za czasów wojny irackiej była głównym i bardzo wpływowym doradcą wiceprezydenta Dicka Cheneya w domenie polityki zagranicznej – czyli właśnie w okresie, kiedy ogłosił on na gali American Enterprise Institute początek jednobiegunowej ery amerykańskiej hegemonii, doprowadzając Fukuyamę do rozpaczy. Nuland została następnie mianowana przez George'a Busha ambasadorem USA przy NATO (2005–2008), by w administracji Baracka Obamy, czyli już za rządów demokratów, odnaleźć się najpierw jako rzecznik departamentu stanu, a potem jako kierownik w tymże departamencie sekcji spraw europejskich i euroazjatyckich, którym sterowała w czasie Majdanu, aneksji Krymu oraz separatystycznej wojny w Donbasie.

Wraz z antytrumpową reakcją nie tylko wśród demokratów, lecz także wewnątrz Partii Republikańskiej zatarło się pojęcie neokonserwatyzmu

Prezydentura Donalda Trumpa spowodowała jednak długie cztery lata urlopu w jej oficjalnym życiorysie. Trump był bodajże najbardziej proizraelskim prezydentem w historii USA, co onegdaj było, jak widzieliśmy, głównym imperatywem neokonserwatyzmu. Mówił, że „Izrael nie miał nigdy lepszego przyjaciela w Białym Domu niż ja", w czym wtórował mu zresztą premier Netanjahu; i rzeczywiście, Donald Trump uznał nawet Jerozolimę za stolicę państwa Izrael i nakazał przenieść do niej ambasadę Stanów Zjednoczonych. Ale nie był on interwencjonistą, nie był apostołem krzewienia demokracji (globalizmu?) na świecie za pomocą amerykańskich sił zbrojnych, wobec zdefiniowanej przez George'a Busha „osi zła" ograniczał się do swej biznesowo pojmowanej dyplomacji gróźb i odstraszania, a w ostateczności – do likwidacji decydentów, jak w przypadku zamachu na Ghasema Solejmaniego w 2020 r. Z pewnością nie był on z obozu „neokonów" drugiej dekady XXI w., choć wpływy tego obozu nie były bynajmniej obce w jego administracji, począwszy od jego sekretarza stanu, byłego dyrektora CIA, Mike'a Pompeo.

Przy czym, wraz z antytrumpową reakcją, nie tylko wśród demokratów, lecz także wewnątrz samej Partii Republikańskiej zatarło się ostatecznie samo pojęcie neokonserwatyzmu na rzecz zwolenników właśnie szerzenia dawnymi metodami neokonserwatystów globalnej hegemonii Stanów Zjednoczonych na świecie. W pewnym sensie te dawne metody odziedziczone przez to nowe pokolenie „neokonów" miały dość solidne spoiwo mogące łączyć ponad podziałami republikanów i demokratów. Cytowany przez Michała Krupę Paul Gottfried mawiał o „neokonach", że wprawdzie opuścili obóz trockizmu, ale nie opuściła ich właściwa rewolucjonistom lewicowa furia.

Paul Craig Roberts zauważał z kolei, że „neokoni" są w rzeczywistości jakobinami. Można by przy tym zadać pytanie, co jest motorem podobnego nastawienia, czy li tylko pewien idealizm demokratyczny, na który dał się nabrać wspomniany Sullivan, wiara w mesjańską rolę Stanów Zjednoczonych czy może jeszcze głębsze, a nierzadko spotykane u rewolucjonistów pokłady motywacji, jak nawet inicjacja gnostyczna.

Niezależnie od tego pasjonującego dla historyków idei wątku trzeba przyznać, że frakcja w Waszyngtonie, na którą najbardziej stawiają od lat polskie elity polityczne, nie tylko Prawo i Sprawiedliwość – trwaliśmy przecież u boku Ameryki demokratyzującej Irak i Afganistan kijem i marchewką, dla niej otworzyliśmy w Starych Kiejkutach tajne więzienie demokratycznej reedukacji CIA – to osobliwe zjawisko, nadające polityce międzynarodowej tempa i temperatury. Osobliwe, tym bardziej że adeptów frakcji, jak widać po pionierach ruchu, a także byłych „neokonach", raz po raz „dopada rzeczywistość" w ich próbach przyspieszenia historii do jej ostatecznego kresu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 23f0335273

Kościół i masoneria, czyli wszyscy są braćmi

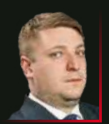

Paweł Chmielewski

Masoneria jest w powszechnym odbiorze wrogiem Kościoła. Słusznie: zasadza się na radykalnej opozycji wobec katolicyzmu; wolnomularze nigdy nie kryli pragnienia maksymalnego osłabienia papiestwa. Problem w tym, że dzisiaj Stolica Apostolska proponuje masonom... dialog i współpracę. Co takiego się stało, że dawni przeciwnicy stali się nagle pożądanymi partnerami?

FOT. ANDREAS SOLARO/AFP/EAST NEWS

27 września we włoskim mieście Terni, które leży ok. 100 km na północ od Rzymu, Wielki Wschód Italii z wielką pompą celebrował otwarcie nowego wejścia do swojej siedziby przy Via Roma. W masońskiej uroczystości wziął miejsce biskup miejsca, Francesco Soddu. Hierarcha osobiście przytrzymywał trójbarwną wstęgę, którą przeciął Wielki Mistrz Stefano Bisi. Następnie, już w siedzibie loży, a konkretnie w jednej ze znajdujących się tam „świątyń" (sic!), wygłosił krótkie przemówienie, zwracając uwagę na „wartość dialogu" oraz wskazując na dostrzeganą przez siebie konieczność „przezwyciężania wzajemnych uprzedzeń". Wreszcie bp Soddu wysłuchał długiej mowy Wielkiego Mistrza, który fetował m.in. rocznicę przełamania murów bramy Porta Pia 20 września 1870 r., co położyło kres Państwu Kościelnemu. Jak wskazywał Bisi, tamtego dnia Włochy zostały „wyzwolone" od władzy papieży.

Biskup Francesco Soddu nie jest anonimowym hierarchą. Przez wiele lat kierował jako dyrektor narodową Caritas Italiana. W 2022 r. otrzymał święcenia biskupie m.in. od sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu. Jak wyjaśniły później służby prasowe diecezji, bp Soddu pojawił się przy Via Roma w ramach synodalności propagowanej przez papieża Franciszka. Udział biskupa w masońskiej uroczystości wywołał duże poruszenie w konserwatywnych mediach. To zrozumiałe, ale tak naprawdę nie mamy do czynienia z niczym nowym. Stosunek Watykanu do wolnomularstwa jest w ostatnich latach diametralnie inny niż w przeszłości. Franciszek idzie w ślady papieża Pawła VI, który po Soborze Watykańskim II podjął decyzję o nawiązaniu z masonerią bliskich stosunków. Po kolei jednak.

OD WROGOŚCI DO OTWARTOŚCI

Kościół katolicki potępił masonerię po raz pierwszy w 1738 r. Wówczas to papież Klemens XII ogłosił bullę „In eminentni apostolatus specula", w której zabronił wierzącym przystępować do wolnomularstwa. Tę linię utrzymali jego następcy, od pierwszego z nich, Benedykta XIV, przez wszystkich kolejnych papieży XVIII i XIX oraz większość papieży wieku XX. Współczesny katolik przypomni sobie najpewniej o encyklice „Humanum genus" papieża Leona XIII z 1884 r., w której przedstawił on cele wolnomularstwa: uderzenie w Kościół, realizowane przede wszystkim poprzez dezawuowanie katolickiej doktryny, oraz likwidację wpływów Kościoła na sprawy państwowe. W Kodeksie prawa kanonicznego z 1917 r., wydanym za pontyfikatu Benedykta XV, obłożono przynależność do masonerii karą ekskomuniki. Ta jednoznacznie antymasońska linia Kościoła została odłożona na bok właśnie przez Pawła VI. W ogłoszonej

eprasa.pl 23f0335273

w 1964 r. encyklice „Ecclesiam suam" papa Montini wezwał Kościół katolicki do wejścia na drogę dialogu ze wszystkimi ludźmi dobrej woli, wierzącymi i niewierzącymi.

W praktyce okazało się, że papież widzi w tej grupie również masonów. W wielu krajach rozpoczęto oficjalne kontakty między masonerią a Kościołem. W Europie działo się tak szczególnie we Włoszech i w krajach niemieckojęzycznych. W 1974 r. kard. Franjo Šeper, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, wysłał list do przewodniczącego Episkopatu Austrii, kard. Franza Königa, w którym wskazywał na konieczność nadania nowej interpretacji sankcji ekskomuniki zawartej w Kodeksie prawa kanonicznego. Miałaby ona dotyczyć nie tyle wszystkich masonów, ile jedynie tych, którzy „spiskują przeciwko Kościołowi". W 1978 r. włoski magazyn masoński „Rivista Massonica" ogłosił papieża Pawła VI pierwszym w historii papieżem pozbawionym wrogości wobec wolnomularstwa.

W tym czasie masonów nie brakowało w samym Watykanie. Istnieją wiarygodne doniesienia na temat przynależności do lóż, dotyczące m.in. abp. Annibale Bugniniego i kard. Sebastiana Baggia. Pierwszy z nich był architektem posoborowej reformy liturgicznej, a drugi jako prefekt Kongregacji ds. Biskupów odpowiadał przez lata za nominacje biskupie na całym świecie. W pełni potwierdzony jest też udział masonów w watykańskiej bankowości, zarówno za pontyfikatu Pawła VI, jak i w początkach pontyfikatu Jana Pawła II, który odziedziczył ten problem po swoim poprzedniku. Członkowie ściśle powiązanej z mafią loży Propaganda Due odgrywali kluczową rolę w aferze Banco Ambrosiano, w którym główne udziały miał Instytut Dzieł Religijnych (Bank Watykański). Propaganda Due jest zresztą dzieckiem Wielkiego Wschodu Włoch – tego, w którego ceremoniach uczestniczył bp Soddu. Dzisiaj loża odcina się od swojej mafijnej córki.

W latach 1974–1980 w Niemczech działała specjalna instytucja kościelna ds. dialogu z masonerią. Efektem jej prac było ogłoszenie w 1980 r. przez niemieckich biskupów „Oświadczenia na temat członkostwa katolików w masonerii". Autorzy utrzymali w mocy twarde sankcje za formalną przynależność do wolnomularstwa, ale zaproponowali Kościołowi w swoim kraju wejście na drogę dialogu. Podkreślili, że konieczne jest „przekroczenie wrogości, obelg i uprzedzeń" oraz podjęcie współpracy w takich obszarach jak „wymiar wspólnotowy, filantropia, walka z materializmem, godność człowieka, wzajemne zrozumienie". Za punkt wyjścia obrali dialogiczne podejście zaprezentowane w dokumentach Soboru Watykańskiego II oraz encyklikę Pawła VI „Ecclesiam suam".

W efekcie pojawiło się wrażenie, jakoby Kościół katolicki fundamentalnie zmieniał swoje antymasońskie nastawienie. Ten obraz wzmocniła jeszcze publikacja nowego Kodeksu prawa kanonicznego z 1983 r., z którego usunięto słowa o masonerii i ekskomunice. Kongregacja Nauki Wiary, dopytywana, czy oznacza to zgodę na członkostwo katolików w masonerii, wyjaśniła jednak, że takiej zgody nie ma. Prefekt Kongregacji kard. Joseph Ratzinger ogłosił „Deklarację o stowarzyszeniach masońskich", w której stwierdził, że katolik, który został masonem, znajduje się w stanie grzechu ciężkiego i nie może przystępować do Komunii Świętej. Po filomasońskiej odwilży z czasów Pawła VI nastąpiło ochłodzenie we wzajemnych relacjach, które miało trwać przez całą długą erę pontyfikatów Jana Pawła II i Benedykta XVI. Wraz z objęciem Tronu Piotrowego przez Franciszka sprawy ponownie się odmieniły.

DOKTRYNA RAVASIEGO

Włoscy komentatorzy określają to nowe podejście mianem „doktryny Ravasiego". Kardynał Gianfranco Ravasi w latach 2007–2022 był przewodniczącym Papieskiej Rady ds. Kultury. W 2016 r. opublikował artykuł zatytułowany „Cari fratelli massoni" („Drodzy bracia masoni"). Purpurat przypomniał o długiej historii niezgody pomiędzy Kościołem a masonerią. Stwierdził jednak, że nie zamyka ona drogi „dialogowi, tak jak stwierdzono to wprost w dokumencie biskupów z Niemiec, którzy wymienili konkretne płaszczyzny współpracy". Dalej kardynał wymieniał kolejne elementy mające rzekomo łączyć Kościół i wolnomularzy. To m.in.: „wolność sumienia, rozumienie równych praw, teizm rozpoznający istnienie Boga". Kontakty z masonerią są dziś we Włoszech rozwijane zgodnie z „doktryną Ravasiego". W ostatnich latach hierarchowie w Italii wielokrotnie spotykali się z wolnomularzami. W jednym z wywiadów Wielki Mistrz Stefano Bisi wymieniał konkretne diecezje: Gubbio, Massa Marittima, Bolzano, Pinerolo, Syrakuzy, Arezzo, Rawenna, teraz Terni…

Z czego wynika postawa Pawła VI i Franciszka wobec masonerii? Abstrahując od intrygujących, ale nieudowadnialnych wyjaśnień dotyczących ich osobistego stosunku do lóż, wydaje się, że chodzi o zasadnicze linie watykańskiej „polityki". To nastawienie na radykalny dialog z każdym w celu budowy wspólnej przestrzeni współpracy – niezależnie od jego wiary w Chrystusa. W 2021 r. papież Franciszek wydał adresowaną do wszystkich ludzi „dobrej woli" encyklikę „Fratelli tutti", w dużym stopniu przypominającą „Ecclesiam suam" papy Montiniego. O ile poprzednik nazwał ją jednak kościelnie, Franciszek sięgnął po hasło, którym lubią posługiwać się również masoni: „Wszyscy braćmi". Sięgnął po nie również Wielki Mistrz Stefano Bisi, przemawiając w Terni. Całość zresztą jego wystąpienia niepokojąco przypominała codzienną narrację Watykanu. Mówił o ekologii i wychwalał Gretę Thunberg; wspominał walkę z COVID-19; ubolewał nad wykluczeniem ekonomicznym biednych; wzywał do globalnej współpracy w duchu braterstwa i równości. Odwołał się też – a jakże! – do Boga. W końcu, jak wskazał Bisi w wywiadzie dla jednego z katolickich dzienników, z perspektywy masonów tylko ateiści nie mogą być masonami – co innego księża i biskupi!

Zasadniczym celem masonerii było przez lata odsunięcie Kościoła katolickiego od jakiegokolwiek wpływu na sprawy publiczne. To zostało osiągnięte – zresztą z aprobatą Stolicy Apostolskiej, która bezpośrednio po Soborze Watykańskim II uznała dalsze istnienie państw katolickich za niecelowe. Cóż więc pozostało masonerii? Budować powszechne braterstwo w oparciu o zasadę relatywizmu religijnego. Jako żywo dokładnie to samo robi dziś Stolica Apostolska, promując deklaracje o Bogu chcącym istnienia różnych religii. W tym sensie krytyczne nastawienie Kościoła do masonerii nie ma już racji bytu, bo polityczne ideały są po prostu te same. „Czas krucjat się skończył" – powiedział we wspomnianym wywiadzie Stefano Bisi. Tak patrzy na to również Watykan. Nadszedł czas dialogu – i katolicko-masońskiej współpracy gwoli budowy nowego światowego porządku.

Oby nie potrwał zbyt długo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 23f0335273

Z Jackiem Papisem, reżyserem, dramaturgiem, scenarzystą, dziennikarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Na tropach Iny Benity

Ina Benita (1912–1984) – czołowa aktorka polskiego teatru i kina lat 30. ubiegłego stulecia. Nazywana ekranową seksbombą. Zagrała w komediach: „Jego ekscelencja subiekt", „Jaśnie pan subiekt", „Dwie Joasie", „Trójka hultajska", „Ja tu rządzę", „Sportowiec mimo woli", w popularnych melodramatach: „Przybłęda", „Serce matki", „Gehenna", „O czym się nie mówi". Najciekawsze kreacje stworzyła w dramatach społecznych: „Ludzie Wisły", „Doktor Murek" oraz „Czarne diamenty" FOT. NAC

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dwa życia wyznaczyła Inie Benicie historia?

JACEK PAPIS: Dokładnie tak. To pierwsze skończyło się w sierpniu 1944 r., gdy rzekomo była widziana w warszawskich kanałach. I podobno miała już z nich nie wyjść. Taka była legenda o Inie Benicie w czasach PRL i jeszcze długo później. Dopiero cztery lata temu okazało się, że zmarła w 1984 r., czyli 40 lat później, w USA. Odkrył to młody dziennikarz i pisarz Marek Teler, który poszedł za internetowym wpisem po angielsku, pod jednym z artykułów i dotarł do prawdy. Zrekonstruował tę niewiarygodną historię.

Jak się realizuje filmowy dokument, mając tyle niewiadomych i to podczas pandemii?

Jeśli chodzi o niewiadome, to mogę powiedzieć, że wspaniale! Zagadki, tajemnice to dla mnie wyzwania. Uwielbiam być filmowcem detektywem. To mój żywioł. Miałem zresztą wspaniałych przewodników, którzy tak jak ja zafascynowali się Iną i napisali o niej książki: Marcin Szczygielski, Piotr Gacek i wspomniany Teler. To wspaniali pisarze, z których każdy dołożył swoją cegiełkę do rozwikłania tej enigmy o Benicie. Udało mi się zrobić kolejny krok… Natomiast pandemia faktycznie utrudniła nam pracę i sprawiła, że realizacja filmu przeciągnęła się o dwa lata.

Ekipa dotarła do kolejnych przystanków na życiowym szlaku aktorki, odnalazła osoby ją pamiętające, o archiwaliach nie wspominając.

Przede wszystkim udało nam się definitywnie potwierdzić to, w co początkowo nikt nie chciał wierzyć, że wcale nie zginęła w powstaniu warszawskim. A podążanie jej śladami było po prostu wspaniałą, fascynującą przygodą.

Skąd wzięła się jej „czarna legenda kolaborantki"?

Podczas okupacji, jak wielu ówczesnych aktorów, grała w tzw. jawnych teatrach, czyli takich, na które zgodę wyrazili Niemcy. A wszyscy pamiętamy hasło: „Tylko świnie siedzą w kinie, a co bogatsze, to w teatrze". Po wojnie było to oceniane jednoznacznie i w moim pojęciu totalnie niesprawiedliwie. Przecież teatr, w którym grała, był w niemałej mierze przykrywką dla działalności konspiracyjnej i wywiadowczej. Benita brała w tym czynny udział.

eprasa.pl 23f0335273

Wykorzystywała swoją sławę i swój seksapil, żeby wyciągać od Niemców informacje, i przekazywała je dalej – polskiemu podziemiu.

Po wojnie wszystkich wrzucono jednak do jednego worka i nazwano „kolaborantami". W komunistycznej Polsce nie można się było przecież bronić argumentem, że działało się w konspiracji, w AK, prawda? Ponadto podczas wojny związała się z Niemcem. To już było nie do pomyślenia. Przecież po wojnie słowo „niemiec" pisało się małą literą. My dziś wiemy, że nie był to, jak plotkowano, gestapowiec, ale przeciwnie – działacz antyfaszystowski, który za swoją działalność został aresztowany i trafił do obozu koncentracyjnego. A Benita wylądowała na Pawiaku, gdzie wiosną 1944 r. urodziła dziecko. Z tego stołecznego więzienia wypuszczono ją dosłownie w przededniu powstania, razem z innymi więźniarkami matkami.

Konspiracja, Pawiak, powstanie warszawskie – dramatycznych epizodów w biografii miała pod dostatkiem...

Dlatego jest to tak wspaniały temat na film. Zresztą po prostu takie były wtedy ludzkie losy. Pięknie mówi o tym w moim filmie pan Stanisław Janicki, który prowadził przez dziesięciolecia program telewizyjny „W starym kinie" i zaraził miliony Polaków miłością do kinematografii II Rzeczypospolitej: w tamtych wojennych latach niejedno życie układało się w sposób wyjątkowy...

Kochliwość stanowiła główną cechę artystki?

Hm... Byłbym bardzo daleki od takich ocen. Sądzę, że raczej to w niej się wszyscy zakochiwali. Zresztą patrząc na nią na ekranie, trudno się temu dziwić. Była zjawiskowa, magnetyczna. Aparycji ekstraordynaryjnej. Myślę, że porównania z Marilyn Monroe wcale nie są w jej przypadku przesadzone...

Stworzyła wiele kreacji, lecz najlepiej wypadła chyba w roli matki...

Aktorką była wspaniałą. Bez dwóch zdań. A sądząc z tego, co mówią jej synowie, matką również. W byciu matką też pokazała nadzwyczajną klasę.

FOT. NAC

Z filmem pożegnała się w roku 1939, ze sceną kilka później. Nie tęskniła za aktorstwem?

Myślę, że nie da się nie tęsknić za aktorstwem i trzeba to sobie jakoś rekompensować. Pewnie dlatego podczas życia w Stanach malowała obrazy. Została „plastyczką amatorką".

Dlaczego nawet najbliższym nie ujawniła, że była gwiazdą?

To jest właśnie tajemnica. Nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi. W filmie pada na ten temat kilka hipotez. Nie będę ich tutaj zdradzał. Myślę, że każdy z telewidzów musi znaleźć własną odpowiedź na to pytanie.

Gdzie przebywała i czym zajmowała się w „drugim życiu"?

Strefa okupacyjna Niemiec, Lazurowe Wybrzeże z akcentem na Niceę, Algieria, Maroko, wreszcie Stany Zjednoczone... Brzmi niewiarygodnie, prawda? Egzotycznie. Może dlatego tak ciężko było niektórym uwierzyć w to jej drugie życie. Zajęła się domem, dziećmi, rodziną... zwykłą egzystencją. I pewnie w tym się realizowała. To jest zresztą bardzo znaczące, że wiele przedwojennych gwiazd polskiego kina wylądowało w Ameryce i próbując przetrwać, podejmowało najrozmaitsze prace, dalekie od aktorstwa. Na przykład Lena Żelichowska – również świetna aktorka i także gwiazda przedwojennego kina, żona malarza Stefana Norblina, który w 1939 r. zbudował specjalnie dla niej studio filmowe w Warszawie, żeby mogła sama robić filmy po wojnie, pracowała w Stanach jako... manikiurzystka. Smutne, prawda? Zresztą nie ona jedna. Jest o tym świetna książka Grzegorza Rogowskiego „Skazane na zapomnienie. Polskie aktorki filmowe na emigracji". Benity w niej akurat nie ma, bo wtedy ta historia nie była jeszcze znana. A co robiła? Po śmierci męża – już w Stanach Zjednoczonych – była przez jakiś czas szefową hotelowych pań od sprzątania.

Polski powojennej odwiedzić nie mogła czy też nie chciała?

Pewnie i jedno, i drugie.

Zastanawiał się pan, jak potoczyłyby się losy bohaterki filmu, gdyby nie doszło do wybuchu drugiej wojny światowej?

Byłaby wielką gwiazdą. Nie mam co do tego wątpliwości. We wrześniu 1939 r. miała jechać na pierwszy festiwal filmowy w Cannes, który się nie odbył. Grała główną rolę w filmie „Czarne diamenty", jednym z najciekawszych obrazów naszego przedwojennego kina – miał być prezentowany w konkursie. Myślę, że gdyby tam dotarła, zrobiłaby światową karierę.

Mam wrażenie, że pański dokument może stanowić preludium do opowieści fabularnej...

Cieszę się, że pan tak sądzi, bo ja również. Myślę, że Benita na taką fabułę zdecydowanie zasługuje. © ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jacek Papis – reżyser, dramaturg, scenarzysta, dziennikarz. Absolwent wydziału reżyserii PWST w Krakowie oraz fakultetu wiedzy o teatrze warszawskiej PWST w Warszawie. Autor licznych filmów dokumentalnych dotyczących najnowszej historii Polski, m.in. „Niezwykłe dwudziestolecie. Historia gospodarcza II RP", „Polmission. Tajemnice paszportów", „Hollywood nad Wisłą, czyli gwiazdy przedwojennego kina w Polsce", „Gwiazdy przedwojennego kina albo film dźwiękowy w II RP" oraz najnowszego – „Ina Benita. Dwa życia", wyróżnionego w Gdyni podczas ostatniego festiwalu Niepokorni Niezłomni Wyklęci.

Premiera filmu „Ina Benita. Dwa życia" w środę 19 października o godz. 22.30 w telewizyjnej Jedynce. Powtórki 20 października o godz. 20.55 i 21 października o godz. 12.45 w TVP Dokument.

eprasa.pl 23f0335273

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Państwo czekistowskie

Historia Związku Sowieckiego to historia permanentnej rywalizacji między dwoma ośrodkami władzy. Partią i służbami. Formalnie rzecz biorąc, tajna policja miała być zbrojnym ramieniem partii. Miała zwalczać jej wrogów i czuwać nad tym, aby rządziła wiecznie.

Znaczenie i wpływy bezpieki szybko jednak stały się kolosalne. W momencie apogeum wielkiego terroru w 1937 r. Józef Stalin podobno obawiał się, że NKWD przyjdzie również po niego. I w ten sposób podzieli los Kamieniewa, Zinowjewa, Radka, Bucharina i innych przywódców partyjnych, którzy skończyli na Łubiance katowani przez oficerów bezpieki.

Z rywalizacji służby – partia długo obronną ręką wychodziła ta ostatnia. Kolejni szefowie bezpieki byli likwidowani. Los ten spotkał m.in. Jagodę, Jeżowa i Berię. Role odwróciły się w 1991 r. Partia upadła, a władzę w Rosji przejęły tajne służby. Zwieńczeniem tego procesu było osadzenie w fotelu prezydenta Władimira Putina, oficera FSB.

Tę zaciekłą wewnętrzną wojnę opisali w książce „Od Dzierżyńskiego do Putina" Jurij Felsztyński i Władimir Popow. Według autorów współczesna Rosja to unikatowy w dziejach świata fenomen – „państwo mafijno-czekistowskie". Kraj działający jak organizacja przestępcza.

Tajne służby rosyjskie – według Felsztyńskiego i Popowa – są jak koronawirus, który najpierw opanował Rosję, a teraz rozprzestrzenia się na kolejne tereny. Autorzy uważają bowiem, że gdyby Ukraina szybko przegrała wojnę z Rosją, Putin sięgnąłby po państwa bałtyckie. A w kolejnej fazie po Polskę i inne byłe kraje Układu Warszawskiego.

Czy tak by się stało w rzeczywistości? Zapewne nigdy się tego nie dowiemy. Nie zapowiada się bowiem na to, żeby Ukraina miała się załamać i w całości znaleźć pod rosyjską kontrolą.

Niemniej autorzy uważają, że Putin, atakując w lutym 2022 r. Ukrainę, rozpętał trzecią wojnę światową. „Naszą jedyną szansą na zatrzymanie tej wojny w jej początkowej fazie i uniknięcie katastrofy termojądrowej – czytamy w książce – jest spotkanie się z najeźdźcą już na Ukrainie".

Autorzy są przekonani, że Putin nie dożyje roku 2036, w którym – zgodnie ze zmianą wprowadzoną w konstytucji – miałaby upłynąć jego ostatnia kadencja. Zobaczymy. ©℗

★★★★★★

JURIJ FELSZTYŃSKI, WŁADIMIR POPOW
„OD DZIERŻYŃSKIEGO DO PUTINA"
REBIS

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Bitwa pod Koronowem

Ostatnim akordem bitwy pod Grunwaldem było zdobycie krzyżackiego obozu. Zaraz potem Jagiełło polecił rozbić wszystkie znalezione tam beczki z winem, które zakonnicy przygotowali na ucztę zwycięstwa. Monarcha nie tolerował alkoholu, był zupełnym abstynentem, obawiał się zresztą, że pod wpływem trunków dojdzie do samosądów na wziętych do niewoli.

Bitwa wzbudziła prawdziwy zachwyt Jana Długosza

W tym czasie w Malborku zapanowała kompletna panika podsycana relacjami uciekinierów spod Grunwaldu. Jednak gdy przybył komtur Świecia, Henryk von Plauen, rozpoczęto przygotowania do obrony. Krzyżacki dostojnik nie był jednak dobrej myśli, pod Grunwaldem stracono armię, zginęli niemal wszyscy zakonni przywódcy. Dlatego chciał za wszelką cenę uniknąć oblężenia, które zakończyć się musiało zdobyciem zamku przez Polaków i Litwinów. Z tego powodu, gdy Jagiełło wreszcie nadciągnął, zaproponował oddanie Polsce Pomorza w zamian za pokój. Wiedział też, że do króla przysyłały posłów kolejne miasta, uznając jego władzę, i nie widział możliwości ochrony stanu posiadania zakonu.

Rada królewska odrzuciła jednak ofertę krzyżacką, żądając bezwarunkowej kapitulacji, i von Plauen, nie mając wyboru, bronił Malborka. Nie miał z tym większych problemów, oblężenie prowadzono bowiem wyjątkowo nieudolnie, a Jagiełło sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zależało mu na zdobyciu zamku.

Król był jednak przede wszystkim Litwinem i chciał utrzymać unię z Polską na partnerskich zasadach. A w przypadku całkowitego zniszczenia zakonu to Polska zyskiwałaby przewagę i zdominowałaby Litwę.

Nie zmienia to faktu, że trzy tygodnie po zakończeniu oblężenia, 10 października 1410 r., doszło do bitwy pod Koronowem. Naprzeciwko 4 tys. wojsk krzyżackich zwerbowanych w zachodniej Europie stanęły o połowę słabsze siły polskie i odniosły zwycięstwo. Bitwa wzbudziła prawdziwy zachwyt Jana Długosza, który stwierdził, że wprawdzie „wygrana pod Koronowem była mniejsza niż pod Grunwaldem, ale wszelako ze względu na niebezpieczeństwo, wytrwałość i zapał walczących można ją wyżej kłaść nad grunwaldzką".

Bitwę bowiem rozegrano według rycerskich reguł. Przed starciem doszło do wielu pojedynków, a samo starcie dwa razy przerywano, aby walczący mogli pokrzepić się winem. Wreszcie Polacy zdobyli chorągiew wroga, co zapoczątkowało klęskę Krzyżaków. Chyba Jan Długosz wstydził się trochę triumfu pod Grunwaldem, który uważał za osiągnięty podstępem… ©℗

eprasa.pl 23f0335273

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNERZY GŁÓWNI: KGHM POLSKA MIEDŹ, PZU

PARTNERZY: PKO Fundacja, STRABAG TEAMS WORK., PGE, Lasy Państwowe

WSPÓŁORGANIZATOR: INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ IM. WACŁAWA FELCZAKA

eprasa.pl 23f0335273

Ukrainę zniszczyć, Zachód wystraszyć

Maciej Pieczyński

Putin jest skazany na radykalnych imperialistów. Bombardując ukraińską infrastrukturę, na jakiś czas zyskał sobie ich aprobatę

Moskwa wciąż nie potrafi adekwatnie odpowiedzieć na ukraińską kontrofensywę. Co prawda w rękach Rosjan wciąż jest znaczna część obwodu chersońskiego wraz ze stolicą oraz strategicznie kluczowy korytarz lądowy łączący Krym z Donbasem, a atak na most Kerczeński nie doprowadził do całkowitego i definitywnego odcięcia półwyspu od Rosji. Był on jednak potężnym ciosem wizerunkowym. Spóźnionym, ale spektakularnym „prezentem" urodzinowym dla rosyjskiego prezydenta. Uderzeniem nie tylko w infrastrukturę, lecz także w prestiż samego Putina, który przecież osobiście otwierał most i traktował tę inwestycję jako kluczową pod względem logistycznym, a także jako symbol „powrotu Krymu do macierzy".

Wreszcie był to atak na terytorium uważane przez Kreml za część Rosji. Czyli potencjalny pretekst do użycia nawet taktycznej broni jądrowej. Ale takiego pretekstu mogło również dostarczyć wyzwolenie jakiejkolwiek miejscowości w obwodach chersońskim, zaporoskim, donieckim lub ługańskim. Wszystkie te regiony zostały przecież po przeprowadzeniu pseudoreferendów oficjalnie

eprasa.pl 23f0335273

Odpowiedzią na zniszczenie mostu Kerczeńskiego były zmasowane ataki rakietowe (zdjęcie z Kijowa). Rosjanie w jeden dzień ostrzałów (10 października) stracili jedną trzecią rocznej produkcji precyzyjnych pocisków rakietowych FOT. GLEB GARANICH/REUTERS/FORUM

włączone do Rosji. Taka była odpowiedź na utratę obwodu charkowskiego. Nie mogąc utrzymać jednego regionu, Putin ogłosił aneksję czterech innych, których i tak nie kontroluje. Ukraińcy zaś przekraczają kolejne „czerwone linie" wyznaczone przez gospodarza Kremla. Nie reagują na groźby.

AWANS ZBRODNIARZA

Odpowiedzią na zniszczenie mostu Kerczeńskiego były zmasowane ataki rakietowe, przeprowadzone na terenie całego właściwie kraju. Ich skala była największa od 24 lutego. Rosjanie skutecznie uderzyli w infrastrukturę energetyczną. Spowodowali przerwy w dostawach prądu. Ukraińskie władze zaapelowały o oszczędzanie energii. Kijów wstrzymał eksport prądu do Polski, Węgier, Rumunii i Mołdawii. Pociski spadły również na centra miast, zabijając i raniąc cywilów. Putin wprost oznajmił, że ataki były zemstą za „akty terroru na terenie Federacji Rosyjskiej". Jak zwykle odpowiedzialnością za eskalację obarczył przeciwnika. Kremlowska propaganda coraz częściej i chętniej nazywa Ukraińców już nie tyle „nazistami", ile „terrorystami". „Specjalna operacja wojskowa" okazała się niewypałem – to jasne. Narracja o wyzwalaniu braci Ukraińców spod buta brunatnej junty brzmi coraz mniej wiarygodnie. Co innego przekaz o walce z „państwem terrorystycznym", które atakuje Rosję na jej własnym terenie. Nie tylko niszczy rosyjską infrastrukturę. Poza tym przecież „zabija naszych filozofów" – jak z patosem stwierdził Putin, odwołując się do zamachu na Aleksandra Dugina, w którym zginęła jego córka. Według amerykańskich mediów za zamachem stali jednak Ukraińcy. Taka wersja wydarzeń może posłużyć rosyjskiej propagandzie do uderzenia w wiarygodność Kijowa, który w oczach światowej opinii publicznej zyskuje głównie dzięki wizerunkowi rycerza bez skazy.

A z państwem terrorystycznym można walczyć jego metodami. Również dlatego na czele wojsk rosyjskich operujących na Ukrainie stanął gen. Siergiej Surowikin. Dwukrotnie siedział w więzieniu. Pierwszy raz – za udział w puczu Janajewa, którego celem było ocalenie Związku Sowieckiego przed rozpadem i odebranie władzy liberalizującym „gołębiom" przez „jastrzębi". Drugi raz – za handel bronią. W 2004 r. w jego gabinecie zastrzelił się jego podwładny, tuż po tym, jak między nimi doszło do kłótni. Inny podkomendny Surowikina oskarżył go o pobicie z powodu różnicy zdań na tematy polityczne. Przede wszystkim jednak nowy dowódca sił na Ukrainie znany jest z terrorystycznych metod działania. Jego konto obciążają zbrodnie na cywilach w Czeczenii i Syrii. W tym ostatnim konflikcie odpowiadał m.in. za bombardowanie szpitali. Surowikin to po prostu zbrodniarz wojenny, który nie ma skrupułów w stosunku do ludności cywilnej. Z perspektywy Putina to idealny dowódca na obecnym etapie konfliktu.

Jeśli zakładana oficjalnie „denazyfikacja" oraz „demilitaryzacja" Ukrainy miały w praktyce oznaczać jej terytorialny podbój, to w tym sensie Rosja wojnę na ten moment przegrywa. Nie jest w stanie utrzymać nawet tych terenów, które oficjalnie już zaanektowała. Nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa na Krymie. Mobilizacja na razie idzie jak po grudzie. Na ten moment nie daje wymiernych efektów na froncie. Wciąż jest możliwe aktywne przystąpienie Białorusi do wojny. Łukaszenka, coraz bardziej naciskany przez Putina, zgodził się na sformowanie wspólnego rosyjsko-białoruskiego zgrupowania sił zbrojnych. Nie wiadomo jednak, czy zostanie ono użyte do ponownej próby szturmu na Kijów czy też będzie jedynie narzędziem wiążącym uwagę Ukraińców na północy kraju i odciążającym w ten sposób południowo-wschodnie odcinki frontu. A nawet jeśli Rosjanie – być może ramię w ramię z białoruskimi sojusznikami – znów uderzą od północy, to nie wiadomo, z jakim skutkiem.

A skoro na chwilę obecną Putin nie jest w stanie Ukrainy podbić, to najwyraźniej postanowił ją zniszczyć. Rękami doświadczonego, profesjonalnego pacyfikatora, którym jest gen. Surowikin. Zdaniem wielu zachodnich komentatorów ataki na infrastrukturę oraz ludność cywilną to oznaka słabości Moskwy. W programie publicystycznym „60 minut" rosyjscy propagandyści kpili z tego typu opinii. Przypominali bombardowanie Bagdadu. „Czy to oznaczało słabość Amerykanów?!" – pytała retorycznie prowadząca Olga Skabiejewa. Tyle że wtedy ostatecznie Amerykanie dość szybko podbili Irak (inną sprawą było jego utrzymanie).

Rosjanom dziś zostaje głównie bombardowanie. Jest ono nie tyle oznaką słabości, ile pokazem siły, ale bardzo ograniczonej. Rosja, nie mogąc wygrać z armią, walczy przeciwko cywilom. Zaatakowane cele nie miały większego znaczenia militarnego. Bardziej polityczny i psychologiczny. Rosja może natomiast znacząco utrudnić życie Ukraińcom. Prokremlowski politolog Siergiej Michiejew przedstawił bardzo symptomatyczną argumentację na rzecz konieczności zniszczenia infrastruktury. Stwierdził mianowicie, że Ukraińcy „zdradzili" swoją rosyjską tożsamość jedynie z niskich, konsumpcjonistycznych pobudek. Chcieli po prostu żyć w materialnym dobrobycie, jak na Zachodzie. Dlatego trzeba im ten dobrobyt wybić z głowy.

To jednak myślenie życzeniowe, dobrze obrazujące stan świadomości rosyjskich

eprasa.pl 23f0335273

elit imperialnych. Trudno im przyjąć do wiadomości, że Ukraińców do oporu przed Moskwą popychają nie tylko zachodnie pieniądze, lecz także szczera chęć niezależności. Trudno będzie złamać ich ostrzałem rakietowym – to tylko wzmacnia ich determinację i nienawiść do wroga. Ewentualnie ostrzały mogą osłabić morale w tym sensie, że Ukraińcy przestaną wierzyć, iż ich państwo może im zapewnić bezpieczeństwo, chociażby w kwestii obrony przeciwlotniczej. Taka może być kalkulacja Kremla, tyle że i tak z pewnością nienawiść do Rosjan powinna być silniejszą emocją niż pretensje do własnych władz. Nadzieja dla Putina tkwi w czymś innym. Dostrzegł to inny propagandysta – były agent KGB i były izraelski dyplomata Jakow Kedmi. Wyraził nadzieję, że w końcu władze w Kijowie podpiszą jakieś porozumienie z Moskwą. To zaś oznaczałoby ich rychły upadek, ponieważ sami Ukraińcy nie zaakceptują żadnych ustępstw. Podobnie, wskazuje Kedmi, realizacja porozumień mińskich w przeszłości doprowadziłaby do obalenia rządu.

Rosjanie mogą więc mieć nadzieję, że złamią nie tyle ducha Ukraińców, ile ich przywódców. Nawet jeśli Zełenski z powodu permanentnego niszczenia infrastruktury nie będzie chciał usiąść do rozmów, to może go do tego zmusić Zachód. W obawie przed dalszą eskalacją, również jądrową. A wtedy Ukraina pogrąży się w chaosie i wirze wzajemnych oskarżeń. Rosja zaś zyska czas na przegrupowanie i wzmocnienie sił, dokończenie mobilizacji. I na pewno uderzy znów, gdy tylko warunki będą sprzyjające. Zamrożenie konfliktu tylko na pewien czas pozwoli uniknąć dalszych ofiar.

OSTATNI ATUT PUTINA

Dlatego dziś najmocniejszą bronią Putina są same groźby. Pokazał gotowość zniszczenia Ukrainy. Niejednokrotnie wymachiwał też atomową szabelką. Nikt nie wie, czy jej użyje. Nawet jeśli tak, to najprawdopodobniej przeciwko Ukrainie. Wobec NATO, Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej może stosować pojedyncze akty dywersji. Tak, aby postraszyć, ale nie tak, aby z otwartą przyłbicą uderzyć i narazić się na odwet. Nie wiadomo, czy liczne w ostatnim czasie awarie infrastruktury energetycznej były przypadkowe. Jednak użycie taktycznej broni jądrowej przeciwko jednemu z państw NATO na tym etapie trudno sobie wyobrazić. Zapewne wykonanie takiego rozkazu zostałoby udaremnione – nie każdy „jastrząb" z dworu Putina chciałby razem z nim iść na dno. Słynne słowa Putina o tym, że lepiej zniszczyć świat głowicami jądrowymi niż pozwolić na upadek Rosji, to przede wszystkim straszak, choć ryzyko istnieje, o czym głośno mówią Amerykanie.

Łukaszenka, coraz bardziej naciskany przez Putina, zgodził się na sformowanie wspólnego rosyjsko-białoruskiego zgrupowania sił zbrojnych. Nie wiadomo jednak, czy zostanie ono użyte do ponownej próby szturmu na Kijów czy też będzie jedynie narzędziem wiążącym uwagę Ukraińców na północy kraju

Zniszczenie Ukrainy w ten sposób jest o wiele bardziej prawdopodobne. Ukraińcy jednak na to niebezpieczeństwo się przygotowują i pod wpływem samej groźby nie ustąpią. Gdyby Zachód uległ szantażowi Putina, mogłoby to stworzyć niebezpieczny precedens. Za jego przykładem poszłyby kolejne mocarstwa atomowe. Być może więc należałoby zastosować wobec Putina jego własną broń – strach. I twardo zapewnić, że doktryna wzajemnego zniszczenia wciąż obowiązuje.

Bo na razie to Putin próbuje Zachód wystraszyć, nie odwrotnie. Sprawić, aby ów Zachód, ze strachu przed armagedonem, zmusił Ukraińców do rozmów. Czyli do kapitulacji. Albo przynajmniej odciął lub ograniczył dostawy broni, co równałoby się z klęską Kijowa. Realizując tę groźbę, Putin straciłby atut, którym jest sama w sobie groźba. W zasadzie to straciłby swój ostatni atut, ostatnią możliwość wywierania nacisku i wymuszania ustępstw. A co, jeśli Ukraińcy po ataku jądrowym dalej stawialiby opór? Jakich wtedy gróźb użyłby Putin?

„TERAPIA" TRWA

Z kolei konwencjonalny arsenał Putina nie jest z gumy. Rosjanie w jeden dzień ostrzałów stracili jedną trzecią rocznej produkcji precyzyjnych pocisków rakietowych. To pozwala zrozumieć, dlaczego, pomimo licznych niepowodzeń na froncie, dopiero teraz dokonali tak zmasowanego ataku. Być może zatem nie są w stanie nie tylko podbić, lecz także trwale zniszczyć Ukrainy. O ile, rzecz jasna, nie sięgną po broń jądrową. To z kolei wskazuje, że być może najważniejszymi celami Putina nie były ani zemsta za most, ani zrównanie z ziemią przeciwnika, ani nawet wymuszenie ustępstw. Być może adresatem rakietowej ofensywy byli sami Rosjanie. Dokładniej: kremlowska i prokremlowska partia wojny. Nie tylko „jastrzębie", lecz także spora część opinii publicznej, domagająca się zwycięstw na froncie.

Putin nie boi się prozachodnich demokratów, protestujących przeciwko wojnie, bo to w skali kraju nic nieznaczący plankton. Poza protestami przeciwko mobilizacji tych, którzy woleli front widzieć w telewizji niż na własne oczy, najpoważniej wybrzmiały głosy krytyki tych, którym władcy Kremla zarzucali nieskuteczność i słabość. Po 24 lutego Putin jest skazany na radykalnych imperialistów. Bombardując ukraińską infrastrukturę, na jakiś czas zyskał sobie ich aprobatę. „Nareszcie, szkoda, że tak późno. Tak powinna wyglądać walka z kijowskim reżimem!" – takie głosy przeważały w tym środowisku. Nie wiadomo, czy tak samo by brzmiały po użyciu broni jądrowej – to jednak o wiele bardziej ryzykowny krok niż konwencjonalne równanie z ziemią wroga. Pewne jest jedynie, że popierająca Putina większość oczekuje radykalnych, a co najważniejsze, skutecznych kroków.

Tak czy inaczej, parafrazując Putina, po co Rosji taka Ukraina, która nie chce być rosyjska? A skoro nie chce, to trzeba ją zniszczyć. Bardzo dobitnie, z rozbrajającą szczerością wyraził to w jednej ze swoich publicznych wypowiedzi Pawieł Gubariew. Rosyjski nacjonalista, który w 2014 r. brał udział w donbaskiej rebelii i od samego początku stał po stronie radykałów namawiających Putina, by nie przebierał w środkach. Gubariew stwierdził mianowicie, że Ukraińcy to tak naprawdę Rosjanie, których opętał diabeł. „Nie chcemy ich zabijać, chcemy ich przekonać. Ale jeśli wy nie chcecie, żebyśmy was przekonywali, to was zabijemy. Zabijemy, ile trzeba, nawet milion, nawet pięć milionów, nawet was wszystkich, aż zrozumiecie, że jesteście opętani i musicie się leczyć". „Terapia" trwa. Coraz bardziej inwazyjna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

FOT. ADOBE STOCK

SZWECJA LIDEREM STRZELANIN

Szwecja stała się krajem z największą liczbą strzelanin w Europie. Oczywiście to na pewno nie przez migrantów, którzy nie stwarzają żadnych kłopotów i dlatego nie podaje się do publicznej wiadomości danych o pochodzeniu etnicznym przestępców. Wiceszef krajowej policji Johan Olsson stwierdził, że mają do czynienia z „przemocą napędzaną statusem i prestiżem". Cokolwiek to znaczy.

MUSK WSPIERA I ZARABIA

Niedawno wyszło na jaw, że podarunek Elona Muska – zestawy do korzystania z satelitarnego Internetu – tak naprawdę nie pochodził od niego. Musk głównie na tym zarobił, a darczyńcami – którzy płacili i płacą za ten system – są przede wszystkim rząd USA, lecz także np. Polska, która wydała na ten system dla Ukraińców grube miliony. Okazało się też, że Musk odmówił Ukrainie umożliwienia korzystania z systemu Starlink na Krymie i sam prowadził negocjacje z Putinem dotyczące możliwości zakończenia wojny.

BERLIŃSKA WALKA O RUSKI CZOŁG

Prowadzący muzeum Berlin Story Bunker chcieli postawić przed rosyjską ambasadą w Berlinie zniszczony na Ukrainie wrak rosyjskiego czołgu. Władze dzielnicy Mitte odmówiły, bo „we wraku prawdopodobnie zginęli ludzie", a taka instalacja uderzałaby też w interesy polityki zagranicznej Niemiec. Pomysłodawcy musieli iść do sądu. Sąd uznał, że będzie to dopuszczalna swoboda wypowiedzi i instalację postawić można.

KANYE WEST KONTRA ŻYDZI

Jeden z najpopularniejszych amerykańskich raperów Kanye West (prywatnie mąż celebrytki Kim Kardashian) zamieścił na Twitterze kilka wpisów krytykujących Żydów. Napisał przy tym, że nie można uznać go za antysemitę, bo „czarni to tak naprawdę Żydzi". Nie trwało długo, by przekonał się, że nie ma racji. Jego konta na Twitterze i Instagramie zostały zablokowane na 24 godziny. Rozżalony West wrzucił potem zdjęcie z Markiem Zuckerbergiem, które podpisał: „Kiedyś byłeś moim czarnuchem".

WEZWALI POLICJĘ DO PIĘCIOLATKA

W Bawarii, w przedszkolu w Ansbach, opiekunka nie mogła poradzić sobie z pięcioletnim dzieckiem. Chłopiec stał się agresywny i rzucał w nauczycielkę przedmiotami. Przedszkolanka, widząc fiasko swoich starań, wezwała na miejsce rodziców dziecka i policję. Według doniesień mediów wizyta mundurowych odniosła skutek – na widok policji chłopiec miał się uspokoić. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Inflacja idzie na rekord

Tempo wzrostu cen na Węgrzech przekroczyło już poziom 20 proc. w skali roku. A dokładnie według danych Centralnego Urzędu Statystycznego inflacja nad Dunajem wyniosła aż 20,1 proc. i... nie było to dla nikogo specjalnym zaskoczeniem.

Również w Czechach inflacja przyspieszyła i wyniosła we wrześniu aż 18 proc. w skali roku. Tak szybkiego wzrostu cen konsumpcyjnych u naszych południowych sąsiadów nie notowano od roku 1993 i akurat takiego odczytu inflacji mało kto się w tym kraju spodziewał. Na Węgrzech najbardziej zdrożały gaz (135 proc. w skali roku) oraz chleb (o ponad 90 proc. w skali roku). W Czechach gaz zdrożał w ciągu roku o 86 proc., a prąd o niemal 38 proc. Nadal rosły też ceny produktów żywnościowych, choć akurat w Czechach w tym segmencie tempo wzrostu cen nieco spowolniło. Mocno, bo niemal o 25 proc., wzrosły też koszty utrzymania mieszkania.

Najnowsze dane z krajów regionu to zły prognostyk dla naszego kraju, ponieważ do tej pory zarówno na Węgrzech, jak i w Czechach tempo wzrostu cen było niższe niż w Polsce. Według najnowszych danych polskich statystyków inflacja we wrześniu wynosiła 17,2 proc. w skali roku i była najwyższa od lutego 1997 r. Inflacja w Polsce przekroczy poziom 20 proc. już zapewne w tym roku lub na początku roku przyszłego.

Niewiadomych jest mnóstwo. Pozostaje mieć nadzieję, że uspokoi się sytuacja na Ukrainie i zgodnie z projekcjami różnych banków centralnych inflacja osiągnie już szczyt i wkrótce wreszcie zacznie spadać. Niestety, z nowych prognoz MFW wynika, że w 2023 r. inflacja w Polsce będzie najwyższa w Europie, a do akceptowalnego poziomu wróci dopiero w roku 2025. ©℗

eprasa.pl 23f0335273

Zdrada Arabów

Witold Repetowicz

Wspólna decyzja arabskich producentów ropy oraz Rosji o zmniejszeniu produkcji o 2 mln baryłek dziennie jest uderzeniem w USA oraz personalnie w prezydenta Joe Bidena. Otwartym pytaniem jest jednak to, jaką cenę przyjdzie za to zapłacić Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonym Emiratom Arabskim. Demokratyczni kongresmeni chcą zerwania współpracy militarnej z tymi państwami

FOT. ADOBE STOCK

Stosunek polityków Partii Demokratycznej, w tym również Bidena, do grającej pierwsze skrzypce w naftowym kartelu OPEC Arabii Saudyjskiej, rządzonej przez Mohammada bin Salmana, od dawna jest bardzo krytyczny. Chodzi w szczególności o zbrodnie popełniane przez siły arabskiej koalicji pod przywództwem Saudów oraz Emiratów w Jemenie oraz bestialskie zabicie saudyjskiego dziennikarza Dżamala Chaszukdżiego, współpracującego z dziennikiem „Washington Post". To jednak tylko czubek góry lodowej. Już w czasie wyborów w 2016 r. gorącym tematem była rola niektórych saudyjskich instytucji w zamachu na WTC 11 września 2001 r. Nie bez znaczenia jest również spadek akceptacji amerykańskiej opinii publicznej dla współpracy z nieprzestrzegającymi praw człowieka reżimami, do których niewątpliwie zalicza się saudyjska monarchia. Według przeprowadzonego we wrześniu 2022 r. badania opinii publicznej aż 70 proc. Amerykanów było przeciwnych sprzedaży broni Arabii Saudyjskiej.

Saudyjski następca tronu dobrze dogadywał się z Donaldem Trumpem, który już na początku kadencji uzgodnił z nim gigantyczny kontrakt zbrojeniowy. Późniejsze odstąpienie przez Trumpa od porozumienia nuklearnego z Iranem, wyłączające irańskie węglowodory z rynku, również służyło sunnickim monarchiom, podobnie zresztą jak Rosji, z którą amerykańscy sojusznicy w Zatoce zaczęli wówczas zacieśniać współpracę w ramach formatu OPEC+. Administracja Trumpa bezkrytycznie wspierała też operację sunnickiej koalicji pod przywództwem Arabii Saudyjskiej i Emiratów przeciwko szyickim sojusznikom Iranu w Jemenie, tj. Hutim, którzy przejęli tam władzę. Od co najmniej 2019 r. w Kongresie narastał jednak sprzeciw wobec dalszego zaangażowania USA w wojnę w Jemenie, co przełożyło się na, skutecznie zawetowaną przez Trumpa, ustawę.

ROPA POWYŻEJ 100 DOL.?

Sytuacja diametralnie się zmieniła, gdy Biden został prezydentem, a demokraci uzyskali większość w obu izbach Kongresu. Sam Biden jeszcze w czasie kampanii wyborczej odgrażał się, że zmieni Arabię Saudyjską w państwo-pariasa. I być może tak by się stało, gdyby nie potrzeby światowego rynku energetycznego, wywołane agresją rosyjską na Ukrainę. Mohammed bin Salman nie szczędził wówczas amerykańskiemu przywódcy afrontów, a pod koniec 2021 r. pojawiła się informacja o planowanej współpracy saudyjsko-chińskiej w produkcji rakiet balistycznych. Biden, mimo krytyki ze strony własnej partii, postanowił jednak zjeść żabę i spotkać się z saudyjskim księciem. W połowie lipca odbył się szczyt w Dżuddzie, który jednak nie przyniósł jednoznacznych rezultatów. Wprawdzie USA doprowadziły do przyjęcia wielu ustaleń pogłębiających współpracę na różnych polach, ale w kwestii zwiększenia wydobycia Mohammad bin Salman zadeklarował jedynie wymijająco zwiększanie mocy produkcyjnych o 1 mln baryłek dziennie do 2027 r.

eprasa.pl 23f0335273

Latem sytuacja na rynku ropy nie była jednak dramatyczna, na co wpłynęły spowolnienie gospodarcze oraz obawy przed nawrotem pandemii. W chwili wybuchu wojny baryłka ropy WTI kosztowała 92 dol., po czym do 7 marca jej cena wystrzeliła na 123 dol., ale w chwili szczytu w Dżuddzie obniżyła się do 96 dol. i dalej spadała. Tydzień przed szczytem OPEC+ kosztowała 77 dol., ale do 7 października cena wzrosła ponownie do 93 dol., a analitycy przewidują, że do końca roku jej cena przekroczy 100 dol.

Przedstawiciele OPEC+ twierdzą, że powodem cięć była konieczność „stabilizacji cen" w związku z ich spadkiem, spowodowanym globalnym spowolnieniem gospodarczym. Zgadza się z tym część ekspertów, którzy wskazują na pojawienie się nadwyżki na rynku ropy, spowodowanej m.in. wzrostem produkcji w USA o 700 tys. baryłek dziennie i radykalnymi ograniczeniami covidowymi w Chinach. Tyle że wielu ekspertów przewiduje również, że tak znaczne cięcia produkcji wpłyną stymulująco na inflację, która i tak jest już wysoka. Nie ma też wątpliwości, że był to mocny cios wymierzony Bidenowi przez Mohammada bin Salmana oraz lidera ZEA Mohammada bin Zajeda. Biały Dom na razie zareagował wstrzemięźliwie, wyrażając „rozczarowanie krótkowzroczną decyzją", oraz nakazał Departamentowi Energii wprowadzenie na rynek 10 mln baryłek ze Strategicznych Rezerw Naftowych. Ponadto administracja Bidena zapowiedziała podjęcie, we współpracy z Kongresem, dodatkowych kroków zmierzających do ograniczenia wpływu OPEC na ceny energii, a także podkreśliła, że pokazuje to konieczność uniezależnienia się od paliw kopalnych z zagranicznych źródeł.

POLICZEK DLA AMERYKI

Decyzja OPEC+ ma jednak wymiar nie tylko ekonomiczny. Już sam fakt, że została podjęta w formacie współpracy między kartelem zrzeszającym m.in. kluczowych sojuszników USA na Bliskim Wschodzie a Rosją, jest policzkiem dla USA. Ponadto została ona podjęta niespełna trzy miesiące po szczycie w Dżuddzie, stawiając amerykańskiego prezydenta w kłopotliwej sytuacji. Co gorsza, nastąpiło to też niespełna miesiąc przed wyborami do Kongresu, przed którymi demokraci znajdują się w defensywie, choć wciąż mają szansę na utrzymanie większości w Senacie. Tymczasem wiele wskazuje na to, że Mohammad bin Salman może próbować ingerować w wybory w sposób, który jest również zgodny z interesem Rosji. Wskazywałyby na to związki między nim a Jaredem Kushnerem, zięciem Donalda Trumpa. Kontrolowany przez saudyjskiego następcę tronu Saudi Public Investment Fund zasilił w kwietniu br. niewielką firmę kapitałową, należącą do Kushnera, kwotą 2 mld dol., wbrew opinii organu doradczego wspomnianego saudyjskiego funduszu. Już wówczas spekulowano, że Mohammed bin Salman gra na zwycięstwo kandydatów popieranych przez Trumpa w wyborach w 2022 r. i powrót byłego prezydenta do władzy w 2024 r. Warto w tym kontekście dodać, że obóz Trumpa, z jego synem Donaldem jr. na czele, ostro krytykuje Bidena za jego zaangażowanie we wsparcie Ukrainy.

Znacznie ostrzej na decyzję OPEC zareagowali demokraci w Kongresie, uznając ją za wrogi akt, wymagający ostrej odpowiedzi. Już w lipcu, w ustawie budżetowej, zawarte zostały spore ograniczenia w możliwości sprzedaży Arabii Saudyjskiej broni o charakterze ofensywnym. W sierpniu, po szczycie w Dżuddzie, Biały Dom zatwierdził sprzedaż „defensywnych" pocisków balistycznych Patriot MIM-104E o wartości 3 mld dol. Arabii Saudyjskiej, a także pocisków THAAD, o wartości 2,2 mld dol., Zjednoczonym Emiratom Arabskim, tłumacząc to m.in. koniecznością poprawy bezpieczeństwa „partnerskiego państwa, będącego siłą politycznej stabilności i rozwoju ekonomicznego regionu Zatoki".

RADYKALNE ŚRODKI

Potrzeby zbrojeniowe Arabii Saudyjskiej i ZEA w dużej mierze związane są z zagrożeniem, które stanowią dla nich wspierani przez Iran jemeńscy Huti. Ugrupowanie to już kilkakrotnie atakowało obiekty na terenie obu tych państw, w tym międzynarodowe lotniska. Wprawdzie na początku 2022 r. doszło do zawieszenia broni, lecz wygasło ono na początku października, stwarzając groźbę nowej eskalacji. Zjednoczone Emiraty Arabskie są mniej zagrożone od Arabii Saudyjskiej, gdyż niedawno wznowiły stosunki dyplomatyczne z Iranem. Trudno jednak mówić o pełnej normalizacji. Ponadto wycofanie wszelkiego wsparcia militarnego USA dla Arabii Saudyjskiej i ZEA doprowadziłoby do gwałtownej zmiany równowagi sił na Bliskim Wschodzie. A tego właśnie domagają się niektórzy kongresmeni.

Demokratyczny kongresmen polskiego pochodzenia Tom Malinowski przedstawił już projekt ustawy nakazującej wycofanie wszelkiego amerykańskiego sprzętu wojskowego, w szczególności pocisków THAAD i Patriot, z Arabii Saudyjskiej i ZEA. W oświadczeniu podpisanym przez Malinowskiego oraz kilku innych kongresmenów stwierdzono, że „czas, by USA znów działała jak supermocarstwo w stosunku do naszych państw-klientów w Zatoce", i zasugerowano również wycofanie amerykańskich oddziałów i kontraktorów z „państw aktywnie działających przeciwko nam" oraz dodano, że „jeśli Arabia Saudyjska i ZEA chcą pomagać Putinowi, to powinny się zwracać do niego w sprawie swojej obrony". Nie jest to przy tym jedyna inicjatywa ukarania naftowego kartelu. Lider demokratycznej większości w Senacie Chuck Schumer wraz z republikańskim senatorem Chuckiem Grassleyem przedstawili projekt ustawy pozwalającej na pozywanie państw członkowskich OPEC za manipulowanie rynkiem.

Biały Dom prawdopodobnie nie sięgnie jednak po aż tak radykalne środki, zwłaszcza że przeciwnicy takich posunięć argumentują, że głównym tematem rozmów w Dżuddzie nie była ropa, lecz stabilność w regionie, w tym pogłębianie współpracy izraelsko-arabskiej, zgodnie z założeniami polityki amerykańskiej. Całkowite wycofanie się USA ze wspierania Arabii Saudyjskiej i ZEA mogłoby być bardzo bolesne dla tych państw i postawiłoby też w niezręcznej sytuacji Rosję, z którą wszak Iran dobija interesy zbrojeniowe. Jednak regionalne wzmocnienie Iranu nie byłoby też korzystne dla USA. Z drugiej jednak strony Biden nie może okazać słabości wobec tak bezczelnych ruchów saudyjskiego księcia. Inną kwestią jest też reaktywacja porozumienia nuklearnego z Iranem (JCPOA), co doprowadziłoby do pojawienia się na rynku co najmniej 1,5 mln dodatkowych baryłek ropy. Jest to zatem obecnie głęboko w interesie zarówno Zachodu, jak i Iranu, gdyż zniesienie sankcji uspokoiłoby tam nastroje, podczas gdy obecnie już od kilku tygodni trwają antyrządowe protesty. Tyle że irański prezydent Ebrahim Raisi działa nieracjonalnie, przedkładając kwestie ideologiczne nad interes swój i Iranu. Mohammad bin Salman liczy więc, że uniknie konsekwencji, a po wyborach w USA Kongres będzie mu przyjaźniejszy. Może się jednak przeliczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

Bojowy „parasol” Berlina

FOT. ADOBE STOCK

Jakub Wozinski

Opiewający na aż 200 mld euro pakiet pomocowy ma zdaniem kanclerza Scholza chronić Niemcy przed skutkami drastycznych wzrostów cen energii, lecz w istocie Republika Federalna będzie go traktowała jako broń przeciwko gospodarkom pozostałych państw członkowskich Unii

Jednym z głównych atutów niemieckiego państwa pozostawała od wielu dekad jego moc finansowego dyscyplinowania innych państw. Silna marka upokarzała wszystkie inne waluty kontynentu i ograniczała zdolność wszystkich rządów do dokonywania nadmiernych wydatków. Wprowadzenie euro miało to zmienić, ale i tak okazało się, że Niemcy jako faktyczni zarządcy unii walutowej wciąż ograniczają zapędy całego kontynentu do beztroskiego zadłużania. Nawet gdy w 2020 r. pojawił się koronawirus i kraje Południa nalegały mocno na emisję wspólnego długu w wielkich ilościach, nad Renem wyraźnie się temu sprzeciwiono.

NOWE REGUŁY GRY

W obliczu bezprecedensowego kryzysu energetycznego Berlin postanowił jednak całkowicie zmienić zasady gry i w ciągu zaledwie dwóch lat zamierza uruchomić aż 200 mld euro na zamrożenie cen gazu ziemnego i energii elektrycznej, dofinansowanie przedsiębiorstw oraz wyrównanie strat importerów gazu. Kwota ta stanowi uzupełnienie dla 100 mld euro, które zostały już wydane przez niemieckie państwo w ciągu ostatniego roku w ramach specjalnych pakietów osłonowych dla mieszkańców i firm. O ile jednak do tej pory pomoc była uruchamiana w ramach budżetu państwa, o tyle planowany pakiet ma zostać sfinansowany w ramach pozabudżetowych funduszy niepodlegających konstytucyjnym regułom fiskalnym.

Pod tym względem Berlin staje się pilnym uczniem Warszawy, gdyż do tej pory największe „sukcesy” w wyprowadzaniu środków do jednostek pozabudżetowych miał rząd Mateusza Morawieckiego. Za sprawą powołania m.in. Funduszu Przeciwdziałania COVID-19 oraz Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych łączne wydatki wszystkich tego typu instytucji wyniosą w przyszłorocznym budżecie aż 487 mld zł.

Kanclerz Scholz chce naruszyć dotychczasową dyscyplinę fiskalną nie tylko w imię ratowania swojego kraju przed skutkami kryzysu energetycznego. Wiosną udało mu się już przecież powołać do życia specjalny fundusz na rzecz modernizacji armii wart 100 mld euro, a pod koniec ubiegłego roku kolejny Fundusz

eprasa.pl 23f0335273

Energetyki i Klimatu na kwotę 60 mld euro (w celu realizacji agendy zeroemisyjności). Jeśli plany szefa niemieckiego państwa się zmaterializują w ciągu zaledwie jednego roku kalendarzowego poza oficjalnym budżetem, to państwo zadłuży się na 360 mld euro. Czegoś takiego w najnowszej historii Republiki Federalnej jeszcze nie było.

NIEKONSTYTUCYJNA POMOC PUBLICZNA

Już przy okazji uruchomienia wcześniejszych funduszy w Niemczech pojawiły się głosy krytyki, że nie powinno się zadłużać państwa na tak znaczne kwoty w tak krótkim czasie, a na dodatek z pominięciem reguł zapisanych w konstytucji. Każdorazowo swój krytyczny głos wyrażał m.in. Federalny Trybunał Obrachunkowy, który zwracał uwagę na sprzeczność z zasadą zadłużenia. Wielką walkę z samym sobą musiał także stoczyć reprezentujący liberalną FDP minister finansów Christian Lindner, który tak ogromne wykroczenie przeciwko utrwalonym zasadom niemieckich finansów publicznych chce sobie powetować przywróceniem konstytucyjnego „hamulca długu" już w przyszłym roku. Można jednak szczerze powątpiewać w to, czy rządząca koalicja zdoła nałożyć na siebie tego rodzaju samoograniczenia, skoro przez ostatnie miesiące rozsmakowała się w wydawaniu tak wielkich kwot.

Aby odpowiednio zobrazować to, jak wielką kwotę Niemcy chcą przeznaczyć na walkę ze skutkami kryzysu energetycznego, który sami przecież wywołali, warto odnieść ją do wielkości ich gospodarki. 300 mld euro (100 mld już wydane i 200 mld planowane) stanowi 8,4 proc. niemieckiego PKB. W tym samym czasie Polska wyda ok. 10 mld euro, czyli niecałe 2 proc. naszego produktu krajowego brutto.

Żadne inne państwo europejskie nie jest w stanie wydać na dotacje dla swoich firm tak wielkich środków pieniężnych, ponieważ Niemcy mogą się wciąż zadłużać po najniższych kosztach na kontynencie, a dodatkowo ogłoszenie pakietu pomocowego wyraźnie poprawiło wycenę niemieckiego długu (przynajmniej przejściowo). Nie dziwi więc to, że plany Olafa Scholza spotkały się z krytyką niemal na całym kontynencie. Viktor Orbán nazwał je nawet „początkiem kanibalizmu w UE". Trudno się z opinią węgierskiego premiera nie zgodzić, ponieważ niemiecki „parasol ochronny" ma zostać wykorzystany nie tylko do przebijania ofert innych krajów przy zakupach gazu, lecz także do obniżenia kosztów działalności wszystkich przedsiębiorstw. Na co dzień Berlin przy pomocy Brukseli robi wszystko, aby ukrócić zamiary innych państw pragnących wesprzeć swoje firmy przy pomocy publicznych pieniędzy, lecz obecnie nie widzi żadnych problemów w tym, aby przeznaczyć dla swojego sektora prywatnego rekordowe sumy.

Charakter planowanych przez Niemcy wydatków sprawia, że właściwie nie powinno się mówić o „parasolu ochronnym", tylko o „parasolu bojowym", gdyż utworzenie wartego 200 mld euro funduszu wiąże się z jednoczesnym storpedowaniem inicjatywy wprowadzenia górnego limitu cen gazu. Piętnaście państw całej wspólnoty, w tym Polska, Francja i Hiszpania, wezwało Komisję Europejską do sięgnięcia po ten krok, lecz broniąca interesów niemieckich Ursula von der Leyen wyraźnie się temu sprzeciwiła.

Ostry kryzys energetyczny jest obecnie zjawiskiem, które nasiliło się w szczególności na Starym Kontynencie, a wysokie koszty i niepewność związana z obecną sytuacją polityczną sprawiły, że część firm zaczęła już przenosić swoją produkcję w inne regiony świata (m.in. do Azji, a nawet do USA). Jest już niemal pewne, że ceny energii i surowców nie powrócą nigdy do poziomu sprzed rosyjskiej inwazji na Ukrainę, co oznacza drastyczny spadek konkurencyjności. Realizacji tego właśnie scenariusza najbardziej obawiają się Niemcy, które chcą zrobić absolutnie wszystko, aby powstrzymać własną deindustrializację. Prawdziwa siła niemieckiej gospodarki leży przecież nie w wyrafinowanych usługach finansowych czy w branży informatycznej, lecz w przemyśle.

Wielki „parasol bojowy" dla niemieckiego przemysłu to niestety bardzo złe wieści dla Polski, gdyż nasze rodzime firmy mogą jedynie pomarzyć o tego rodzaju pomocy finansowej. Choć wiele ostatnio nad Wisłą mówi się o nowym politycznym środku ciężkości na kontynencie i wzmocnionej pozycji naszego państwa, to fakty świadczą raczej na korzyść tezy, że Niemcy mają wciąż do dyspozycji potężne narzędzia realizowania swoich celów z pominięciem woli partnerów „europejskiej integracji". Przy słabej złotówce i niskich płacach możemy wprawdzie liczyć na relokację części niemieckiej produkcji do Polski, ale za to nasz rodzimy biznes nie sprosta konkurencji i wysokim kosztom.

Szczególnie niepokojące jest to, że nawet jeśli plany Niemiec zostaną ostatecznie powstrzymane, to może się to dokonać kosztem dalszej utraty atrybutów suwerenności przez państwa członkowskie.

INTEGRACJA EUROPEJSKA PO NIEMIECKU

Najgłośniejsi krytycy poczynań Niemiec z Włoch, Hiszpanii czy Francji wzywają bowiem do utworzenia kolejnego wielkiego unijnego funduszu na kształt pandemicznego funduszu Next Generation EU (na co Niemcy już się wstępnie zgodzili). Dla Komisji Europejskiej byłaby to wręcz idealna okazja do tego, żeby narzucać swoje zdanie w jeszcze większym zakresie niż do tej pory. Oprócz tego coraz częściej mówi się o planach wspólnych zakupów gazu, na które państwa członkowskie wyraziły już nawet wstępną zgodę. Nawet jeśli więc Republika Federalna zostanie zmuszona do pewnego rozwiązania kompromisowego, to i tak długofalowo zyska jeszcze większą władzę nad Unią jako główny gwarant finansowy wszystkich wspólnych przedsięwzięć i największy podmiot partycypujący w poszczególnych projektach czy długu. Niemcy może i stracą na wizerunku, ale politycznie wygrają niemal w każdym wariancie tej rozgrywki.

Zachowanie kanclerza Scholza to zaś niestety wręcz wzorcowy przykład tego, jak łatwo Niemcom przychodzi łamanie reguł, których przestrzegania sami oczekują od innych. Wart 200 mld euro pakiet nie tylko jest niezgodny z niemiecką konstytucją oraz unijnymi przepisami dotyczącymi zasad pomocy publicznej, lecz także w jaskrawy sposób godzi w jakkolwiek pojętą solidarność między krajami członkowskimi. Egoistyczne zachowanie Niemiec skrywane pod płaszczykiem walki z kryzysem przyczynia się coraz bardziej do powszechnej utraty zaufania w ich dobre intencje.

Gdy pod koniec sierpnia Olaf Scholz wygłaszał na Uniwersytecie Karola w Pradze przemówienie, w którym chciał przedstawić wizję przyszłej, zjednoczonej Europy, pytał z emfazą: „Kiedy, jeśli nie teraz, mamy przezwyciężyć różnice, które pętały nas i dzieliły przez tyle lat?". Słowa te już wtedy nie były w stanie wywołać niczyjego entuzjazmu; w kontekście ostatnich wydarzeń mogą uchodzić co najwyżej za nieśmieszny żart.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 23f0335273

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jak UE „zabija” auta na prąd

Jak się wydaje, po horrendalnych podwyżkach cen prądu, które tylko w niewielkim stopniu są za nami, a w lwiej części dopiero przed nami „zatankowanie” auta elektrycznego wkrótce będzie kosztować nie aż tak znów dużo mniej niż zatankowanie samochodu spalinowego. A zwłaszcza „oszczędnego” samochodu spalinowego.

A z czasem, jeśli Unia Europejska wreszcie nie pożegna się ze swoim klimatyczno-ekologicznym fiksum-dyrdum, a nic nie wskazuje na to, żeby chciała się pożegnać – zwłaszcza jeśli ten unijny klimatyczno-ekologiczny bzik będzie podkręcany przez Putina, a z kolei w tym przypadku wszystko wskazuje na to, że tak właśnie będzie – to raczej prędzej niż później „zatankowanie” elektryka może się stać droższe od zatankowania „oszczędnego” benzyniaka czy diesla. Tym bardziej że Bruksela zamierza w tej sprawie zaordynować wszystkim Europejczykom „jeszcze więcej tego samego”, czyli jeszcze więcej – a nie choćby odrobinę mniej – klimatyczno-ekologicznej fiksacji, a to musi prowadzić do niekończących się podwyżek cen energii elektrycznej. Taka jest bowiem nieubłagana żelazna logika używanego przez eurokratów do ustawicznego podkręcania cen energii, czysto spekulacyjnego unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji CO_2, dla niepoznaki ukrytego pod niewinnym skrótem EU ETS.

A jeśli dorzucić do tego zwykle porażającą różnicę w cenach zakupu obu tych rodzajów samochodów, rzecz jasna, na niekorzyść aut elektrycznych, to któregoś dnia argument korzyści finansowej w przypadku aut elektrycznych, który i tak zawsze stał pod wielkim znakiem zapytania, z dnia na dzień po prostu przestanie istnieć, wyparuje.

I w ten sposób Unia Europejska swym jednym niedorzecznym pomysłem – by zużywany w UE prąd pochodził najlepiej wyłącznie ze słońca i wiatru, których (pech chciał) w znacznej części UE jest stanowczo za mało, zwłaszcza nocami, szczególnie jesienią, zimą i wiosną – tak podbiła i dalej podbija ceny prądu, że właśnie dobija swój kolejny niedorzeczny pomysł – by wyrugować z UE wszystkie co do jednego auta spalinowe i zastąpić je autami na prąd.

Ale oczywiście wkrótce może się okazać, że Unia Europejska po „zabiciu” aut elektrycznych wywindowanymi do nieziemskich poziomów cenami prądu może się zawziąć i uznać, że nie poprzestanie dopóty, dopóki nie „zabije” także aut spalinowych – windując do jeszcze wyższych poziomów ceny benzyny i oleju napędowego. A jak wiadomo, z Unią Europejską nie ma żartów; gdy już zagnie na kogoś lub na coś parol, gdy się na kogoś lub na coś uweźmie, to nie ma siły i ten ktoś lub to coś powinien/powinno już się pakować.

A wtedy zostaną nam tylko zwykłe rowery, a elektryczne wyłącznie dla krezusów i – oczywiście – służbowe dla eurokratów. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kluczenie ministra Beka

Czesi sprawują obecnie prezydencję w Unii Europejskiej. To już nie te czasy, kiedy miało to teoretycznie wielkie znaczenie – zmienił to traktat lizboński, wprowadzając funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej. Wciąż jednak prezydencja liczy się choćby przez to, że może jedne rzeczy wybijać na pierwszy plan, a inne odsuwać, czyli kształtować – by użyć unijnego żargonu – agendę.

Czechy, którymi rządzi koalicyjny rząd pięciu ugrupowań z Petrem Fialą na czele, dostały w posagu pokłosie Konferencji w sprawie przyszłości Europy, czyli dętego pseudodemokratycznego procesu, w ramach którego teoretycznie obywatele UE mieli się wypowiedzieć na temat tego, w którą stronę Unia ma iść. I jakoś dziwnym trafem wypowiedzieli się niemal jednogłośnie zgodnie z kierunkiem wyznaczanym przez Berlin, czyli za rezygnacją z prawa weta, a więc pójściem w stronę faktycznej federalizacji. Co z tym fantem robią Czesi?

Kwestia rezygnacji z prawa weta to już nie tylko opowieści pani von der Leyen i kanclerza Scholza, lecz także realny polityczny problem dla Polski

Polscy dziennikarze mieli okazję zapytać o to w ubiegłym tygodniu czeskiego ministra ds. europejskich, Mikuláša Beka, podczas wizyty w Pradze zorganizowanej przez Komisję Europejską. Odpowiedź była… ambiwalentna. Minister Bek stwierdził, że trzeba być realistą i rozumieć, iż opór przeciw takiemu rozwiązaniu jest w wielu krajach bardzo duży. Trzeba zatem znaleźć kompromis, i to w taki sposób, żeby nie otwierać traktatów, bo nie czas na to – UE nie może się tym zajmować w czasie wojny i kryzysu. „Trzeba przynajmniej próbować znaleźć rozwiązania pozatraktatowe, choć pewnie nie uda się tego procesu zakończyć w czasie czeskiej prezydencji” – mówił jednak czeski minister.

Co jednak ciekawe, powiązał tę zmianę – której przecież Polska jest zdecydowanie przeciwna, a przynajmniej takie są deklaracje rządu – z planami poszerzenia UE i o Bałkany, i o Ukrainę. A przecież Warszawa jest w tej chwili gorącym zwolennikiem tej ostatniej koncepcji.

Chętnie czy niechętnie Czesi będą musieli temat odejścia od weta w swojej agendzie uwzględnić. A to oznacza, że są to już nie tylko opowieści pani von der Leyen i kanclerza Scholza, lecz także realny polityczny problem dla Polski. Kolejny. ©℗

eprasa.pl 23f0335273

Poznań

Grupa Inwest®

HORYZONT
NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl

WILDA CORNER

PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl

NOVA ŁACINA
NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl 23f0335273

Z prof. Tomaszem Wróblem, kierownikiem Katedry i Kliniki Hematologii, Nowotworów Krwi i Transplantacji Szpiku UM im. Piastów Śląskich
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Najskuteczniejszy jest pierwszy atak

KATARZYNA PINKOSZ: Dla chorego to trudna sytuacja, gdy wie, że ma nowotwór w płucu, wątrobie, tarczycy, ale jeszcze trudniejsza, gdy słyszy, że ma nowotwór we krwi, czyli praktycznie w całym organizmie. Skąd bierze się nowotwór we krwi?

PROF. TOMASZ WRÓBEL: Gdy rozmawiam o nowotworach krwi, to często zadaję rozmówcy pytanie, czy pamięta film „Love Story", którego bohaterka zachorowała na białaczkę, czyli jeden z najczęstszych nowotworów krwi. Nowotwory krwi to choroby, które dotyczą szpiku kostnego: to miejsce, w którym produkowana jest krew.

Drugim rodzajem nowotworów krwi są tzw. nowotwory układu chłonnego, który w naszym organizmie pełni funkcje odpornościowe. To, że nie zabijają nas zarazki, zawdzięczamy limfocytom powstającym w szpiku, a dojrzewającym w węzłach chłonnych. Mamy w organizmie kilkaset węzłów chłonnych. Gdy dojdzie do mutacji nowotworowej, rozwijają się na nich nacieki – to właśnie są chłoniaki.

Nowotwory hematologiczne stanowią ok. 11 proc. wszystkich nowotworów, a więc wcale nie tak mało. Częstość zachorowania wzrasta wraz z wiekiem. A dlaczego się rozwijają? Z jednej strony jest pewna podatność genetyczna. Tak jak dziedziczymy np. skłonność do hazardu, tak samo dziedziczymy skłonność do zachorowania na choroby nowotworowe. Oczywiście musi zadziałać jakiś czynnik zewnętrzny, np. zanieczyszczenie środowiska. Często słyszę pytanie: „Dlaczego ja?". Ale nikt wcześniej nie zastanawia się nad skutkami, gdy pali w piecu różnymi dziwnymi rzeczami albo nie wyłącza silnika samochodu, gdy chwilę stoi na parkingu. Wyzwalaczami mogą być też czynniki wirusowe i wiele innych, których nie znamy. To bardzo złożony proces, gdy zdrowa komórka zmienia się, wymyka spod kontroli układu odpornościowego i zaczyna dzielić się w niekontrolowany sposób. Nie umiera, tylko wciąż się dzieli. Tak rozwija się nowotwór.

W przypadku niektórych nowotworów krwi objawy pojawiają się nagle, ale bywa też, że przez wiele miesięcy można nie wiedzieć o chorobie?

Nowotwory krwi nie mają jednego charakterystycznego objawu, na którego podstawie można powiedzieć np. białaczka. Dolegliwości są niespecyficzne – to np. osłabienie, łatwiejsze męczenie się, nocne poty (takie, że trzeba zmienić pościel i koszulę), czasem chudnięcie mimo dobrego apetytu, stany podgorączkowe, wybroczyny na skórze. Bywa też, że objawów nie ma, a pacjent ma wykrywaną chorobę przypadkiem, gdy wykona morfologię. Dlatego trzeba to okresowo robić. Czasem objawem jest niebolesne powiększenie węzłów chłonnych.

Ale są też nowotwory hematologiczne, które rozwijają się błyskawicznie, a diagnoza i leczenie muszą być rozpoczęte bardzo szybko – to np. ostra białaczka szpikowa, ostra białaczka limfoblastyczna. Tu nie wolno czekać.

Na drugim biegunie są np. przewlekła białaczka limfocytowa (PBL) czy chłoniak grudkowy – zwykle rozwijają się powoli. Co więcej, niektórzy pacjenci nie zawsze od razu wymagają terapii. Ba, nawet jedna trzecia chorych na PBL może w ogóle nie wymagać leczenia w ciągu całego życia. Jednak są też pacjenci, u których ta choroba przebiega znacznie bardziej dynamicznie, w grupach wysokiego ryzyka nawet równie dynamicznie jak ostra białaczka, i konieczne jest leczenie, często od razu.

eprasa.pl 23f0335273

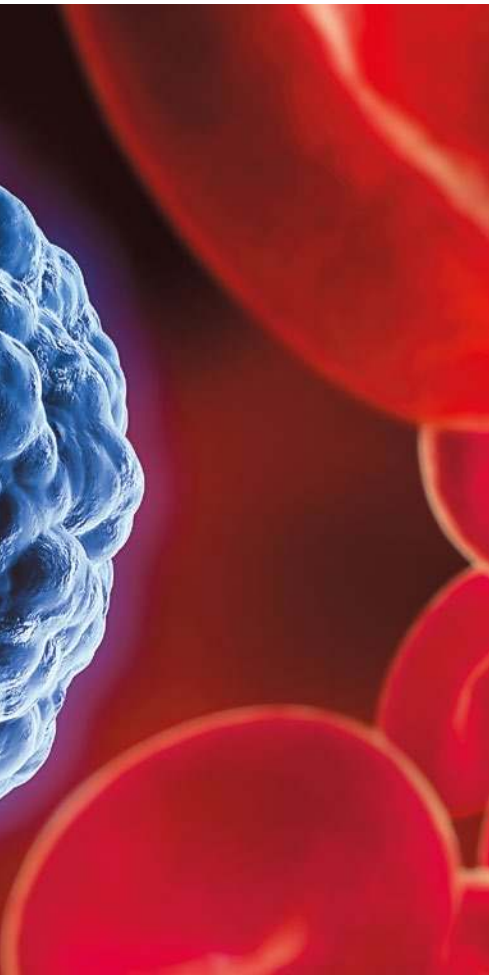

FOT. ADOBE STOCK

W przewlekłej białaczce limfocytowej najbardziej potrzebne już w pierwszej linii są inhibitory kinazy Brutona (akalabrutynib, ibrutynib). To terapie celowane, które hamują cały mechanizm rozwoju PBL. Ich refundacja to dziś największa potrzeba w hematoonkologii

Skąd wiadomo, których chorych na PBL należy leczyć? Wykonuje się badania genetyczne, molekularne?

Pacjent zawsze wymaga diagnostyki, niezależnie od tego, czy będzie od razu leczony czy obserwowany. Jednak fakt, że w danym momencie nie jest leczony, nie oznacza, że nie jest pacjentem. Podlega kontroli hematologicznej, by obserwować, czy choroba się nie rozwija. W hematologii bardzo ważna jest diagnostyka – genetyczna, molekularna oraz cytometryczna: posługujemy się bardzo wyrafinowanymi metodami, ponieważ jest wiele terapii celowanych, które korygują określone zmiany genetyczne. Musimy mieć wiele informacji na temat choroby, żeby było zastosowane właściwe leczenie.

W przypadku przewlekłej białaczki limfocytowej badania genetyczne wykonuje się od razu?

Część badań wykonuje się od razu, a gdy choroba ulega progresji, pojawiają się cechy jej aktywności i planujemy leczenie, wówczas wykonujemy dokładniejsze badania, by określić, czy u pacjenta zachodzą określone mutacje czy nie, bo to warunkuje dobór leczenia.

Dlaczego to tak ważne, żeby od samego początku podać najbardziej skuteczne leczenie, nie czekając na rozwój choroby?

Powiem tak: z leczeniem pierwszej linii jest tak, jak ze sprzątaniem mieszkania – jeśli zrobimy to bardzo dokładnie, to dłużej jest czyste. Z nowotworem też tak jest: jeśli od początku zastosuje się precyzyjne leczenie, to mamy szansę jeśli nie na wyleczenie, to na duży regres choroby, „posprzątanie" chorego organizmu i uzyskanie długotrwałej remisji. Konsekwencją jest dłuższe przeżycie, dlatego tak ważne, żeby używać jak najlepszych narzędzi leczenia na samym początku, kiedy choroba jest najbardziej wrażliwa. Gdy choroba nawraca, to leczy się ją trudniej. Dlatego zawsze podkreślamy, żeby na początku użyć najsilniejszych narzędzi, bo wtedy pacjent najwięcej skorzysta.

Jak oceniłby pan dziś możliwości leczenia nowotworów hematologicznych w pierwszej linii?

W ciągu ostatnich lat poziom refundacji leków w hematologii jest dobry, nawet bardzo. W przeszłości bywało, że pacjenci długo czekali na decyzje refundacyjne, często od roku do trzech lat, dziś nowe leki pojawiają się szybciej na listach refundacyjnych, dzięki temu możemy szybciej z nich korzystać. Od 1 września w leczeniu ostrej białaczki szpikowej są dostępne wszystkie najważniejsze terapie, które można sobie wymarzyć. Bardzo się z tego cieszymy, bo to choroba bardzo ciężka – choć z drugiej strony jest szansa na wyleczenie: im lepszych narzędzi użyjemy na początku, tym więcej pacjentów jesteśmy w stanie wyleczyć. Obecnie mamy możliwość zastosowania optymalnego leczenia u pacjentów, dobrania leku do podtypu choroby.

Jakich leków brakuje w pierwszej linii?

W przewlekłej białaczce limfocytowej najbardziej potrzebne już w pierwszej linii są inhibitory kinazy Brutona (akalabrutynib, ibrutynib). To terapie celowane, które hamują cały mechanizm rozwoju PBL. Dysponujemy innymi nowoczesnymi lekami w tej chorobie, jednak u pacjentów wyższego ryzyka najlepiej działają inhibitory kinazy Brutona. Nie są one refundowane w pierwszej linii – ich refundacja to dziś największa potrzeba w hematoonkologii.

Na leki w pierwszej linii czeka też duża grupa pacjentów ze szpiczakiem plazmocytowym – chcielibyśmy zastosować nowoczesne przeciwciało skierowane przeciw antygenowi CD38, obecnemu na komórkach nowotworowych (daratumumab). Lek jest refundowany w Polsce, ale nie w pierwszej linii, a dane pokazują, że jego zastosowanie w pierwszej linii, w określonych konfiguracjach, daje bardzo dobre wyniki. Z kolei w bardzo rzadkim chłoniaku anaplastycznym czekamy na przeciwciało anty-CD30 (brentuximab vedotin), które zastosowane u pacjentów w pierwszej linii bardzo poprawia wyniki leczenia. Mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości te leki znajdą się w refundacji.

Co jeszcze jest potrzebne polskiej hematoonkologii poza potrzebami lekowymi?

Dużym problemem są niedobory personelu – brakuje lekarzy, pielęgniarek. Hematologia jest trudną specjalnością, wymagającą wysiłku. Jednak koledzy, z którymi pracuję, nadrabiają te braki zaangażowaniem i robią, co mogą, by wszystkich pacjentów leczyć na dobrym poziomie. Problemem jest organizacja ochrony zdrowia: system opieki powinien być skoordynowany, optymalne byłoby, żeby lekarz, podejrzewając nowotwór, kontaktował się z poradnią, oddziałem, uzgadniał przyjęcie czy termin wizyty – pacjent nie powinien sam zajmować się poszukiwaniem miejsca leczenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Tomasz Wróbel
– kierownik Katedry i Kliniki Hematologii, Nowotworów Krwi i Transplantacji Szpiku UM im. Piastów Śląskich.

eprasa.pl 23f0335273

TEST „DO RZECZY": SOUNDBAR SONOS RAY

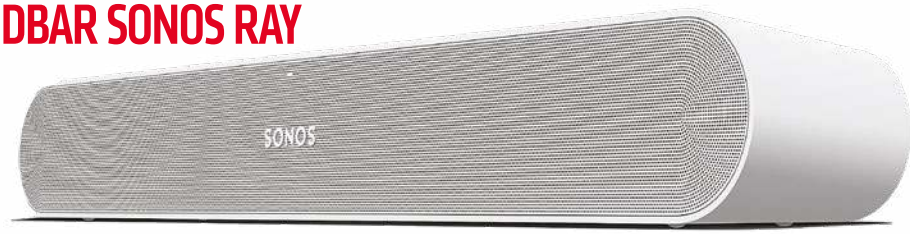

Minimalistyczne wzornictwo, dobra jakość dźwięku jak na tę półkę cenową, niewielkie rozmiary, łatwa konfiguracja i przydatne funkcje sieciowe – to największe zalety najmniejszego soundbara w portfolio amerykańskiego producenta sprzętu audio.

Ważący niecałe 2 kg Sonos Ray – zwłaszcza w białej wersji – wygląda bardzo elegancko i łatwo wtapia się w nowoczesne wnętrza. Dzięki niewielkim rozmiarom (wysokość 7,1 cm, szerokość 56 cm oraz głębokość 9,5 cm) testowany soundbar można umieścić nie tylko pod olbrzymimi telewizorami, lecz także przed niewielkimi telewizorami (czytaj: od 32 cali wzwyż) i taki zestaw nadal będzie wyglądał dobrze. Testowany model pod względem wielkości idealnie sprawdzi się też jako soundbar do drugiego telewizora w domu, np. w sypialni. Dzięki zgrabnym krągłościom dobrze będzie się też prezentował w salonie.

Jak przystało na najtańszy model, cała obudowa jest plastikowa, ale jakość wykonania nie budzi zastrzeżeń. A co z brzmieniem? Testowany model to klasyczna „grajbelka" wyposażona w dwa głośniki wysokotonowe, dwa średniotonowe oraz system bass reflex (czyli długie tunele w kształcie litery U, które poprawiają brzmienie i wzmacniają niskie tony). I chociaż nie ma osobnego subwoofera (można go dokupić oddzielnie), to muszę przyznać, że gra dużo lepiej, niż można by się spodziewać po niewielkiej obudowie. Brzmienie jest atrakcyjne, czyste i żywe.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dzięki funkcji poprawy dźwięku w filmach dialogi są bardzo klarowne, dzięki czemu wreszcie można zrozumieć, co mówią aktorzy nawet w polskich produkcjach. Przyjemnie słucha się też popisów wokalistek czy skrzypaczek i kontrabasistek. Wysokie tony są bogate w detale, a przy tym brzmią bardzo naturalnie. Tak wysoka jakość w przypadku soundbara za mniej niż 1,5 tys. zł to rzadkość. Nieco gorsze są basy, które mimo wszystko dają radę i na szczęście nie są niepotrzebnie przez producenta podbite (choć oczywiście w filmach katastroficznych przydałby się dodatkowy subwoofer, którego koszt w przypadku Sonosa jest sporo wyższy od ceny samego soundbara). Wadą jest nieco ograniczona scena muzyczna, ale ogólnie Ray brzmi naprawdę nieźle.

Zaletami testowanego urządzenia są też przejrzysta aplikacja, która nie tylko ułatwia sterowanie soundbarem (jest zresztą konieczna, aby w ogóle zacząć z niego korzystać), lecz także umożliwia korzystanie z korektora brzmienia, oraz łatwy, bezpłatny dostęp do internetowych stacji radiowych z całego świata.

Wady? Najtańszy model w ofercie Sonosa ma jedno wejście optyczne, Ethernet oraz wbudowany moduł wi-fi. Naprawdę! Ten soundbar nie ma ani jednego złącza HDMI, o HDMI Arc nie wspominając! To zaś sprawia, że próżno marzyć o odtwarzaniu pełnych detali przestrzennych dźwięków w systemie Dolby Atmos znanych z drogich grajbelek. W najtańszym modelu Sonosa nie ma nawet możliwości strumieniowania przez Bluetooth. Testowanym soundbarem można jednak bez trudu sterować z poziomu aplikacji, jeśli smartfon jest podłączony do tej samej sieci wi-fi, co Sonos Ray, albo za pomocą pilota do telewizora (jeśli jest on na podczerwień, a nie na Bluetooth; piloty radiowe również w tym przypadku do niczego się nie przydadzą). Kolejny minus: wprawdzie model Ray można powiesić na ścianie, ale za przeznaczony do tego wieszak trzeba zapłacić aż 250 zł.

Mimo wielu istotnych wad stosunek ceny do jakości modelu Ray nadal jest bardzo dobry. Soundbar znacząco poprawia jakość dźwięku w serialach Netflixa czy filmach na Amazon Prime. Nieźle daje też radę przy odtwarzaniu muzyki ze Spotify, Tidal, Deezer czy YouTube oraz podczas korzystania z konsoli do gier. Soundbar może też łatwo stać się elementem większego systemu, bez trudu można go połączyć z dokupionym oddzielnie subwooferem czy głośnikami tylnymi. Cena: 1399 zł. ©℗

Jacek Przybylski

INTELIGENTNY CIŚNIENIOMIERZ I...

Amerykańkskie przedsiębiorstwo Garmin wypuściło na rynek swój pierwszy inteligentny ciśnieniomierz. Garmin Index BPM ma pozwalać na szybkie i proste kontrole skurczowego oraz rozkurczowego ciśnienia krwi, a następnie synchronizować te dane z aplikacją mobilną Garmin Connect, która gromadzi również dane zebrane przez smartwatche, inteligentne wagi czy opaski na klatkę piersiową.

Dane zebrane przez inteligentny ciśnieniomierz można przeglądać w raportach tygodniowych, miesięcznych lub rocznych, a w razie potrzeby szybko udostępnić je lekarzowi w formie pliku PDF. Jednego zasilanego czterema bateriami AAA urządzenia może używać maksymalnie 16 użytkowników. W aplikacji można też ustawić przypomnienia o pomiarach. Garmin Index BPM jest już w sprzedaży w USA, gdzie kosztuje 149,99 dol., czyli równowartość 750 zł.

... NIEGŁUPIA SUSZARKA DO UBRAŃ

Nie tylko w Polsce patodeweloperzy sprzedawali mieszkania tak dramatycznie małe, że nie można w nich nawet wygodnie rozłożyć suszarki do ubrań. A skoro rynek zbytu wydaje się całkiem duży, to chińska firma Xiaomi ogłosiła projekt ulepszonej wersji swej inteligentnej suszarki do ubrań. MIJIA Smart Clothes Dryer Pro to połączenie lampy sufitowej oraz suszarki, którą z sufitu można wygodnie opuścić i na przystosowanych do tego haczykach powiesić wieszaki z koszulami, a nawet prześcieradła, koce etc. Suszarka może udźwignąć do 35 kg prania. Po zdjęciu suchych rzeczy suszarka może wrócić pod sufit, gdzie staje się praktycznie niewidocznym elementem lampy. Urządzeniem można sterować za pomocą głosu lub aplikacji, gdzie można też ustawiać np. jasność oświetlenia. Orientacyjna cena: ok. 845 zł (plus opłaty i transport do Polski). ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 23f0335273

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Tarnogrodzki gniew szlachty

JACEK KOMUDA

Tarnogród to miasteczko południowej Lubelszczyzny, zagubione w polach pomiędzy Sanem a Bugiem. Założone w 1657 r. przez starostę Stanisława Tarnowskiego na podstawie przywileju wydanego przez króla Zygmunta Augusta. Stefan Batory pozwolił tutaj osiedlać się Żydom, a w 1588 r. osada wraz ze starostwem stały się jednym z 10 miast Ordynacji Zamojskiej.

Przez długie lata Tarnogród dzielił burzliwy los Rzeczypospolitej. W 1648 r. spalony i złupiony przez Kozaków, w 1657 r. przez Siedmiogrodzian, w 1672 r. zniszczony przez Tatarów, później czterokrotnie – od roku 1683 r. – nawiedzany przez pożary. Następnie odbudowę przerwała wielka wojna północna – najazd Szwedów i wkroczenie złowrogich sojuszników króla Augusta II – Moskali. Przez lata podatki i kontrybucje wybierali zarówno swoi, jak i obcy. W 1706 r. miasteczko było tak zubożałe, że nie było w stanie zapłacić żadnego podatku. Kontrybucje ściągane przez Szwedów, Moskwę i później Sasów osiągnęły bowiem niebotyczną sumę 207 tys. zł. Ponadto miasto straciło stado bydła liczące 200 sztuk, warte ok. 30 tys. zł. Tak ogromne straty zbiegły się z epidemiami – w latach 1703 i 1720 – kiedy zmarło 200 mieszkańców. Zaraza wyludniła Tarnogród – w 1717 r. było tutaj aż 45 pustych domów. Skala zniszczeń pokazuje, jak bardzo zrujnowana była na początku XVIII w. Rzeczpospolita po wojnie północnej i przemarszach Szwedów.

RYS. OBA

Tymczasem w 1710 r. do zrujnowanego kraju wkroczyły wojska saskie króla Augusta II Mocnego, aby bronić Korony i Litwy przed Turkami i Szwedami. Pozostały nawet po 1714 r., po zawarciu traktatu z sułtanem. W rzeczywistości ich obecność była realizacją planu króla i jego doradców – przede wszystkim Jacoba von Flemminga, który zamierzał przeprowadzić zamach stanu i wprowadzić władzę absolutną króla. Dodatkowo zamierzał odciążyć Saksonię zrujnowaną przez wojnę i przemarsze wroga od kosztów kwaterunku i utrzymania wojska. Sascy doradcy zakładali, że w Koronie wybuchnie sprzeciw przeciwko armii saskiej – wówczas król wystąpić miał jako mediator, zmusić szlachtę do reform i zwiększenia swej władzy. Polityka ta miała pewne słuszne założenia, jednak kiedy Sasi zaczęli wyciągać kontrybucje, szlachta i wojska koronne zawrzały gniewem. 26 listopada 1715 r. to właśnie w Tarnogrodzie zawiązana została konfederacja obywatelskiego nieposłuszeństwa przeciwko królowi. Od kilku miesięcy zresztą w kraju trwały bunt i ruchawka przeciwko Sasom. 8 października pobito ich pod Radogoszczem, potem przyszły kolejne zwycięstwa, a do konfederacji dołączyły Wielkopolska i Litwa. W Tarnogrodzie marszałkiem generalnym mianowano Stanisława Ledóchowskiego, podkomorzego krzemienieckiego, człowieka prawego i uczciwego. W krótkim czasie, dzięki ofiarności szlachty i magnatów, stworzył wojsko liczące ponad 30 tys. żołnierzy, głównie jazdy. Znamienne, że do walki z własnym królem wystawiono siły o wiele większe niż te, które miały bronić Rzeczypospolitej w 1702 r. przed Szwedami. Sam Ledóchowski doczekał się opinii sprawnego organizatora, rosyjscy posłowie pisali nawet o nim, że byłby dobrym kandydatem na króla. Jak zwykle też wydarzenia potoczyły się w kierunku, którego nie przewidzieli król ani jego doradcy. Konfederaci tarnogrodzcy poprosili bowiem o mediację nie Augusta, ale cara Piotra I, który wprowadził do Rzeczypospolitej wojsko i wymusił rozpoczęcie rozmów pokojowych. August II Sas wycofał się do Gdańska i został zmuszony do przyjęcia pomocy Moskwy.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ostatecznie po kolejnych zwycięstwach i klęskach 3 listopada 1716 r. zawarto traktat warszawski, który dopuszczał przeprowadzenie pewnych reform – przede wszystkim uchwalał stałą, niezależną od kolejnych uchwał sejmowych płacę dla wojska, podnosząc jego liczbę do 24 tys. Ograniczał władzę hetmanów, zmuszał króla do wycofania armii saskiej z Korony i Litwy, zabraniał saskim ministrom ingerowania w sprawy Rzeczypospolitej. Przypieczętowaniem układu był sławny Sejm Niemy w lutym 1717 r., który oznaczał kompromis między konfederatami a królem, jednak zarazem stanowił złowrogi precedens, gdyż Moskwa stała się mediatorem pomiędzy szlachtą i Augustem II Mocnym. A jak pokazał czas, za pierwszą poszły szybko kolejne, coraz brutalniejsze „mediacje" carów. ©℗

eprasa.pl 23f0335273

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Jesienne klimaty

Wybrałyśmy się w ostatni weekend pod miasto do pobliskich lasów w poszukiwaniu grzybów. Był wspaniały wspólny czas spaceru i rozmów, i niestety tyle. Złota polska jesień pachnie szarlotką z cynamonem, kruchym ciastem ze śliwkami, orzechami włoskimi, które w naszym domu jadło się z miodem, dynią, wspaniałymi gruszkami i suszonymi grzybami, które finalnie kupiłyśmy na pobliskim targu, bo szczęścia do grzybów raczej nie mamy albo po prostu źle trafiłyśmy. Wybrałyśmy podgrzybki i maślaczki, które przygotowałyśmy na masełku z dodatkiem śmietany i natki pietruszki (wspaniałe, delikatne, idealne ze świeżym pieczywem), a podgrzybki będziemy suszyć, przydadzą się do zupy grzybowej.

Grzyby w polskiej tradycji kulinarnej wykorzystywano od bardzo dawna, traktowano je jako dary natury. Grzybobranie było ważnym zwyczajem już w tradycji słowiańskiej, a później na dworach królewskich i szlacheckich było popularną zabawą towarzyską. Sam Adam Mickiewicz opisał grzybobranie w „Panu Tadeuszu". Wbrew powszechnym opiniom oprócz walorów smakowych grzyby mają wartości odżywcze, takie jak witaminy B1, B2 oraz antyoksydanty i składniki mineralne, są źródłem potasu, fosforu i magnezu, są niskokaloryczne, ale ciężkostrawne. Najczęściej wykorzystywane jako dodatek do dań mięsnych, jako farsz i główny składnik sosów. Dla nas ulubionymi daniami są świąteczna zupa grzybowa z suszonych grzybów oraz sos ze świeżych grzybów jako wspaniały dodatek do makaronu, klusek czy placków ziemniaczanych.

Sos grzybowy

- 400 g świeżych grzybów (podgrzybki, maślaki, prawdziwki)
- 100 g masła
- 1 duża cebula
- sól, pieprz
- 1/2 kubka kwaśnej śmietany
- natka pietruszki

Cebulę szatkujemy, podsmażamy na maśle, dodajemy pokrojone grzyby i dusimy pod przykryciem ok. 30 min, na koniec dodajemy śmietanę i posypujemy natką.

Placki ziemniaczane

- 1 kg startych na drobnych oczkach ziemniaków, odciśniętych z nadmiaru wody
- 2 czubate łyżki mąki pszennej
- 1 cebula również starta na tarce razem z ziemniakami
- 2 jajka
- sól
- olej do smażenia

Wszystkie składniki mieszamy razem na gładką masę, łyżką nakładamy na bardzo mocno rozgrzaną patelnię, smażymy z dwóch stron na złoty kolor. Podajemy razem z sosem grzybowym. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wspomnienia z szuflady

Kiedyś trzeba zacząć. Nie można odkładać w nieskończoność, aż w końcu zdjęcia zrobią się tak stare, że nikt nie będzie mógł rozpoznać ani osób, ani miejsc, ani czasu.

Jednym słowem – rozpoczęła się akcja porządkowania zdjęć. Raz, a dobrze – powyjmowaliśmy z szuflad sterty kopert, papierów, kliszy. To praca archiwisty, opus magnum, które zapewne zabierze nam parę miesięcy, bo na oko samych fotografii papierowych są ponad 2 tys. Ktoś tu był fotoamatorem. O cyfrze na razie wolę nie myśleć, tam będą miliardy. Ale grunt to zrobić pierwszy krok.

Refleksja o przemijaniu: byliśmy młodsi, ładniejsi, weselsi. Nie tylko my – rodzina, przyjaciele, znajomi także. Dzieci i drzewa były mniejsze. Żyli ludzie, którzy nie żyją, nie ma psów, które kochaliśmy. Czy czasy lepsze, nie wiadomo. Od czasu do czasu każde z nas wydaje okrzyk znad koperty Agfa czy Orwo: „Chodź, popatrz! Kto to jest ta pani w lewym górnym rogu z prawej? To było w Białogórze czy w Krynicy? Ten w czerwonym swetrze to Janusz? A tu, jak budował się dom... Pan Rysio zanim spadł z drabiny...".

Logistyka porządków nie jest łatwa. Ambitny plan podzielenia na albumy jest, nawet albumy są. Ale jak układać? Latami, osobami, tematami? Może wszystkie Boże Narodzenia i Wielkanoce razem, a może wakacje razem? U nas na wsi czy Zawoja? Porobiliśmy poszczególne kupki tych, które oddamy rodzinie i znajomym. Niektóre porozsyłałam e-mailem. O dziwo, sfotografowane i oglądane w telefonie zdjęcia papierowe wyglądają lepiej niż na papierze. Dziwny jest ten świat, przynajmniej dla kogoś, kto nie uważał na fizyce.

Jak byliśmy młodsi, to nawet niektórzy byli niebrzydcy. Dzieci, które wtedy robiły babki z piasku na plaży w Białogórze, dzisiaj mają brody i własne dzieci, a niektóre także habilitacje.

Ale jedno uderza – dlaczego jesteśmy tak okropnie ubrani? Dlaczego wszyscy jesteśmy w tych za dużych, zbyt kolorowych ciuchach?

Czyżby? Zaczynam się zastanawiać, jaki mechanizm rządzi naszym obecnym przekonaniem, że wtedy ubieraliśmy się okropnie. Nie chodzi tylko o to, że stara moda wydaje się głupia i brzydka. Chodzi głównie o to, że patrzymy na nią dzisiejszymi oczami. I zapewne oglądając za kilka lat zrobione teraz zdjęcia, również pomyślimy: „Chryste, jak ja wyglądam?". Tak będzie, chociaż dziś nam się wydaje, że wyglądamy całkiem OK.

Ale jednak. Weźmy zdjęcia rodzinne z lat 30. czy nawet 50. – ludzie na nich wcale nie wyglądają ani śmiesznie, ani głupio. Wyglądają całkiem elegancko. Czy to znaczy, że coś musi się uleżeć 70, 90 lat, żeby znowu zaczęło się podobać? Nie, to na pewno z nami jest dzisiaj coś nie tak. ©℗

eprasa.pl 23f0335273

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Sami jesteście (sobie) winni

Ja już naprawdę nie mogę. Coś tam o PR wiem i na pierwszych wykładach mówili, że obarczanie winą własnych ofiar nie daje najlepszych rezultatów wizerunkowych. Ale widocznie na lekcjach nie tylko nie było ministra Niedzielskiego, który oskarżył o nadmiarowe zgony niezdrowo prowadzących się Polaków. Dziś dołączyli do niego również ubezpieczyciele.

Oto 3 października ukazał się raport Polskiego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych o zdrowiu Polaków po pandemii. Diagnoza potwierdza intuicje i tysiące rozproszonych badań, które pokazywały od dawna, co się działo w systemie opieki zdrowotnej w czasie pandemii. Jest tam o ograniczonej dostępności do usług medycznych, o problemach z niezaspokojonymi potrzebami zdrowotnymi: narzeka na to 30 proc. Polaków, przed pandemią było 4 proc. O jedną trzecią zmalała liczba świadczeń kardiologicznych, o tyle samo było mniej badań mammograficznych i cytologicznych. Liczba nowotworów zmniejszyła się o 20 proc. No wiadomo, że COVID się nie leczy – tyle więcej chodzi (jeszcze) po świecie nierozpoznanych przypadków, które trafią do systemu już w formach ostrych. Co czwarty Polak przytył, a problemy ze zdrowiem psychicznym zgłasza 40 proc. rodaków. Tyle jak jest.

Ale teraz najlepsze – co zrobić, by ten kataklizm nie wiadomo skąd naprawić? Trzeba – uwaga! uwaga! – agresywnie promować zachowania prozdrowotne. Bo deficyt ich jest alarmujący. Spadek aktywności fizycznej (a kto zamykał lasy i siłownie?), zwiększenie stresu (a kto za państwowe straszył w mediach codziennie?) i – to już hit – zaniedbywanie badań profilaktycznych (pewnie przez telefon w teleporadach).

To już jest szczyt cynizmu. Przecież te wszystkie „zaniedbania" były spowodowane decyzjami administracyjnymi polityków, przy których – albo czasem przed którymi – stali eksperci wyposażeni w dowody naukowe, najczęściej wspierane przez tzw. interesariuszy, czyli głównie Big Pharmę.

I teraz, kiedy przychodzą takie potworne dane z rezultatów tych polityk, to mówi się co? Że Polacy zaniedbują własne zdrowie, źle się prowadzą. Trzeba więc kampanii społecznych, by ich do tego przekonać. I robią to ci sami ludzie, którzy wymusili na społeczeństwie najbardziej niezdrowe rzeczy – izolacje, kwarantanny, maseczkowanie czy lockdowny. O szczepieniach nie wspomnę.

Proponuję iść tą drogą promocji zdrowotnych zachowań. Trochę kasy się trzepnie, zresztą narracja już się rozpoczęła, od kiedy minister zdrowia na aukcję dobroczynną wystawił swoją koszulkę, w której zaszczepił się po raz czwarty szczepionką. Drugą, przypominającą. Tak, COVID ma widocznie sklerozę, bo trzeba mu coraz to przypominać, bo zapomniał, że już kilka dawek wcześniej dostał. Ale o tym w raporcie państwo nie przeczytają. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Czekamy na czyny

Jesteśmy dumni z wartości chrześcijańskiej Europy" – ogłosił w Madrycie Mateusz Morawiecki. Chciałoby się powiedzieć – wreszcie! Możemy powtórzyć: Jesteśmy dumni z premiera, który przyznaje się do wartości chrześcijańskich. Odważnie przeciwstawia się uzurpacji, którą jest niemające traktatowych podstaw zawłaszczanie kompetencji przez Brukselę. Nazywa to budowaniem ponadnarodowej bestii bez wartości.

Według premiera unijna armia bezdusznych urzędników przekonanych o swojej nieomylności to grabarze Europy, a niszczenie tożsamości i dziedzictwa kulturowego jest totalnym szaleństwem. W krótkim wystąpieniu premier dwukrotnie podkreśla wartości cywilizacji chrześcijańskiej. Mówi z dumą, że jesteśmy jej dziećmi, dziedzicami i beneficjentami. Świetnie powiedziane! Brawo! Ale samo dziedziczenie to za mało. Przypomnę premierowi, że w porządnych rodzinach dziedzictwo traktowane jest jako depozyt. A na depozytariuszach ciąży zobowiązanie przekazania aktywów kolejnemu pokoleniu.

Niestety, na przestrzeni ostatnich siedmiu lat nie tylko w Europie Zachodniej, lecz także w Polsce przyspieszył proces utrudniający, wręcz uniemożliwiający bezpieczne przekazanie cywilizacyjnego depozytu. Premier ma rację, że po Europie grasują ludzie, którzy rozprzestrzeniają dziwne ideologiczne eksperymenty i chcą wyważyć drzwi do naszych domów. Niestety, w tym wyważaniu pomagają im regulacje przyjmowane przez jego rząd. Choćby Krajowy Program Działań na rzecz Równego Traktowania. W dokumencie roi się od zapisów, które są realizacją owych ideologicznych eksperymentów. Przecież po 20 latach zmagania się z tym „totalnym szaleństwem" wiadomo, że wszelkie hasła równości i walki z dyskryminacją to blef i zasłona kryjąca lewicowe programy rozsadzające ład społeczny i kulturowy. Dla autorów Krajowego Programu dyskryminacja to nie tylko bezprawne ograniczenia praw kobiet i mężczyzn lub naruszenie ich godności, lecz także wszelkie różnice, nawet te wynikające z odmiennej natury, autonomicznych decyzji kobiet i mężczyzn, ich różnych uzdolnień i predyspozycji. Na przykład nierównością i szkodliwym stereotypem jest to, że niektóre dyscypliny sportowe uznawane są jako typowo męskie (hokej, piłka nożna), inne zaś jako kobiece (gimnastyka, łyżwiarstwo figurowe). Ideologiczne zobowiązania zostały również podpisane w słynnym Krajowym Planie Odbudowy. Przykład? Projekty w dziedzinie kultury finansowane z KPO muszą być podporządkowane zasadzie gender mainstreaming.

Czekamy zatem, by w ślad za madryckim konserwatywnym manifestem premiera Morawieckiego poszły czyny. Na pierwszy ogień proponuję uchylenie powyższych dokumentów, a w pakiecie można jeszcze wypowiedzieć konwencję stambulską. ©℗

eprasa.pl 23f0335273

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Kto by się spodziewał?

Świat nigdy nie przestanie zaskakiwać. Stop. Dziennikarz Jan Piński ogłosił świeżą listę dziennikarskich kolaborantów PiS. Stop. Umieścił na niej Bogdana Rymanowskiego, Konrada Piaseckiego, Roberta Mazurka, Dominikę Wielowieyską i Krzysztofa Stanowskiego. Stop. Polska służba zdrowia od dawna jest niedoinwestowana. Stop.

Wystarczy poprosić. Stop. Alaksandr Łukaszenka w wywiadzie telewizyjnym zgłosił gotowość przeprowadzenia wyborów w Polsce, o ile zostanie o to poproszony. Stop. Jednocześnie skrytykował grupowo Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego i prezydenta Andrzeja Dudę, chwaląc przy tym „silnego polityka" Donalda Tuska. Stop. Jeśli Łukaszenko chwali Tuska, to rodzi się pytanie. Stop. Po czyjej właściwie stronie jest białoruski Król Ziemniaczany? Stop.

We wsi na Lubelszczyźnie pani Marlena chciała zabić szczury ze strzelby. Stop. Strzeliła, ale śrut przebił ścianę i zranił trzyletnią córkę pani Marleny. Stop. Mąż postanowił chronić żonę i udawać, że doszło do wypadku przy czyszczeniu broni. Stop. Strzelił w drzwi, ale postrzelił pracownika. Stop. Prokuratura uznała, że sprawa jest skomplikowana. Stop. Z dobrych informacji: chwilowo nie strzelają. Stop.

Aktywistka LGBTitakdalej znana na Twitterze jako Pisarska Wiedźma postanowiła objaśnić współczesny świat płci. Stop. Według niej niektóre lesbijki mają penisy, a niektórzy geje waginy. Stop. Geje z waginami mogą być w związkach z lesbijkami z penisami. Stop. Jeden z twitterowców zadał pytanie, czy jeśli jest kobietą z penisem w związku z mężczyzną z waginą, to jest to związek homo czy hetero? Stop. I pomyśleć, że prokuratura uważała strzelanie ze strzelby jest skomplikowane. Stop.

Prezydent Wrocławia Jacek Sutryk kupił sobie dom w dobrej cenie: 1,5 mln za 240 mkw. Stop. Okazało się, że przypadkowo kupił go od właściciela klubu żużlowego, który jest dotowany z pieniędzy miasta. Stop. To nie koniec Sutrowych przypadków. Stop. Dwa lata temu Sutryk sprzedał swój dom prezesowi aquaparku, który podlega samorządowi. Stop. Żona tego prezesa została w tym roku prezesem wrocławskiego ogrodu zoologicznego. Stop. Ten Wrocław to jak rodzina. Stop.

W Japonii 65-letnia kobieta zakochała się w kosmonaucie. Stop. Poznali się za pośrednictwem Internetu, pisząc sobie słodkie różności. Stop. Kosmonauta miał być Ruskiem uwięzionym na stacji kosmicznej. Stop. Ruski poprosił, żeby Japonka uwolniła go z Kosmosu, wpłacając równowartość 150 tys. zł na specjalne konto umożliwiające powrót na Ziemię. Stop. Japonka uwolniła pieniądze, a Ruskiego prawdopodobnie zeżarła czarna dziura. Stop. Kosmos jest zimny i okrutny. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Sami swoi

Małgośka, mówią mi, serce uderzyło ci do głowy, za dużo w tobie troski o Ukraińców. A jednak katolikom, do których się zaliczam, przede wszystkim musi uderzać do głowy sumienie. Ogarnia mnie przygnębienie, ilekroć mnie urodzonej na Chełmszczyźnie (gdzie bandy UPA terroryzowały także moich dziadków) ktoś krzyczy w twarz: „A Wołyń?!". Odpowiadam: „A Wołyń będziemy zawsze pamiętać!". Ale to nie oznacza, że mam szukać pomsty wśród Bogu ducha winnych ofiar dzisiejszej wojny.

Ja znam ten fatalny mechanizm resentymentów. Gdy Hiszpanie wypominają mi udział Polaków w zbrodniach i zniszczeniu ich kraju u boku Napoleona, dostaję lekkiej furii, bo nie mieści mi się w blond głowie, abym miała się kajać za Pułk Szwoleżerów sprzed 200 lat. Dlatego też brzydzę się karlistami, którzy uważają się za arcykatolików, a jednak rozmowy ze mną zaczynają od bicia w sumienie Polaków. Jakże mogłabym więc zachowywać się tak samo wobec Ukraińców? Ja rozumiem, że wybaczenie i miłosierdzie to niepojęte atrybuty Boga, ale nie zawadzi nam tak po ludzku „małpować je" na naszą parafialną skalę.

Poza tym naprawdę wystarczy odrobina wyobraźni, żeby zrozumieć, że na tym sejsmicznym kawałku europejskiej „crash zone" zgodna koegzystencja z Ukraińcami jest w naszym żywotnym interesie.

Sympatykom Konfederacji (choć właściwie mam nadzieję, że takowi mnie czytać nie chcą) opowiedzieć muszę moją ostatnią rozmowę z Jorgem – katolickim dziennikarzem, wydawcą i autorem książek. Parę dni temu zwierzył mi się podczas wspólnego obiadu: „Tu w Barcelonie, gdzie nacjonalizm kataloński i sekta separatystów obsiadły wszystkie struktury rządowe, my, katolicy, a już zwłaszcza opowiadający się za jednością Hiszpanii, przywykliśmy żyć jak pariasi w gettach. Wybieramy do życia tylko pewne dzielnice, nasze dzieci uczą się w wybranych szkołach, starannie dobieramy znajomych. Ale nie współczuj mi, Margarita, to niedługo nie będzie żaden problem. Tu już za parę lat będzie druga Marsylia, gdzie zdominują nas wyznawcy Allaha. To chory nacjonalizm kataloński sprawia, że nie umiemy połączyć sił przeciw silniejszemu, który napiera z Afryki".

Takie to owoce przynoszą nowoczesne nacjonalizmy, skoncentrowane na tym, że „moja racja mojsza", zamiast współpracować, gdy barbarzyńcy u bram. To jest też lekcja ostrzegawcza dla nas. Nie możemy mieć za miedzą Moskowitów, lecz Kargula z Ukrainy. I naprawdę wcale nie powinno być nam tak ciężko powiedzieć czasem: „Bierz, Władek, co moje, to i twoje". ©℗

eprasa.pl 23f0335273

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Pokropek

Co za barbarzyński zwyczaj – narzekał Kazimierz Brandys, wyznaczony przez władze Związku Literatów do pełnienia warty przy trumnie zmarłej Zofii Nałkowskiej. Pisarze chodzili na te warty jak na ścięcie. Panowało przekonanie, że nieboszczyk pociągał szybko za sobą któregoś z „wartowników". Wilhelm Mach np. trzymał straż przy trumnie zmarłej w maju 1965 r. Marii Dąbrowskiej jako przedstawiciel młodych i zmarł niespodziewanie w lipcu tego samego roku. Julian Tuwim czuwał przy grobie Gałczyńskiego na początku grudnia 1953 r. i trzy tygodnie później poszedł za nim, nie opłacało mu się wracać do domu, żartowano. Ówczesny szef kinematografii, cyniczny Janusz Wilhelmi, zwany nożownikiem polskiej kultury, który w styczniu 1978 r. zniszczył na kolaudacji film „Palace Hotel", według scenariusza Dygata, przyczyniając się do jego śmierci, zgłosił się na ochotnika do warty przy trumnie pisarza, jednak do tego nie dopuszczono, ale za zuchwały zamiar Dygat pociągnął go za sobą i w marcu tego roku Wilhelmi zginął w katastrofie lotniczej, a w SPATiF strzelały korki od szampana.

Władze Związku Literatów organizowały oczywiście nie tylko warty, lecz także całe pogrzeby pisarzy, próbując kontrolować każdy odcinek ich życia. Dbały zwłaszcza o wystawne, funeralne ceremonie swoich partyjnych pupilów, klakierów, np. Ważyka, Kruczkowskiego, Broniewskiego, fundując im pochówek kategorii pierwszej – miejsce w Alei Zasłużonych (decydowała o nim Rada Ministrów, ZLP tylko opiniował), wystawienie otwartej trumny w Sali Kolumnowej Pałacu Prymasowskiego, warty pełnione nie tylko pisarzy, lecz także czasem, np. w wypadku Broniewskiego, najwyższych dygnitarzy, Gomułki i Cyrankiewicza, mowy Putramenta i innych związkowych mandarynów, salwy honorowe nad grobem, pośmiertne odznaczenia. Pozostałej większości pisarzy zapewniano również miejsca na cmentarzach (młodym, np. Stachurze, na betonowej Wólce Węglowej), pogrzeby na koszt państwa, ale pod warunkiem pochówku świeckiego, bez mszy i księdza.

Wiele rodzin godziło się na to z bólem serca, np. rodzina poety Stanisława Grochowiaka, wierzącego, zaczynającego we wrocławskim „Tygodniku Katolickim". Miał jednak pięcioro dzieci, długi, pochowano go więc we wrześniu 1976 r. na Wojskowych Powązkach, a mszę za jego duszę odprawiono dopiero po pogrzebie, w kościele Bernardynów na Sadybie.

Wystawny, świecki pogrzeb na koszt państwa proponowano też Marcie Erdman, córce zmarłego we wrześniu 1974 r. Melchiora Wańkowicza, ale się nie zgodziła. Król reportażu zostawił swoją ostatnią wolę – trumna w jego domu przy Studenckiej, przy której czuwali jego najbliżsi, rodzina, żołnierze spod Monte Casino, a nie wyznaczeni z rozdzielnika „wartownicy", msza w katedrze św. Jana, rodzinny grób na Starych Powązkach, pożegnalne mowy przyjaciół, m.in. Jana Józefa Lipskiego, a nie władzy, która stała upokorzona gdzieś daleko – Wańkowicz nie chciał, aby „oni" fotografowali się nad jego trumną.

Ale gdy zmarły nie miał rodziny albo nie potrafiła ona przeciwstawić się władzy, gwałcono brutalnie ostatnie wole pisarzy, ozdabiając nimi, m.in. Zofią Nałkowską, swoją nekropolię, Aleję Zasłużonych na Wojskowych Powązkach, obok Bieruta, Marchlewskiego, Świerczewskiego, stalinowskich prokuratorów. Jak pisał w swoim dzienniku 14 lutego 1955 r. Jerzy Zawieyski: „Zofia chciała być pochowana w grobach swoich rodziców i umrzeć religijnie. Wzięła ode mnie przyrzeczenie, iż tego dopilnuję. Tymczasem okazało się, że jest nieprzytomna i że do lecznicy (rządowej) nie dopuszczono by księdza. Mam wyrzuty sumienia, nie spełniłem największej jej prośby. Leży [...] wśród zasłużonych, w miejscu brzydkim i pustym. Pogrzeb Zofii to też koszmar. Pogańska liturgia przemówień – płytka, głupia, przerażająca".

Przykrą niespodziankę sprawiła też władzy Maria Dąbrowska. Uchodziła za masonkę, a tymczasem w swoim testamencie zażyczyła sobie katolickiego pogrzebu, z mszą, księdzem i pokropkiem – poświęceniem trumny osoby ochrzczonej, ale niepraktykującej. „Zdecydowałam się na to – pisała – w hołdzie dla tysiącletniej chrześcijańskiej tradycji mojego narodu". Podobnie jak w wypadku Wańkowicza jej tłumny pogrzeb na Starych Powązkach stał się wielką manifestacją patriotyczną.

Zawiódł komunistów nawet ich pupil Jarosław Iwaszkiewicz. Zgodnie z ostatnią wolą miał pogrzeb prywatny, katolicki, grób na małym, prawie wiejskim cmentarzyku w Brwinowie koło Stawiska, mszę w parafialnym kościółku, do którego nie weszła nawet na moment delegacja dygnitarzy z KC i Ministerstwa Kultury. Odstraszały ich żałobne śpiewy, rozmodlone tłumy i mocny zapach kadzidła, którego proboszcz wyjątkowo nie żałował. Dystansowali się, stojąc z boku, pod drzewami i bezcześcili ceremonię, paląc papierosy. ©℗

eprasa.pl 23f0335273

OSZUŚCI

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Spotkałeś kłamcę, przygotuj się na złodzieja – stare powiedzonko i chyba dość oczywiste. Wyszło z mody, ale nadal jest zrozumiałe instynktownie, ponieważ każdy z nas doświadcza kłamców i złodziei i sam wie, że to jest najczęściej ta sama osoba (lub instytucja). Ktoś, kto ci nakłamał, że odda pieniądze, a potem ci pieniędzy nie oddaje, jest kłamcą i złodziejem jednocześnie.

***

W Radiu Wnet wykazałem się dziecięcą (lub starczą) naiwnością, gdy omawiałem temat wyborów. PiS chce je rozdzielić, przesuwając wybory samorządowe. Nie mogłem dojść sensu, bo to przecież wychodzi drożej, gdy się urządza wybory dwa razy, a nie hurtowo. Ponadto frekwencja jest niższa, gdy wybory są często. Wszystko prawda, ale tu nie chodziło o prawdę, lecz o oszustwo.

Słuchacz mi napisał, że sprawa jest prosta i powinienem sam na to wpaść: nie można startować jednocześnie do parlamentu i samorządu. W związku z tym dają sobie kolejne sześć miesięcy i wszystkie miernoty, partyjne aparatczyki i trepy, które nie uzyskają mandatu, mają czas na przegrupowanie się i start w wyborach do samorządu. Zmienią koryto na mniejsze nieco, ale pozostaną w systemie. Tak to działa, dlatego też opozycja nie protestuje.

No i mamy oszustwo i złodziejstwo w jednym. Oszustwem są oficjalnie podawane powody rozdzielenia wyborów, a złodziejstwem jest koszt z tym związany.

Człowiekowi uczciwemu trudniej jest wykryć nieprawość. Oszuści są wytrenowani w oszukiwaniu, a nam nawet do głowy nie przychodzi, że można aż tak bezczelnie kłamać. Mam oczywiście wytrenowaną podejrzliwość wobec polityków, ale w tym przypadku przyjąłem założenie (błędne), że oni są po prostu głupi, jak zawsze, a nie sprytni, jak kieszonkowiec.

***

System list wyborczych powoduje, że ludzi w polityce dobiera się nie na podstawie ich zalet, lecz na podstawie wad. Przymioty nie są w cenie, bo taki np. prawdomówny nie może zostać rzecznikiem partii, natomiast osobnik bez oporów w kłamaniu sprawdza się doskonale. Z punktu widzenia partii może się opłacać, by polityk chodził do kościoła, ale lepiej, by to robił na pokaz, a nie na poważnie, bo gdyby trzeba głosować w kwestiach typu aborcja, LGBT, a nawet podatki, to u prawdziwie wierzących pojawią się moralne opory.

Listy partyjne, na które wpisany jest sztywny zestaw osób, są powtórzeniem pomysłu z czasów komuny – wtedy to się nazywało „nomenklatura". Zestaw osobników „zaufanych i sprawdzonych", którymi obsadza się wszelkie stanowiska w państwie niezależnie od tego, co te osoby potrafią. Mają być lojalni wobec partii, a nie fachowi. Fachowość może przeszkadzać, bo fachowiec pewnych głupich rozwiązań nie popchnie. Fachowiec od ekonomii nie zgodzi się podnosić stóp procentowych w czasie inflacji, nie zgodzi się na podnoszenie podatków, nie zgodzi się na setki zasiłków i dotacji, bo każda z tych rzeczy psuje ekonomię. Socjalizm rodzi biedę wszędzie, gdzie się kiedykolwiek pojawił, i fachowiec to wie.

Za komuny był „zawód dyrektor" oraz „zawód minister" – teraz też są. I taki Sasin czy Glapiński, czy dowolny prezes spółki Skarbu Państwa lata ze stołka na stołek, bo jego tyłek pasuje do każdego stołka, a głowa już nie musi pasować. W zasadzie lepiej, by głowa była trochę pusta – potrzebne jest miejsce na listę partyjnych poleceń i priorytetów, a nie na szum przemyśleń własnych. W tym systemie doskonałym kandydatem jest bałwan lub golem z karteczką w głowie – nieważne, kto on jest, ważne, że nie wykroczy poza partyjny szablon.

***

System doboru kadr w korporacjach działa podobnie – cennym pracownikiem jest służalczy, bezmyślnie wykonujący polecenia. Wróciliśmy do tego, co było za komuny. To jest nadal socjalizm. Korporacja nie różni się znacząco od państwowego molocha z czasów komuny. Za komuny wynagrodzenie w państwowej firmie nie zależało od wydajności pracy, lecz od lojalności wobec władzy. Frajerem był inżynier, który się starał, a normalne zachowanie polegało na tym, żeby się obijać, bo i tak zapłacą, a gdy się będziesz starał, to i tak nie zapłacą więcej za twoje starania i pot. W korporacji masz wyrobić normę socjalistyczną i realizować procedury. Za innowacyjność można dostać karę, bo innowacja oznacza złamanie istniejących procedur. W ten sposób znika motywacja do lepszej roboty – w korporacji, w polityce, na urzędzie.

***

Aby się uchronić przed okradzeniem, warto zwracać uwagę na to, kto kłamie, i trzymać się od kłamców z daleka. Kłamca być może nie kłamie wprost tobie, ale gdy słyszysz, że kłamie komuś innemu – unikaj go i się pilnuj. To jedyna rada, jaką mam na czas wyborów zarówno w Polsce, jak i w USA.

Minister finansów Polski: Od zbiórki pieniędzy na leczenie trzeba będzie płacić VAT 8 proc. To kradzież, bo pieniądze, które chcę komuś podarować na leczenie, były już opodatkowane – zarobiłem, zapłaciłem podatki i dopiero wtedy podarowałem.

Ekspert wojenny: Na rozminowanie Ukrainy potrzeba 10 lat. Przecież nie wiemy, ile tych min jest i gdzie się znajdują, a zatem ta kalkulacja to dane z sufitu. Ktoś chce wyciągnąć kasę na rozminowywanie lub zdobyć kontrakt na 10 lat.

Biden: Ukraina ma te same prawa co inne państwa. To nieprawda – różne państwa mają różne prawa i Biden to wie. ONZ odmawia przyjęcia Tajwanu w swoje szeregi, w ONZ są równi i równiejsi – jedni mają prawo weta, inni nie mają, Tybet nie ma żadnych praw, a niektóre kraje są obłożone sankcjami, czyli mają prawa ograniczone.

Słuchaj uważnie, czytaj dokładnie. Spotkasz kłamstwo, przygotuj się na złodzieja. ©℗

eprasa.pl 23f0335273

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

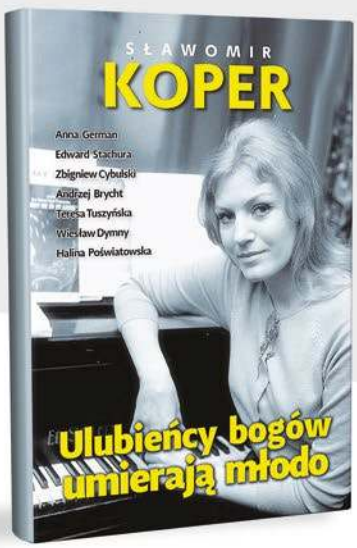

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER: „ULUBIEŃCY BOGÓW UMIERAJĄ MŁODO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~924~~ ZŁ

341,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 583 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 23f0335273

ZAPEWNIAMY BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE

Strategia dywersyfikacji realizowana w ostatnich latach przez **rząd Rzeczypospolitej Polskiej i PGNiG przyniosła Polsce suwerenność energetyczną**. Jednym z jej filarów jest **gazociąg Baltic Pipe**, który poprzez Danię połączył Polskę ze złożami gazu w Norwegii. Już dzisiaj Polska jest krajem zabezpieczonym pod względem dostaw gazu – dzięki dostawom gazociągiem Baltic Pipe (z własnego wydobycia i podpisanych kontraktów), dostawom skroplonego gazu ziemnego poprzez Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu, a także własnemu wydobyciu krajowemu i dostawom poprzez Terminal LNG w Kłajpedzie oraz zapełnionym magazynom gazu. **Potrzeby klientów PGNiG w zakresie dostaw gazu będą w pełni zaspokojone zarówno w obecnym sezonie, jak i w latach kolejnych.**

PGNiG

eprasa.pl 23f0335273